

**NORA ROBERTS**

**TU JEST MÓJ DOM**

## ROZDZIAŁ 1

Wszystkie potrzebne rzeczy miał w plecaku. Łącznie z pistoletem kaliber 38. Jeśli wszystko pójdzie gładko, nie będzie musiał zrobić z niego użytku.

Roman wyciągnął papierosa ze zgniecionej paczki schowanej w kieszeni na piersi i odwrócił się tyłem do wiatru, żeby zapalić. Ośmioletni chłopiec biegał niefrasobliwie wzdłuż relingu, nie przejmując się kompletnie nawoływaniem matki. Roman poczuł sympatię do malca. Było bardzo zimno. Wiejący od Zatoki Puget przejmujący wiatr zupełnie nie przypominał wiosennej bryzy, ale widok, jaki Roman miał przed oczami, zapierał dech w piersiach. Za szklaną ścianą kabiny widokowej było znacznie zaciszniej, lecz wrażeń nie dałoby się nawet porównać.

Rozdokazywany dzieciak został wreszcie schwytany przez blondynkę o zaróżowionych policzkach, której nos z każdą chwilą był bardziej czerwony. Do uszu Romana dotarły odgłosy awantury, kiedy kobieta ciągnęła chłopca do ciepłego pomieszczenia. Przemknęło mu przez myśl, że nader rzadko zdarza się spotkać zgodną rodzinę. Oparł się o barierkę i leniwie palił papierosa, podczas gdy prom lawirował wśród wysepek.

Panorama Seattle skryła się już za linią horyzontu, ale nadal można było dostrzec imponujące góry stanu Waszyngton. Roman miał wrażenie, że jest zupełnie sam, chociaż co odważniejsi pasażerowie wychodzili przespacerować się po pokładzie albo siadali na drewnianych ławkach, żeby trochę się opalić. Wołał miasto z jego ruchem ulicznym, tłokiem i gorączkowym pośpiechem. Z jego anonimowością. Preferował wielkomiejskie życie. Nie potrafił zrozumieć, skąd się brało to nieustanne poczucie niezadowolenia, kładące mu się ciężarem na sercu.

Praca. Przez ostatni rok obwinał za to swą pracę. Akceptował związane z nią napięcie, wręcz o nie zabiegał. Życie pozbawione napięcia wydawało mu się nazbyt uładzone, bezbarwne i pozbawione celu. Ostatnio jednak i tego było mu mało. Ciągłe przenosił się z miejsca na miejsce, niewiele zabierał ze sobą, a jeszcze mniej za sobą zostawiał.

Pora z tym skończyć, uznał, przyglądając się mijanej łodzi rybackiej. Ale czym się zająć? Z niesmakiem wypuścił z płuc kłęb dymu. Mógłby założyć własną firmę. Przez chwilę bawił się tą myślą. Mógł też podróżować. Objechał już, co prawda, cały świat, ale gdyby wybrał się w drogę jako zwyczajny turysta, pewnie byłoby zupełnie inaczej.

Jakiś śmiałek wyszedł na pokład z kamerą. Roman odruchowo odwrócił się i odszedł, żeby nie znaleźć się w kadrze. Była to zapewne przesadna ostrożność. Tak samo zbyteczna jak nieustanna czujność i pozornie niedbała postawa, skrywająca napięcie i przyczajoną gotowość do błyskawicznej akcji.

Pasażerowie nie zwracali specjalnej uwagi na Romana, choć niektóre kobiety zerkały raz po raz w jego stronę.

Był wysokim mężczyzną o szczupłej, sprężystej sylwetce boksera wagi lekkiej. Pod luźną marynarką i wygodnymi dżinsami kryła się imponująca muskulatura. Nie miał nakrycia głowy i wiatr rozwiewał gęste czarne włosy, odsłaniając śniadą, szczupłą twarz o zapadniętych policzkach i ostrych rysach. Był nieogolony. Jasne, intensywnie zielone oczy przydawałyby pewnie łagodności jego twarzy, gdyby nie ich przenikliwe, ostre spojrzenie. Teraz malowało się w nich jeszcze znużenie.

Wszystko wskazywało na to, że czekało go żmudne dochodzenie.

Rozległ się dzwonek pokładowy i Roman podniósł plecak. Trzeba wykonać zadanie, obojętnie - rutynowe czy nie. Zrobi, co do niego należy, sporządzi raport i weźmie dwa tygodnie urlopu, żeby zastanowić się spokojnie, w jaki sposób spędzić resztę życia.

Zszedł na brzeg z tłumem innych pasażerów. Słodki, oszałamiający aromat kwiatów przytłumił wilgotny zapach oceanu. Niektóre z dziko rosnących kwiatów były tak duże jak męska pięść. Roman mimowolnie podziwiał kolor i piękno róż, choć dość rzadko zatrzymywał się, by je powąchać.

Auta zjeżdżały kolejno z rampy, rozwożąc pasażerów promu do domów bądź na zwiedzanie wyspy. Kiedy pokłady całkowicie opustoszeją, na prom wsiądą następni podróżni, chcący przepłynąć na którąś z okolicznych wysp albo wybrać się na dłuższą wycieczkę w chłodniejsze rejony Kolumbii Brytyjskiej.

Roman zapalił następnego papierosa i rozejrzał się niedbale - ładne kolorowe ogródki, urocze hotele i restauracje, kierunkowskazy do przystani promowej i na parkingi.

Teraz to już tylko kwestia czasu. Minał kawiarenkę, choć miał ochotę na filiżankę kawy, i poszedł prosto na parking.

Bez trudu zlokalizował białą - niebieską furgonetkę z wymalowanym na boku szyldem reklamującym zajazd. Jego zadanie polegało na wkręceniu się najpierw do furgonetki, a potem do zajazdu. Jeżeli wszystko zostało przygotowane w najdrobniejszych szczegółach, zadanie będzie banalnie proste. Jeżeli nie, Roman znajdzie inny sposób wykonania zlecenia.

Pochylił się i udał, że wiąże but, aby zyskać na czasie. Samochody, jeden po drugim, wjeżdżały na prom i ustawiono je na pokładzie, a wpuszczeni wcześniej piesi zajęli już miejsca w kabinie pasażerskiej. Na parkingu zostało najwyżej dwanaście aut, wliczając w to furgonetkę. Przez następne kilka chwil Roman powoli rozpinał guziki marynarki. Wreszcie dostrzegł tę kobietę.

Długie blond włosy nie były rozpuszczone, jak na dołączonym do akt zdjęciu, lecz splecione w warkocz. W promieniach słońca zdawały się mieć bardziej nasyconą, złocistą barwę. Połowę twarzy dziewczyny zasłaniały okulary przeciwsłoneczne o bursztynowych szklach i grubych oprawkach. Mimo to Roman był pewien, że się nie pomylił. Rozpoznał delikatną linię szczęki, niewielki prosty nos i pełne kształtne usta.

Informacje okazały się ściśle. Kobieta mierzyła około stu sześćdziesięciu centymetrów, ważyła pięćdziesiąt pięć kilogramów, miała szczupłą, wysportowaną sylwetkę. Ubrała się niedbale - w dzinsy i zarzucony na niebieską bluzkę gruby, kremowy, robiony na drutach sweter. Kolor bluzki idealnie pasował do barwy jej oczu. Nogawki dzinsów wetknęła w cholewki zamszowych butów do kostek. W uszach miała proste kolczyki z kryształkami.

Szła zdecydowanym krokiem osoby zmierzającej prosto do celu. Duża, płócienna torba wisiała na jej ramieniu, a w rękę podzwaniały kluczyki do samochodu. W jej chodzie nie było za grosz kobiecej kokieterii, a jednak przyciągał męskie spojrzenia. Długi sprężysty krok, lekkie kołysanie bioder, głowa uniesiona wysoko, wzrok utkwiony przed siebie.

Tak, ta dziewczyna niewątpliwie wzbudzała zainteresowanie mężczyzn. Roman rzucił papierosa. Podejrzał, że doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

Zaczekał, aż podeszła do furgonetki, i dopiero wówczas ruszył w jej stronę.

Charity przestała nucić finał IX symfonii Beethovena, spojrzała na prawe przednie koło i zakląła. Nie zdawała sobie sprawy, że jest obserwowana, więc kopnęła ze złością oponę i ruszyła na tył furgonetki po podnośnik.

- Jakiś problem?

Drgnęła tak gwałtownie, że o mało nic upuściła podnośnika na własną stopę. Obejrzała się przez ramię.

Niezadowolony klient Taka była jej pierwsza myśl na widok Romana. Mrużył oczy, bo raziło go słońce. Jedną ręką przytrzymał szelkę plecaka, drugą wsunął do kieszeni. Charity przycisnęła rękę do serca, jakby chciała sprawdzić, czy jeszcze bije, i uśmiechnęła się.

- Same problemy. Złapałam gumę. Przed chwilą odwiozłam na prom czteroosobową rodzinę, w tym dwoje niespełna sześciolletnich dzieci, które nadają się wyłącznie do

poprawczaka. Mam nerwy w strzępach, hydraulika jest w rozdziale szóstym, ale tylko po niemiecku, a mój pomocnik wygrał na loterii. A co u ciebie?

W aktach sprawy Roman nie znalazł wzmianki, że głos tej kobiety jest jak kawa ze śmietanką, taka esencjonalna, mocna jak szatan kawa, którą można dostać jedynie w Nowym Orleanie. Zanotował to sobie w pamięci, po czym ruchem głowy wskazał oponę.

- Chcesz, żebym zmienił koło?

Charity poradziła sobie z tym sama, ale nigdy nie odrzucała oferowanej pomocy. Zresztą doszła do wniosku, że mężczyzna zrobi to szybciej, a wyglądał na człowieka, któremu przydałoby się te pięć dolarów za sprawnie wykonaną robotę.

- Będę bardzo wdzięczna. - Wręczyła mu podnośnik i wyjęła z torby napój cytrynowy. Wymiana koła zajmie pewnie cały czas, jaki Charity przeznaczyła na lunch. - Przypląnąłeś ostatnim promem?

- Tak. - Roman nie przepadał za nieobowiązującymi pogawędkami, ale w razie potrzeby był w nich równie wprawny jak w posługiwaniu się lewarkiem. Umiał również wykorzystywać życzliwość kobiet. - Trochę się włóczę po świecie. Teraz postanowiłem przyjechać tutaj, może będę miał szczęście zobaczyć wieloryby.

- W takim razie wybrałeś odpowiednie miejsce. Wczoraj widziałam z okna stado wielorybów. - Charity oparła się o furgonetkę i wystawiła twarz do słońca. Od czasu do czasu zerknęła jednak na ręce mężczyzny. Pracował szybko i zręcznie. Był silny. Ceniła ludzi, którzy dobrze wykonywali swoją robotę, choćby najprostszą. - Jesteś na wakacjach?

- Nie, po prostu podróżuję. Po drodze podejmuję się różnych dorywczych prac. Może znasz kogoś, komu przydałby się pomocnik?

- Możliwe. - Obserwowała, jak zdejmował przebite koło. Kiedy wyprostował się i oparł dłoń na kole, zapytała:

- Jakiej pracy szukasz?

- Wszystko jedno. Gdzie masz zapas?

- Zapas? - Jeśli patrzyła mu w oczy dłużej niż dziesięć sekund, popadała w stan przypominający hipnozę.

- Koło. - Kącik ust Romana uniósł się leciutko, jakby w niechętnym uśmiechu. - Przydałoby się koło z porządną oponą.

- Racja. Zapas. - Charity pokiwała z politowaniem głową nad własną głupotą. - Jest z tyłu samochodu. - Odwróciła się, żeby pójść po koło, i wpadła na Romana.

- Przepraszam.

Podtrzymał ją za łokieć, żeby się nic potknęła. Przez chwilę stali na zalanym słońcem parkingu.

- Nic się nie stało. Wyciągnę koło.

Kiedy mężczyzna zniknął we wnętrzu furgonetki, Charity odetchnęła głęboko parę razy, żeby się uspokoić. Nawet nie przypuszczała, że można mieć aż tak napięte nerwy.

- Uważaj na... - Skrzywiła się, bo już było za późno. Roman przykucnął i próbował usunąć z kolana resztki wiśniowego lizaka. Nagle Charity wybuchnęła serdecznym śmiechem, równie głębokim jak timbre jej głosu.

- Przepraszam. Pamiątka z wyspy Orcas od pięcioletniego Jimmy'ego „Niszczyciela” MacCarthy'ego.

- Wolałbym chyba podkoszulek z nadrukiem.

- Każdy by wołał. - Usunęła ze spodni Romana lepką masę. owinęła resztki lizaka w chusteczkę higieniczną i schowała do torby. - Jesteśmy ośrodkiem wakacyjnym dla rodzin - wyjaśniła, kiedy Roman wygramolił się z furgonetki, taszcząc koło zapasowe. - Prawie wszyscy lubią dzieci, ale po wizycie takiej parki młodocianych potworów jak bliźniaki Jimmy i Judy zaczynam się zastanawiać nad zmianą profilu firmy. Lubisz dzieci?

Roman osadził koło na bolcach i dopiero wtedy popatrzył na Charity.

- Lubię, ale na odległość. Roześmiała się z wyraźną aprobatą.

- Skąd pochodzisz?

- Z St. Louis. - Mógł podać tuzin różnych odpowiedzi. Sam nie rozumiał, dlaczego tym razem powiedział prawdę. - Rzadko tam wracam.

- Masz rodzinę?

- Nie.

Powiedział to takim tonem, że Charity postanowiła powściągnąć wrodzoną ciekawość. Nie potrafiła naruszyć cudzej prywatności, tak jak nie umiała rzucić na ziemię owiniętego w chusteczkę lizaka.

- Ja urodziłam się tutaj, na wyspie Orcas. Co roku obiecuję sobie, że wezmę półroczny urlop i wyjadę w wielką podróż. Wszystko jedno dokąd. - Wzruszyła ramionami.

Roman dokręcał ostatnią śrubę.

- Jakoś nigdy się nie udało. Zresztą tu jest naprawdę pięknie. Jeśli nie masz innych zobowiązań, to przekonasz się, że zostaniesz dłużej, niż planowałeś.

- Możliwe. - Roman wyjął podnośnik i wyprostował się. - Jeśli znajdę pracę i kąt do spania.

Charity nie podjęła decyzji pod wpływem impulsu. Obserwowała tego mężczyznę uważnie od blisko piętnastu minut, rozważając wszystkie za i przeciw. Rozmowa z kandydatem do pracy zwykle trwa krócej. Miał silne ramiona i inteligentne, a nawet przenikliwe spojrzenie. Jego plecak i ubiór wskazywały na to, że znalazł się pod wozem. Jej imię, Charity, oznaczało miłosierdzie, i nim właśnie się w życiu kierowała, zresztą od dziecka uczono ją pomagać ludziom w potrzebie. Jeśli w dodatku mogła za jednym zamachem rozwiązać jeden ze swych najbardziej palących problemów...

- Znasz się na pracach remontowych? - zapytała.

- Tak. Nie najgorzej - odparł z pewnym przymusem, bo jego myśli poszybowały w całkiem niespodziewanym kierunku.

Na widok miny Romana brwi Charity powędrowały w górę.

- Miałam na myśli posługiwanie się narzędziami. Młotkiem, piłą, śrubokrętem. Znasz się może na stolarce, radzisz sobie z drobnymi naprawami w domu?

- Jasne. - Poszło łatwo, wręcz zadziwiająco łatwo. Niespodziewanie poczuł lekkie wyrzuty sumienia.

- Jak już mówiłam, mój pomocnik wygrał na loterii, i to sporo. Jest teraz na Hawajach, kontempluje kostiumy bikini i zajada się *poi*. Życzę mu jak najlepiej, ale wyjechał w samym środku remontu zachodniego skrzydła zajazdu. - Wskazała ręką logo firmy na drzwiach furgonetki. - Jeśli potrafisz sobie poradzić z pędzlami i papierem Ściernym, to mogę ci zaproponować pokój z wyżywieniem i pięć dolarów za godzinę.

- Wygląda na to, że oboje znaleźliśmy rozwiązanie naszych problemów.

- Świetnie. - Wyciągnęła do niego rękę. - Jestem Charity Ford.

- DeWinter. - Uścisnął jej dłoń. - Roman DeWinter.

- W takim razie wskakuj. Romanie - zaprosiła i szeroko otworzyła drzwi furgonetki.

Wcale nie wyglądała na naiwną i łatwowierną, pomyślał Roman, siadając obok niej w samochodzie. Wiedział jak nikt inny, że pozory mogą mylić. Znalazł się przecież tam, gdzie zamierzał, i to bez specjalnego zachodu.

Charity wyprowadziła wóz z parkingu, a on zapalił papierosa.

- Dziadek zbudował ten zajazd w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku - powiedziała i opuściła szybę w samochodzie. - Latami rozbudowywali modernizowali budynek, ale to nadal jest zwyczajny zajazd i nawet w broszurach reklamowych nie ośmielilibyśmy się nazwać go pensjonatem. Mam nadzieję, że nastawiłeś się na coś skromnego.

- To mi odpowiada.

- Mnie również. Przeważnie.

Gaduła to on nie jest, pomyślała Charity z uśmiechem. Była zresztą z tego zadowolona. Z powodzeniem mogła mówić za dwoje.

- To dopiero początek sezonu, więc mamy sporo wolnych miejsc. - Wystawiła łokieć przez otwarte okno i pogodnie wzięła na siebie cały ciężar prowadzenia rozmowy, W promieniach słońca jej kolczyki rozbłysły wszystkimi kolorami tęczy. - Będiesz miał mnóstwo czasu, żeby rozejrzeć się po okolicy. Z Góry Konstytucji rozciąga się szczególnie malowniczy widok. Jeśli lubisz turystykę pieszą, to znajdziesz tu niwelacyjne szlaki do wędrówek górskich.

- Myślałem, żeby spędzić trochę czasu w Kolumbii Brytyjskiej.

- To żaden, problem. Mamy prom do Sidney. Nieźle zarabiamy na wycieczkach krajoznawczych.

- Jacy: my?

- Zajazd. Pop, czyli mój dziadek, wybudował w latach sześćdziesiątych pół tuzina domków. Oferujemy grupom turystycznym specjalne pakiety usług. Wynajmujemy domki ze śniadaniem i obiadokolacją wliczonymi w koszty. Warunki są tam dość prymitywne, ale turyści bardzo to lubią. Co najmniej raz w tygodniu przyjeżdża jakaś grupa. W sezonie trzy razy częściej.

Skręciła w wąską drogę i zredukowała prędkość do pięćdziesięciu.

- To ty prowadzisz zajazd? - Roman doskonale znał odpowiedź na to pytanie, ale czuł, że byłoby dziwne, gdyby nie zapytał.

- Tak. Pracowałam tu, odkąd sięgam pamięcią. Kilka lat temu dziadek zmarł i przejełam po nim zajazd. - Charity zamilkła na chwilę. Śmierć dziadka ciągle jeszcze bolała; zapewne będzie tak już zawsze. - Kochał go. Nic tylko samo miejsce, ale możliwość spotkania codziennie nowych ludzi, dbania o to, by czuli się tu jak w domu.

- Domyślam się, że nieźle sobie radzicie.

- Jakoś leci. - Charity wzruszyła ramionami. Okrążyli zatoczkę, w której las ustępował szerokiej przestrzeni błękitnej wody. Linia brzegowa wyspy była czysta i odcinała się od jasnej wody ciemnymi barwami zieleni i brązy. Wysoko na klifie rysowały się sylwetki kijku domów. Po gładkiej tafli zatoki sunęła łódka, połyskując białymi żaglami. - Takie widoki można spotkać w każdym miejscu na wyspie. Chwytają za serce nawet stałych mieszkańców.

- I sprzyjają interesom.

- Na pewno nie przeszkadzają. - Spojrzała na Romana. - Naprawdę chciałbyś zobaczyć wieloryby?



- Wypadałoby, skoro już tu jestem. Zatrzymała furgonetkę i wskazała dłonią klify.

- Jeżeli masz cierpliwość i dobrą lornetkę, to tam jest najlepszy punkt obserwacyjny. Leży na naszym terenie. Jeśli chcesz przyjrzeć im się dokładniej, musisz wsiąść do łodzi. - Roman nie odezwał się, więc znowu na niego spojrzała. Poczowała nagłe skrepowanie, bo mężczyzna nie patrzył na wodę czy las, lecz na nią.

Roman przyglądał się rękom Charity. Silne, zręczne, a nie przesadnie wąskie dłonie. Teraz zaczęła dość nerwowo wystukiwać palcami rytm na kierownicy. Znow przyspieszyła, z wprawą prowadząc furgonetkę krętą drogą. Naprzeciwko pojawił się drugi samochód, Charity, nie zmniejszając prędkości, pozdrowiła kierowcę ruchem ręki.

- To Lori, jedna z naszych kelnerek. Pracuje na rannej zmianie, żeby być w domu, kiedy dzieci wrócą ze szkoły. W zajeździe na stałe zatrudniamy dziesięcioro pracowników, a w sezonie letnim przyjmujemy jeszcze pięć, sześć osób do pomocy.

Objechali jeszcze jedną zatoczkę i przed nimi pojawił się zajazd. Dokładnie odpowiadał wyobrażeniom Romana, choć w rzeczywistości miał więcej uroku niż na zdjęciach, które oglądał przed przyjazdem na wyspę. Drewniany biały budynek z bladoniebieskimi futrynami łukowatych lub owalnych okien. Urocze wieżyczki, wąskie ścieżki i szeroka półkolista weranda. Gładki trawnik schodzący wprost na brzeg. Wrzynający się w wodę wąski, rozchybotany pomost, do którego przywiązana była mała motorówka, kołysząca się lekko na falach.

Był też płytki staw, a nad nim młyn. Rozgarniana młyńskim kotem woda chlupotała dźwięcznie. Po zachodniej stronie, pomiędzy rzadziej rosnącymi drzewami, zauważył domki, o których opowiadała Charity. Wszędzie dokoła pełno było kwiatów.

- Z tyłu za domem jest większy sław. - Charity podjechała na wysypany żwirem placyk, na którym stało już sporo samochodów, choć na parkingu zmieściłoby się jeszcze drugie tyle. - Hodujemy w nim pstrągi. Ścieżki prowadzą do domków numer jeden, dwa i trzy, a stamtąd rozwidlają się do numerów cztery, pięć i sześć. - Wysiadła z furgonetki i zaczęła na Romana, - Prawie wszyscy korzystają z tylnego wejścia. Później oprowadzę cię po całym terenie ośrodka, jeśli oczywiście będziesz miał ochotę, ale najpierw trzeba cię zakwaterować.

- Ładnie tu - powiedział spontanicznie i całkowicie szczerze. Na kwadratowym tylnym ganku stały dwa bujane fotele i białe krzeselko, które przydałoby się odmalować, bo farba zaczynała się łuszczyć. Roman odwrócił się, żeby sprawdzić, jaki widok miałyby przed oczami gość usadowiony w pustych teraz fotelach. Las i woda jak okiem sięgnąć. Cudownie. Kojąco.

Uroczo. Nagle stanął mu przed oczami schowany w plecaku pistolet. Pozory mylą, przypomniał samemu sobie raz jeszcze.

Charity obserwowała go ze zmarszczonym czołem. Roman zdawaj się chłonać to, co widzi. Dziwne, ale mogłaby przysiąc, że gdyby za pół roku ktoś zapytał go o to, co teraz miał przed oczami, opisałby to wszystko z najdrobniejszymi szczegółami.

Roman przeniósł spojrzenie na nią ale wrażenie pozostało. Tylko jeszcze bardziej intensywne i bardziej osobiste. Wiatr wzmógł się, zdawał się dzwonić w dzikich dzwoneczkach, rosnących w zawieszonych pod okapem donicach.

- Jesteś artystą? - zapytała go niespodziewanie.

- Nie. - Uśmiech odmienił jego twarz, dodał jej uroku. - Dlaczego ci to przyszło do głowy?

- Zastanawiałam się tylko.

Doszła do wniosku, że powinna strzec się jego uśmiechu. Roman miał rozbijający uśmiech, a należał do mężczyzn, przed którymi lepiej było stale mieć się na baczności.

Podwójne przeszklone drzwi prowadziły do przestronnego pokoju, w którym unosił się zapach lawendy i węgla drzewnego. Królowały tu dwie długie, miękkie kanapy i przepastne fotele ustawione przy wielkim, kamiennym kominku, na którym trzaskały płonące polana. Tu i ówdzie ustawiono antyki: biurczko z trzema zabytkowymi kałamarzami, dębowy wieszak na kapelusze, kredens z wypolerowanymi do połysku rzeźbionymi drzwiczkami. W rogu pokoju stał szpinet z pożółkłymi ze starości klawiszami. Dwa łukowate okna w przeciwległej ścianie były tak szerokie, że widoczna przez nie woda zdawała się należeć do wystroju wnętrza. Przy stoliku pod oknem dwie kobiety grały w scrabble.

- Kto dziś wygrywa? - zainteresowała się Charity. Obie podniosły głowy znad planszy i spojrzały na nią rozpromienione.

- Na razie idziemy łeb w łeb. - Kobieta siedząca po prawej, na widok Romana zalotnie potrząsnęła włosami. Mogłaby być jego babcią, ale pospiesznie zdjęła okulary i wyprężyła chuderlawe ramiona. - Nie wiedziałam, że przywieziesz nowego gościa, moja droga.

- Ja też nie wiedziałam - przyznała Charity i podeszła do kominka, żeby dorzucić polano do ognia. - Pan Roman DeWinter, panna Lucy i panna Millie.

- Witam panie. - Na twarzy Romana znów pojawił się uroczy uśmiech.

- DeWinter... - Panna Lucy postanowiła jednak włożyć okulary, żeby lepiej przyjrzeć się mężczyźnie. - Czy nie znałyśmy kiedyś jakiegoś DeWintera, Millie?

- Nie przypominam sobie. - Millie uśmiechała się, gotowa do flirtu, chociaż bez okularów widziała Romana wyłącznie jako rozmazany cień. - Czy byt już pan kiedyś w tym zajeździe, panie DeWinter?

- Nie, proszę pani. Jestem tu po raz pierwszy.

- Będzie Pan zachwycony. - Millie westchnęła lekko. Jak ten czas leci! Wydawało jej się, że to zaledwie wczoraj pewien przystojny młody człowiek ucałował jej dłoń i poprosił, by wybrała się z nim na spacer. Dzisiaj mężczyźni mówią do niej: proszę pani. Z ociąganiem wróciła do gry.

- Te panie przyjeżdżają do nas od niepamiętnych czasów - wyjaśniła Charity Romanowi, kiedy wyszli na korytarz.

- Są kochane, ale muszę cię przestrzec przed panna Millie. Podobno swego czasu miała nie najlepszą reputację, a nawa i dziś żaden przystojny mężczyzna nie umknie jej uwagi.

- Będę się miał na baczności.

- Podejrzewam, że zawsze to robisz. - Wyjęta pęk kluczy i otworzyła jedne z drzwi. - Tędy przechodzi się do zachodniego skrzydła. - Szybkim krokiem ruszyła w głąb korytarza, energiczna i kompetentna. - Jak widzisz, remont był już nieźle zaawansowany, kiedy George wygrał na loterii. Stolarzka została rozebrana. - Wskazała sterty desek porządnie ułożone wzdłuż świeżo pomalowanej ściany. - Trzeba jeszcze dokończyć renowację drzwi. Oryginalne okucia są w tej skrzynce.

- Ile pokoi mam do zrobienia?

- W tym skrzydle są dwie jedyńki, dwójka i apartament rodzinny. W różnym stopniu zaawansowania remontu. - Charity prześliznęła się obok opartych o ścianę drzwi i weszła do pomieszczenia. - Możesz zająć ten pokój. Jest prawie skończony.

Pokoik był niewielki, ale bardzo jasny. Zachlapanie farbą okno wychodziło na młyńskie koło. Na łóżku brakowało pościeli, a podłoga wymagała cyklinowania. Świeżo położona tapeta sięgała od sufitu do białej listwy, poniżej była tylko surowa ścianka gipsowa.

- Na razie niezbyt tu pięknie - stwierdziła Charity.

- Mnie odpowiada - - Roman bywał już w miejscach, przy których ten pokoik wyglądał jak królewski apartament w najwyższej klasy hotelu.

Charity odruchowo zajrzała do garderoby i przyległej do pokoju łazienki, notując w pamięci, co jeszcze pozostało w nich do zrobienia.

- Jeśli chcesz, możesz zacząć od tego pokoju. Mnie wszystko jedno. George miał własny system pracy. Nigdy nie zdołałam pojąć, na czym on polegał, ale w ostatecznym rozrachunku wszystko było zrobione jak należy.

Roman wsunął kciuki do kieszeni dżinsów.

- Masz plan robót?

- Jasne.

Przez następne pół godziny oprowadzała go po zachodnim skrzydle i pokazywała, co jeszcze powinno zostać wykonane. Roman słuchał, z rzadka rzucał jakąś uwagę i przyglądał się wyposażeniu. Przed przyjazdem tutaj starannie przestudiował plany zajazdu i wiedział, że rozkład pokoi w tym skrzydle dokładnie odpowiadał rozkładowi pomieszczeń w skrzydle wschodnim. Mieszkając tutaj, miał łatwy dostęp do głównej części budynku.

Przyjrzał się pomalowanym do połowy ścianom, rozłożonym wszędzie płachtom malarskim i doszedł do wniosku, że przyjdzie mu przyłożyć się do roboty. Uznał to za dodatkowy plus czekającego go zadania. Lubił pracę fizyczną, a rzadko kiedy miał na nią czas.

Instrukcje Charity były jasne i precyzyjne. Ta kobieta wyraźnie wiedziała, czego chce, i potrafiła to wyegzekwować. To mu się podobało. Był pewien, że panna Ford dobrze wykonywała swoją pracę. Niezależnie od tego, czy było nią prowadzenie ośrodka wypoczynkowego, czy też... coś całkiem innego.

. - Co jest na górze? - wskazał widoczne na końcu korytarza schody.

- Moje pływalne mieszkanie. Pomyślimy o nim po zakończeniu remontu pokoi hotelowych. - Przez chwilę stała w milczeniu, pobrzękując tytko kluczami. Pozwoliła myślom odpłynąć daleko. - Co o tym sądzisz? - zapytała wreszcie.

- O czym?

- O pracy.

- Masz narzędzia?

- W szopie po drugiej stronie parkingu.

- Poradzę sobie.

- Oczywiście.

Nie miała wątpliwości, że Roman rzeczywiście sobie poradzi. Stali w ośmiobocznym saloniku apartamentu rodzinnego. Był pusty, jeśli nie liczyć sterty materiałów i płacht malarskich. I cichy. Uświadomiła sobie nagle, że znaleźli się bardzo blisko siebie i że do jej uszu nie dociera żaden dźwięk. Poczowała się nieswojo, więc sięgnęła po pęk kluczy i zdjęła z kółka jeden z nich. - To do twojego pokoju.

- Dzięki. - Roman wetknął go do kieszeni džinsów. Odetchnęła głęboko. Z niewiadomych względów czuła się tak, jakby z zamkniętymi oczami rzuciła się w nieznane.

- Jadłeś już lunch?

- Nie.

- Zaprowadzę cię do kuchni. Mae da ci coś do jedzenia. - Charity ruszyła do wyjścia nieco zbyt szybko. Pragnęła uciec od wrażenia, że jest tu z Romanem całkiem sama. Wzruszyła ramionami ze zniecierpliwieniem. Nie bądź głupia, powiedziała sobie. Nie należała do bezradnych kobieciełek, a jednak odetchnęła z ulgą, kiedy zamknęła za sobą drzwi.

Poprowadziła go na dół po schodach, a potem przez opustoszały hol do obszernej, utrzymanej w pastelowych barwach jadalni. Na wszystkich stolikach stały wazony z mlecznego szkła z bukietami świeżych kwiatów. Duże okna wychodziły na morze, a przy południowej Ścianie, jakby dla stworzenia iluzji wodnego świata, zostało ustawione akwarium.

Charity zatrzymała się na chwilę i uważnie zlustrowała pomieszczenie. Sprawdzała, czy wszystkie stoliki nakryto już do obiadu. Dopiero potem pchnęła Wahadłowe drzwi i weszła do kuchni.

- Mówię ci, że trzeba dodać bazylii.

- Wcale nie!

- Pamiętaj, niezależnie od tego, co sądzisz, nie przyznawaj racji żadnej z nich - powiedziała Charity półgłosem, po czym przywołała na usta najpiękniejszy uśmiech. - Moje panie, przyprowadziłam wam głodnego mężczyznę.

Kobieta, która pilnowała garnka, uniosła do góry łyżkę cedzakową. Zerknęła na Romana z ukosa.

- Siadaj - rzuciła, pokazując mu kciukiem długi, drewniany stół.

- Mae Jenkins, Roman DeWinter.

- Witam panią.

- A to Dolores Rumsey. - Druga kobieta trzymała w rękach słoje z ziołami. Skinęła Romanowi głową i przysunęła się do garnka.

- Nie zbliżaj się! - warknęła Mae ostrzegawczo. - Daj temu człowiekowi kawałek kurczaka.

. Dolores, pomrukując pod nosem, ruszyła po talerz.

- Roman dokończy remont rozpoczęty przez George'a - wyjaśniła Charity. - Będzie mieszkał w zachodnim skrzydle.

- Nie pochodzisz stąd. - Mae spojrzała na Romana takim wzrokiem, jakim niania mierzy pulchne niemowlę.

- Nie.

- Wyglądasz mi na głodomora, pewnie bez trudu mógłbyś pochłonąć kilka przeciętnych porcji - oświadczyła z lekką dezaprobatą i nalała mu kawy.

- Które zawsze tutaj znajdziesz - wtrąciła Charity, występując w roli rozjemcy. Skrzywiła się lekko, kiedy Dolores z łoskotem postawiła przed Romanem talerz z zimnym kurczakiem i z sałatką ziemniaczaną.

- Trzeba mocniej przyprawić - oznajmiła, patrząc na gościa takim wzrokiem, jakby ośmiewał się jej przeciwstawić. - A ona nie słucha.

Roman uznał, że najlepiej będzie przywołać uśmiech na twarz i trzymać język za zębami. Mae nie zdążyła zareagować na zaczepkę Dolores, bo znowu stuknęły wahadłowe drzwi.

- Czy spragniony mężczyzna może tu dostać filiżankę kawy? - Nowo przybyły zatrzymał się w pół kroku i obrzucił Romana pełnym zaciekawienia spojrzeniem.

- Bob Mullins, Roman De Winter. Zatrudniłam go do remontu zachodniego skrzydła. Bob jest moją prawą ręką, A właściwie jedną z wielu prawych rąk.

- Witamy na pokładzie. - Bob podszedł do kuchenki i nalał sobie kawy. Wrzucił do filiżanki trzy kostki cukru, co Mae skwitowała pełnym 'dezaprobaty cmoknięciem. Najwyraźniej nic zrobiło to na rum najmniejszego wrażenia.

Był wysoki i szczupły, miał z metr osiemdziesiąt pięć, a na pewno nie ważył więcej niż osiemdziesiąt kilogramów. Jasnobrązowe włosy były krótko przycięte przy uszach i zaczesane do tyłu, odsłaniając wysokie czoło.

- Pochodzisz ze wschodu? - zapytał pomiędzy jednym łykiem kawy a drugim i uśmiechnął się, kiedy Mae machnięciem ręki odgoniła go od kuchenki.

- Tak - odparł Roman.

- Wyjaśniłeś z dostawcą warzyw sprawę tej budzącej wątpliwości faktury? - przerwała Charity.

- Tak, wszystko już załatwione. Pod twoją nieobecność odebrałem kilka telefonów. Masz trochę papierów do podpisania.

- Zaraz się za to wezmę. - Zerknęła na zegarek, po czym przeniosła spojrzenie na Romana. - Gdybyś chciał o coś zapytać, będę w biurze. Wchodzi się do niego z holu.

- Dam sobie radę.

- Dobrze.

Roman obszedł cały teren należący do zajazdu, zanim wziął się za przenoszenie narzędzi do zachodniego skrzydła. Nad stawem spotkał obejmującą się parę, najwyraźniej nowożeńców. Widział też mężczyznę grającego z synkiem w piłkę na małym boisku do koszykówki. Panie, jak zaczął już nazywać w duchu wiekowe siostrzyczki, porzuciły grę w scrabble i siedziały na werandzie, rozmawiając. Czterooosobowa rodzina wysiadła z samochodu combi i, najwyraźniej kompletnie wykończona, podreptała w stronę domków. Mężczyzna w czapeczce do krykieta wszedł na pomost z kamerą filmową na ramieniu.

Słychać było głośny śpiew ptaków i odległy warkot motorówki. Uszu Romana dobiegł też płacz dziecka i dźwięki sonaty fortepianowej Mozarta.

Gdyby osobiście nie sprawdził wszystkich faktów, gotów byłby przysiąc, że trafił w niewłaściwe miejsce.

Postanowił zacząć remont od apartamentu rodzinnego. Ostro zabrał się do roboty. Był ciekaw, kiedy nadarzy mu się okazja wejścia do mieszkania Charity.

Praca fizyczna zawsze go uspokajała. Po dwóch godzinach zrobił krótką przerwę na odpoczynek. Zerknął na zegarek i postanowił podjąć kolejną, tym razem niepotrzebną wyprawę do szopy. Charity wspomniała, że codziennie o piątej po południu w pokoju, który nazywała wspólnym salonem, serwowano wino. Postanowił wykorzystać okazję, by nieco przyjrzeć się gościom.

Po drodze stanął na chwilę przy drzwiach swojego pokoju. Wewnątrz ktoś się poruszył. Roman ostrożnie uchylił drzwi i zajrzał do pokoju.

Charity wyszła z łazienki, nucąc jakąś melodię. Właśnie rozwiesiła czyste ręczniki i wzięła się za ścielenie łóżka.

- Co robisz?

Stłumiła okrzyk i cofnęła się odruchowo. Potem opadła na łóżko i z trudem łapała oddech.

- Mój Boże! Nie rób tego więcej, Romanie. Wszedł do pokoju, nie spuszczać z niej podejrzliwego spojrzenia.

- Pytałem, co robisz?

- To chyba oczywiste. - Poglądziła ręką stertę pościeli.

- Pełnisz też rolę pokojówki?

- Czasami. - Charity wygładziła prześcieradło. - Masz już w łazience mydło i ręczniki - poinformowała. Przechyliła głowę i spojrzała na Romana, - Chyba powinieneś zrobić z nich użytek. - Z wprawą odwinęła wierzchnie prześcieradło. - Pracowałeś?

- Po to tu jestem.

Z pomrukiem zadowolenia wsunęła rogi prześcieradła pod materac w nogach łóżka. Tak samo robiła babcia Romana, kiedy był dzieckiem.

- W szafie schowałam dodatkową poduszkę i koc. - Charity przeszła na drugą stronę łóżka. Obserwował ją z uznaniem. Nie pamiętał, kiedy ostatnio widział kobietę ścielącą łóżko.

- Nie potrafisz być bezczynna?

- Jestem z tego znana. - Rozłożyła na łóżku białą kołdrę, jak dla nowożeńców. - Jutro oczekujemy przyjazdu grupy turystów, więc wszyscy są dziś bardzo zajęci.

- Jutro?

- Tak, Przypłyną pierwszym promem z Sidney. - Z satysfakcją strzepnęła poduszkę. - Czy ty - .

Urwała, bo odwróciła się energicznie i wpadła wprost na Romana. Odruchowo przytrzymał ją za biodra, a ona zacisnęła ręce na jego ramionach. Roman odkrył, że pod puszystym, długim swetrem kryje się szczupłe ciało, znacznie smuklejsze, niż się spodziewał. Oczy Charity były nieprzyzwoicie błękitne, niemal zbyt wielkie. Pachniała tak jak jej zajazd, lawendą i palącym się drewnem. Ten zapach obiecywał strudzonemu podróżnemu wypoczynek i ukojenie, Roman, skuszony rym sugestywnym aromatem, nie puszczał bioder Charity, choć wiedział, że nie powinien jej dotykać.

- Czy ja - co? - Przyciągnął ją jeszcze odrobinę bliżej. Charity zapomniała o bożym świecie. Wpatrywała się w Romana bez ruchu i bez słowa, jakby ogłuszona przepływającymi przez jej ciało doznaniem. Mimowolnie zacisnęła palce na jego koszuli. Wyczuwała siłę i ze zdumieniem uświadomiła sobie, że to ją pociąga.

- Chcesz czegoś? - zapytał Roman.

- Co?

Miał w głowie tylko jedną myśl: pocałować ją, zawładnąć jej ustami. Rozkoszować się jej smakiem, dać się porwać namiętności.

- Pytałem, czy czegoś chcesz? - Wsunął dłonie pod sweter i przesunął je w górę, na talię Charity.

Szarpnęła się do tyłu, jakby porażona dotykem gorących dłoni Romana.

- Nie. - Chciała odejść, umknąć z tego pokoju, ale jej ciało nawet nie drgnęło. Walczyła z narastającą paniką Nagle, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, puścił ją. O dziwo, poczuła rozczarowanie. - Ja tylko.., - Zaczerpnęła głęboko tchu i poczekała chwilę, by się uspokoić. - Chciałam tylko zapytać, czy znalazłeś wszystko, czego potrzebujesz.

- Wygląda na to, że tak - odparł Roman, nie przestając patrzeć Charity w oczy.



Zacisnęła wargi, żeby zwilżyć usta.

- To dobrze. No, nie przeszkadzam ci więcej, zresztą ja też mam jeszcze mnóstwo do zrobienia.

Przytrzymał jej rękę, zanim zdążyła się cofnąć. Może to nie było zbyt mądre, ale znowu zapragnął jej dotknąć.

- Dziękuję za ręczniki.

- Proszę.

Roman odprowadził wzrokiem wychodzącą Charity, która - wiedział to doskonale - była równie roztrzęsiona jak on. W zamyśleniu sięgnął po papierosa.

Mógł to wykorzystać. Mógł zbliżyć się do niej i umiejętnie grać na jej emocjach. Poczuł nagły niesmak i zapalił zapałkę.

Miał tu do wykonania ważne zadanie i nie mógł sobie pozwolić na myślenie o Charity Ford inaczej niż jako o osobie, która ułatwi mu osiągnięcie celu.

Zaciągnął się dymem i zaklął.

## ROZDZIAŁ 2

Świtało. Niebo na wschodzie wyglądało fantastycznie. Roman stał na skraju wąskiej drogi z rękami w tylnych kieszeniach spodni. Rzadko miał czas rozkoszować się takimi pięknymi porankami, kiedy powietrze było jeszcze chłodne i krystalicznie czyste. Tutaj człowiek mógł odetchnąć pełną piersią, wyrzucić z głowy wszystkie troski.

Obiecał sobie pół godziny odpoczynku, trzydzieści minut samotności i spokoju. Słońce wynurzyło się spośród skłębionych chmur, nadając im olśniewające barwy i kształty. Miał ochotę zapalić papierosa, ale powstrzymał się. Chciał jeszcze przez chwilę wciągnąć w płuca czyste, przesiąknięte zapachem morza powietrze.

Odległe szczekanie psa podkreślało jeszcze atmosferę tego miejsca. Mewy wyleciały już na pierwszy posiłek i krążyły nisko nad wodą, rozcinając ciszę ostrymi, przenikliwymi okrzykami, Lekki wiatr roznosił aromat wiosennych kwiatów.

Dlaczego właściwie zawsze był laki pewien, że woli ruch i hałas wielkich miast?

Kiedy tak stał w bezruchu, sarna wysunęła się ostrożnie z lasu i czujnie uniosła łeb - To jest właśnie wolność, pomyślał niespodziewanie. Znać swoje miejsce i zadowolić się nim. Łania wyszła spomiędzy drzew i niemal tanecznym krokiem ruszyła w stronę kępy wysokiej trawy. W ślad za nią pospieszył niezgrabnie jelonek na tyczkowatych nogach. Roman obserwował spokojnie pasące się zwierzęta.

Był podenerwowany. Próbował wchłonąć w siebie panujący dokoła spokój, jednak nie opuszczał go niepokój. To nie było miejsce dla niego. Właściwie nigdzie nie czuł się naprawdę u siebie. Miedzy innymi dlatego właśnie tak świetnie nadawał się do swojej pracy. Bez korzeni, bez rodziny, bez kobiety, która czekałaby na jego powrót. To mu odpowiadało.

Mimo to zajmując się wczoraj stolarka, wyciskając swe piętno na przedmiotach, które miały trwać latami, odczuwał ogromną satysfakcję. Próbował sobie wmówić, że chodzi mu tylko o maksymalne uwiarygodnienie kamuflażu. Powtarzał sobie, że jeżeli wykaże się zdolnościami i pracowitością, to zostanie zaakceptowany.

Już został zaakceptowany.

Charity mu zaufała. Dała mu dach nad głową, wyżywienie i pracę, bo uważała, że tego potrzebuje. Wydawała się osobą całkowicie pozbawioną wyrachowania. Coś zaiskrzyło pomiędzy nimi poprzedniego wieczora, chociaż dziewczyna nie zrobiła absolutnie nic, żeby to sprowokować czy przedłużyć. Nie było w niej za grosz właściwiej wszystkim kobietom - Roman był o tym święcie przekonany - kokieterii.

Znów naszła go chęćka na papierosa, ale stłumił ją. Wychodził z założenia, że kiedy człowiek czegoś za bardzo chce, powinien sobie tego odmówić.

Pragnął Charity. Przez jedną, oszałamiającą chwilę poprzedniego dnia ogarnęła go ślepa żądza. A to poważny błąd. Zdołał zdławić własne pragnienia, ale cały czas czaiły się tuż pod powierzchnią, gotowe znów wyrwać się spod kontroli. Jak wtedy, gdy Charity wróciła aa noc do swego pokoju i po chwili dobiegły z góry dźwięki muzyki Szopena. I jeszcze później, kiedy obudził się w środku nocy w wiejskiej ciszy i zaczął marzyć...

Gdyby spotkali się w innym miejscu i w innych okolicznościach, mogliby cieszyć się sobą, póki wzajemna fascynacja by się nie wypaliła. Jednak Charity była wyłącznie elementem prowadzonej przez niego sprawy.

Gdzieś w pobliżu rozległ się tupot biegnących stóp i Roman wrócił do rzeczywistości. Łania, spięta tak samo jak on, szybko umknęła wraz ze swym młodym pomiędzy drzewa. Roman z przyzwyczajenia przypiął rano pistolet do nogi tuż nad kostką, ale po niego nie sięgnął. Gdyby broń okazała się potrzebna, znalazłaby się w jego dłoni w ułamku sekundy. Na razie czekał, żeby zobaczyć, kto biegł o świcie opustoszałą leśną drogą.

Charity oddychała szybko, bardziej ją zmęczyło szybkie tempo narzucone przez psa niż pięciokilometrowy bieg. Ludwig wyrwał do przodu, szarpał w prawo i w lewo. Ciągnął smycz. To, należało do codziennej rutyny, do której oboje - pani i pies - przywykli. Mogła oczywiście okiełznać temperament psa, ale nie chciała psuć mu zabawy. Kluczyła więc wraz z nim i dostosowywała krok do narzucanego przez ulubieńca tempa, przechodząc od szybkiego biegu do lekkiego truchtu i z powrotem.

Zawahała się na widok Romana, ale Ludwig wyrwał się do przodu, więc tylko mocniej zacisnęła w dłoni smycz i pobiegła za nim.

- Dzień dobry! - zawołała i pośliznęła się, starając się zatrzymać niemal w miejscu, bo pies rzucił się ze szczekaniem ku nieznanemu mężczyźnie. - On nie gryzie.

- Wszyscy tak mówią. - Roman pochylił się i podrapał zwierzę za uszami. Ludwig natychmiast położył się do góry brzuchem, domagając się głaskania. - Dobry piesek.

- Dobry, ale okropnie rozpuszczony - dodała Charity. - Ze względu na gości muszę go zamykać, ale jada jak król. Wcześniej wstałeś.

- Ty też.

- Uważam, że Ludwigowi należy się rano porządny spacer, skoro tak grzecznie znosi zamknięcie.

Ludwig postanowił widocznie okazać pani swoje uznanie, bo zrobił pędem rundę wokół Romana, omotując jego nogi smyczą.

- Niestety, nie zdołałam mu wytłumaczyć, na czym polega chodzenie na smyczy. - Charity westchnęła i pochyliła się, żeby uwolnić Romana i powstrzymać harce psa.

Lekka, zapinana na suwak bluza rozsunęła się, odsłaniając dopasowany podkoszulek, który pomiędzy piersiami pociemniał od potu. Związane z tyłu proste włosy uwydatniały regularne rysy twarzy. Zaróżowiona po biegu skóra wydawała się niemal przezroczysta. Romana kusilo, by dotknąć Charity i przekonać się, czy także teraz uda mu się wywołać jej natychmiastową reakcję.

- Ludwig, bądź choć przez chwilę spokojny - roześmiała się Charity i pociągnęła psa. Podskoczył i polizał twarz swojej pani.

- Niezbyt posłuszny - zauważył Roman.

- Rozumiesz już, dlaczego muszę go zamykać. Jest świecie przekonany, że może bawić się ze wszystkimi.

Charity, odplątując smycz, przesunęła dłonią po nodze Romana. Złapał ją za nadgarstek i oboje zamarli. Czuł, że puls Charity gwałtownie przyspieszył. Ta szybka, niemożliwa do ukrycia reakcja podziałała na niego niezwykle podniecająco. Chciał tylko, by nie odkryła przytroczonej do nogi broni, a tymczasem stali bez ruchu na środku opustoszałej drogi, a pies starał się za wszelką cenę wcisnąć pomiędzy nich.

- Drżysz - stwierdził z niepokojem, ale nie puścił jej ręki. - Zawsze tak reagujesz na dotyk mężczyzny?

- Nie. - Zmieszana Charity nie poruszyła się, zdawała się czekać na to, co nastąpi. - Przydarzyło mi się to po raz pierwszy.

Ta odpowiedź sprawiła mu w pierwszej chwili ogromną przyjemność, ale zaraz przywołał się do porządku.

- W takim razie powinniśmy bardziej uważać, prawda? - Puścił jej rękę i wstał.

Charity również się wyprostowała, choć znacznie wolniej i ostrożniej, bo nic miała pewności, czy zdoła utrzymać równowagę. Roman był wściekły. Starał się tego nie okazywać.

- Ostrożność nie jest moją najmocniejszą stroną.

- A moją tak - odparł, patrząc jej prosto w oczy.

- Widzę. - Zaniepokoił ją nagły błysk w oczach Romana, ale nie zwykła owijać w bawełnę, - Pewnie musiałeś nauczyć się panowania nad sobą, skoro masz w twarzy taki rys okrucieństwa. Na kogo jesteś taki wściekły?

Nic spodobało mu się, że został rozszyfrowany. Nie spuszczać wzroku z twarzy Charity, pochylił się, żeby pogłaskać Ludwiga, który opierał się przednimi łapami o jego kolano.

- W tej chwili na nikogo - skłamał. Był zły, ale na siebie.

Charity pokręciła głową.

- Masz prawo do tajemnic, co nie oznacza, że ja przestanę się zastanawiać, dlaczego tak bardzo złości cię to, że na mnie reagujesz.

Roman, od niechcienia omiół wzrokiem drogę. Nikogo, jakby byli jedynymi ludźmi na wyspie.

- Chciałabyś, żebym coś z tym zrobił? Tu i teraz? Zrozumiała, że byłby do tego zdolny, jeżeli zostanie sprowokowany, to zrobi to, na co ma ochotę. Poczwała dreszcz emocji, a przecież macho to nie był jej wymarzony typ mężczyzny. Może dla innych kobiet stanowił ucieleśnienie fantazji, ale nie dla Charity Ford. Ostentacyjnie spojrzała na zegarek.

- Dzięki. Jestem pewna, że to wspaniała propozycja, jednak muszę wracać, żeby zadysponować śniadanie. - Walcząc z rozdokazywanym psem, oddaliła się dystygowanym - miała nadzieję - krokiem.

- Charity?

- Tak? - Odwróciła głowę i obrzuciła go chłodnym spojrzeniem.

- Masz rozwiązane sznurowadło. Odeszła z wysoko podniesioną głową.

Roman uśmiechnął się do jej sztywno wyprostowanych pleców i wsunął kciuki do kieszeni. Ta kobieta miała rzeczywiście piekielnie efektowny chód. A na domiar złego zaczynał ją lubić.

Zainteresowali go członkowie grupy wycieczkowej. Roman mógł swobodnie poruszać się po pierwszym piętrze, wpadać do kuchni na kawę i pogaduszki ze zwałistą Mae i kościstą Dolores. Nie spodziewał się, że zostanie zaprzęgnięty do pracy, a jednak wręczono mu stos obrusów. Nie pozostawało więc mu nic innego, jak wyciągnąć z tej sytuacji maksimum korzyści.

Charity, ubrana w jaskrawoczerwony podkoszulek z logo zajazdu, umieściła starannie złożoną serwetkę w szklaneczce. Roman przyglądał się, jak zręcznie wygładza obrus.

- Gdzie mam to zanieść?

- Zaczynj od rozłożenia ich na stolikach. Najpierw biały, a na wierzch morelowy, na ukos. Widzisz? - Pokazała mu gestem nakryty już stolik.

- Jasne. - Roman zaczął rozkładać obrusy. - Ilu osób spodziewasz się na śniadaniu?

- Piętnastu uczestników wycieczki. - Obejrzała szklanekę pod światło i zadowolona odstawiała ją na stół. - Ta grupa ma śniadanie wliczone w cenę noclegu. Plus oczywiście goście zajazdu. Zdarzają się też osoby, które przychodzą bez uprzedzenia, żeby coś zjeść. - Zerknęła na zegarek i podeszła do następnego stolika. Postawiła z boku talerz z cienko pokrojonym chlebem i sięgnęła po następny. - Śniadanie podajemy pomiędzy siódmą trzydzieści a dziesiątą. Tłoczno robi się w porze lunchu i obiadu.

Dolores wpadła do jadalni ze stertą porcelanowych talerzy i zaraz uciekła, wezwana przez Mae. Wahadłowe drzwi nie zdążyły się za nią zamknąć, a już wbiegła przez nie kobieta, którą minęli poprzedniego dnia na drodze. Niosła na tacy stertę sztućców.

- Jasne - mruknął Roman pod nosem.

Charity pospiesznie wydała instrukcje kelnerce, skończyła nakrywać kolejny stół i podeszła do ustawionej przy drzwiach tablicy. Starannym, eleganckim pismem zaczęła kaligrafować jadłospis.

Dolores, której sterczące, sztywne jak druty rude włosy i nadąsane usta przywodziły Romanowi na myśl chuderlawego kurczaka, wpadła przez wahadłowe drzwi do jadalni i wzięła się pod boki.

- Nie muszę tego znosić.

- Czego nie musisz znosić? - zapytała spokojnie Charity, nie przerywając pisania.

- Staram się najlepiej, jak umiem, ale mówiłam ci już, że nie czuję się dobrze.

Dolores nigdy nie czuje się dobrze, pomyślała Charity, dopisując do listy potraw omlęt z szynką i serem. Szczególnie kiedy nie uda jej się postawić na swoim.

- Tak, Dolores.

- Czuję taki ucisk w piersiach, że ledwo oddycham.

- Aha.

- Pół nocy nie spałam, ale rano przyszłam do pracy jak zwykle.

. - Doceniam twoje poświęcenie, Dolores. Wiesz, jak bardzo na tobie polegamy.

- Cóż... - Udobruchana Dolores obciągnęła fartuch. - W pracy zawsze będziesz mogła na mnie liczyć, ale musisz powiedzieć tamtej babie - co wskazała kciukiem do tyłu, na drzwi do kuchni - żeby przestała się mnie czepiać.

- Porozmawiam z nią, Dolores. Zdobądź się jeszcze na odrobinę cierpliwości. Wszyscy jesteśmy dzisiaj trochę przemęczeni, bo Mary Alice znowu zachorowała.

- Zachorowała! - parsknęła pogardliwie Dolores. - Tak się to teraz nazywa?

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Charity nie przerywała pisania i słuchała kucharki jednym uchem.

- Skoro jest taka chora, to dlaczego jej samochód stał przez całą noc na podjeździe u Billa Perkinsa. Przy moim stanie zdrowia...

Charity przerwała wypisywanie menu.

- Później o tym porozmawiamy - ucięła. Dolores spokorniała i wycofała się do kuchni. Charity zwróciła się do kelnerki.

- Lori?

- Prawie gotowe.

- Dobrze. Zajmij się stałymi gośćmi. Przyjdę ci pomóc, kiedy rozlokuję wycieczkę.

- Nie ma sprawy.

- Będę w recepcji z Bobem. - Odrzuciła warkocz do tyłu. - Przyślij po mnie, gdybyś nie dawała sobie rady. Roman...

- Chciałabyś, żebym podawał do stołu?

- Potrafisz? - Spojrzała na niego z wdzięcznością, i uśmiechnęła się.

- Tak sędzę.

- Dzięki. - Spojrzała na zegarek i szybko wyszła z jadalni.

Nieoczekiwanie Roman znalazł zadowolenie w podawaniu do stołu. Panna Millie flirtowała z nim na całego. Zapach domowej szarlotki z cynamonem oraz stonowane dźwięki muzyki poważnej, którym towarzyszył cichy szmer rozmów, sprawiały, że każdy musiał się odprężyć. Roman posłusznie nosił tace, a utarczki słowne Mae i Dolores wydawały mu się raczej zabawne niż irytujące.

Kiedy sprzątał ze stolików pod oknem, autokar wycieczkowy właśnie podjechał pod frontowe wejście. Policzył przyjezdnych i uważnie się im przyjrzał. Przewodnik, wysoki mężczyzna w białej koszuli, prowadził grupę do zajazdu, a uśmiech nie schodził z jego okrągłej, rumianej twarzy. Roman przeszedł na drugą stronę jadalni, żeby rzucić okiem na kłębiących się w holu ludzi.

Grupa składała się z kilku par i rodzin z małymi dziećmi. Przewodnik, który, jak już Roman wiedział, nazywał się Block, powitał Charity radosnym uśmiechem i podał jej listę gości.

Ciekawe, czy Charity wiedziała, że Block odsiadywał w Laevenworth karę za oszustwo. Czy zdawała sobie sprawę, że człowiek, z którym właśnie beztrudnie żartowała, zdołał uniknąć powtórnego wyroku tylko dzięki kruczkom prawnym?

Kiedy Charity przydzieliła pokoje turystom i rozdała wszystkim klucze, dwóch gości podeszło do recepcji, żeby wymienić pieniądze. Jak zauważył Roman, jeden wymieniał

pięćdziesiąt, a drugi sześćdziesiąt dolarów kanadyjskich. Asystent Charity podał im dolary amerykańskie.

Nie minęło dziesięć minut, a cała grupa rozsiadła się w jadalni w oczekiwaniu na śniadanie. W ślad za nimi zjawiała się Charity, zawiązując po drodze fartuszek. Wyciągnęła bloczek i zaczęła przyjmować zamówienia.

Wcale się nie spieszyła. Rozmawiała z gośćmi, uśmiechała się i odpowiadając na pytania, jakby miała dużo czasu do dyspozycji. Poruszała się jednak sprawnie i zręcznie. Na prawej ręce niosła trzy talerze, w lewej dzbanek z kawą którą nalewała po drodze gościom, równocześnie zagadując jedno z dzieci.

A jednak coś ją nurtowało, Roman nie miał co do tego wątpliwości. Czyżby rano wydarzyło się coś, co umknęło jego uwagi? Jeśli to dotyczy przestępczego procederu, powinien to odkryć i wykorzystać do swoich celów. Właśnie dlatego został zainstalowany tutaj, w zajeździe.

Charity podeszła do czteroosobowego stolika, żeby dolać gościom kawy, pożartowała z łysym mężczyzną i ruszyła w stronę Romana.

- Chyba najgorsze już za nami.

- Czy jest coś, czego nie potrafiłabyś zrobić sama?

- Próbuję trzy mać się z dala od kuchni. To trzygwiazdkowa restauracja. - Rzuciła tęskne spojrzenie na dzbanek kawy. Przyjdzie na to czas później. - Chcę ci podziękować, że włączyłeś się do pracy.

- Nie ma o czym mówić. - Roman uświadomił sobie nagle, że chciałby zobaczyć na twarzy Charity szczery uśmiech. - Dostałem rewelacyjne napiwki. Panna Millie wsunęła mi piąta.

- Wpadłeś jej w oko w tym pasie z narzędziami. Odpocznij teraz trochę, zanim weźmiesz się za remont zachodniego skrzydła.

- Dobrze.

Skrzywiła się, słysząc brzęk tłuczonego szkła.

- Chyba dziecko Snyderów nie miało ochoty na sok pomarańczowy - - Ruszyła, żeby uprzątnąć bałagan i przyjąć przeprosiny rodziców.

W recepcji było pusto. Pomocnik Charity albo przebywał w biurze, albo roznosił bagaże gości. Romanowi przemknęło przez głowę, żeby wsunąć się za biurko i zajrzeć do książek, ale uznał, że to może poczekać. Pewne sprawy lepiej załatwiać pod osłoną nocy.

Godzinę później Charity szła do zachodniego skrzydła. Udało jej się ukryć zniecierpliwienie, kiedy po drodze natknęła się na gości z pierwszego piętra. Z uśmiechem



pogawędziła przez parę minut ze starszym małżeństwem, ale kiedy tylko skręcili za róg, pozwoliła sobie na serię pełnych tłumionej wściekłości przekleństw. Miała ochotę coś kopnąć.

Roman stanął w drzwiach i obserwował zbliżającą się korytarzem Charity.

- Jakiś problem?

- Tak - warknęła. Minęła go, zrobiła kilka kroków i obróciła się na pięcie. - Mogę znieść niekompetencję, a nawet głupotę. Mogę nawet czasami przymknąć oko na odrobinę lenistwa. Nie dopuszczę jednak, by mnie oszukiwano.

- Rozumiem.

- Mogła mi przecież powiedzieć, że chce wziąć wolny dzień albo inną zmianę. Dałoby się to jakoś zorganizować. Wołała mnie okłamać. Zadzwoiła w ostatniej chwili, że jest chora i nie przyjdzie. To już piąty dzień nieobecności w pracy w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Zaczęłam się nawet o nią martwić. - Charity odwróciła się i wreszcie uległa pokusie: kopnęła w drzwi. - Nienawidzę, jak się ze mnie robi idiotkę. Nie cierpię, gdy się mnie oszukuje.

- Mówisz o kelnerce.., Mary Alice? - Roman bez trudu dodał dwa do dwóch.

- Oczywiście! - Odwróciła się gwałtownie, - Przyjechała tu trzy miesiące temu i błagała mnie o pracę. Mamy w tym okresie martwy sezon, ale zrobiło mi się jej żal, więc ją przyjąłem. A teraz sypia z Billem Perkinem, a mnie częstuje historyjkami o chorobie. Muszę ją wyrzucić. - Charity głośno westchnęła - Głowa mi pęka na samą myśl, że mam kogoś zwolnić.

- I to cię tak dręczyło przez cały ranek?

- Myślałam o tym od chwili, gdy Dolores wspomniała o Billu. - Już spokojniejsza zaczęła rozcierać pulsujące bólem czoło pomiędzy oczami. - Potem musiałam zająć się rozłokowaniem gości, pomoc w wydawaniu posiłku i dopiero mogłam zadzwonić do Mary Alice, żeby się z nią rozprawić. Płakała - Charity rzuciła Romanowi żalosne spojrzenie. - Wiedziałam, że się rozplacze.

- Powinnaś połknąć aspirynę i przestać o tym myśleć.

- Już wzięłam.

- Pozwól aspirynie zaciąć działać. - Ku własnemu zaskoczeniu, Roman ujął twarz Charity w dłoń i zaczął masować jej skronie okrężnymi ruchami kciuków. - Za dużo masz na głowie.

Odchyliła głowę i pozwoliła powiekom opaść. Instynktownie zrobiła krok do przodu.

- Romanie. - Westchnęła z ulgą, bo ból ustąpił. - Mnie również podobasz się w tym pasie z narzędziami.

- Czy na pewno wiesz, co mówisz?

Przyjrzała się jego pełnym ustom. Z pewnością potrafiły być nieustępliwe i żądać posłuszeństwa, kiedy spoczęły na kobiecych wargach.

- Niezupełnie. - Te uczucia były dla niej nowe i napełniały ją lękiem. - Może to lepiej.

- Nie. - Roman zdawał sobie sprawę, że popełnia błąd, ale nie mógł się oprzeć pokusie dotknięcia jej warg, - Zawsze lepiej znać konsekwencje własnego postępowania, zanim przystąpi się do akcji.

- A więc wracamy do ostrożności we wzajemnych stosunkach.

- Tak.

Wycofał się w porę. Powinna być mu wdzięczna, a tymczasem czuła się odtrącona. Przecież sam to wszystko zaczął. I sam zakończył.

- W ten sposób omija cię wiele przyjemności, nie sądzisz?

- I wiele rozczarowań.

- Możliwe. Jeśli tak wolisz, to trudno, twój wybór. - Ból głowy powrócił ze zdwojoną siłą - Więcej mnie nie dotykaj. Bo ja zwykłam kończyć to, co zaczęłam. - Zajrzała do pokoju i powiedziała - Wykonałeś kawał dobrej roboty. Pozwolę ci do niej wrócić.

Roman przeklinał w duchu Charity, z furią szlifując papierem ściernym stolarkę okienną. Jakim prawem wzbudziła w nim poczucie winy za to, że pragnął zachować dystans?! Unikanie związków uczuciowych nie było jedynie nawykiem; było kwestią przetrwania. Tylko samobójca mógłby wiązać się z każdą kobietą, która go pociągała.

Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, za kilka dni stąd wyjedzie.

Zobaczył przez okno Charity, zmierzającą tym swoim pewnym, zdecydowanym krokiem do furgonetki. W ręku miała kluczyki. Za nią szli nowożeńcy, trzymali się za ręce, chociaż każde z nich niosło walizkę.

Domyślił się, że Charity odwiezie ich na przystań. To dawało mu godzinę na przeszukanie jej mieszkania.

Potrafił dokładnie, centymetr po centymetrze, przetrząsnąć pokój, nie zostawiając śladów. Zaczął od najbardziej oczywistego schowka - od biurka w małym saloniku. W domowym zaciszu ludzie bardzo często zachowywali się niefrasobliwie. Wyćwiczone oko bez trudu odnajdowało beztrząsco pozostawione strzępy papieru z nagryzłymi notatkami czy podejrzanymi nazwiskami w notesie z adresami.

Miał przed sobą stare, mahoniowe biurko z kilkoma rysami i okrągłymi śladami po szklance. Dwa mosiężne uchwyty były obłuzowane. W całym pokoju panował idealny porządek. Papiery osobiste - polisy ubezpieczeniowe, rachunki i korespondencja - zostały

umieszczone po lewej stronie, a dokumenty ośrodka zajmowały trzy szuflady po prawej stronie biurka.

Wystarczył jeden rzut oka, by zorientować się, że całkiem przyzwoity dochód zajazdu inwestowany był w lwiej części w rozwój firmy. Nowa pościel, wyposażenie łazienek, modernizacja. Piec, którego Mae tak zazdrośnie strzegła, został zainstalowany dopiero pół roku temu.

Charity wyznaczyła sobie zadziwiająco skromne wynagrodzenie. Mimo dokładnego sprawdzania Roman nie znalazł żadnych dowodów na to, że korzysta z finansów zajazdu, by regulować własne wydatki.

Kryształowo uczciwa. Przynajmniej z pozoru.

Na blacie biurka umieszczono misę z potpourri, podobnie zresztą jak we wszystkich pokojach hotelowych. Obok zauważył oprawione w ramkę zdjęcie Charity stojącej w towarzystwie niedużego siwowłosego mężczyzny na tle młyńskiego koła.

Roman domyślił się, że to jej dziadek, ale to nie postać starszego pana przykuła teraz jego uwagę. Wpatrywał się w twarz Charity. Miała włosy związane w koński ogon i workowaty, poplamiony na kolanach kombinezon. Pewnie pracowała w ogrodzie. Trzymała całe naręcze letnich kwiatów. Jej twarz wyrażała bez troskę, ale wolną ręką troskliwie podtrzymywała staruszka.

O czym wtedy myślała i co zrobiła potem? Rozzłościł się na siebie i odwrócił wzrok od fotografii. Zauważył notatki skreślone na kartce ręką Charity: „Oddać próbki tapet. Nowe zameczki do komody. Wezwać stroiciela pianina. Zrobić naprawy w mieszkaniu”.

Roman nie znalazł niczego, co w jakikolwiek sposób wiązałoby się ze sprawą, która sprowadziła go do zajazdu. Zostawił biurko w spokoju i metodycznie przeszukał resztę saloniku.

Potem wszedł do przyległej sypialni. Łóżko ze wspartym na czterech słupkach baldachimem było zasłane białą koronkową narzutą i zarzucone pikowanymi poduszkami. Obok stał piękny, stary fotel na biegunach, którego gładkie, wypolerowane poręcze lśniły. W fotelu siedział wielki, fioletowy miś w żółtych szelkach.

Baldachim nadawał łóżku romantyczny charakter. Charity zostawiła otwarte okno i wpadający przez nie powiew lekko poruszał delikatnymi zasłonami. To był typowo kobiecy pokój, a jednak te koronki, poduszczyki, delikatne aromaty i pastelowe barwy zdawały się wabić mężczyznę, budzić w nim pragnienia, skłaniać do marzeń. Roman zapragnął spędzić tu choć jedną noc. Zanurzyć się w tej delikatności i zaznać ukojenia.

Wygładził zmarszczkę na dywaniku ręcznej roboty i pełen niesmaku do samego siebie zajrzał do toaletki Charity.

Znalazł kilka sztuk biżuterii, niewątpliwie odziedziczonej. Z irytacją pomyślał, że powinny leżeć w sejfie. Zobaczył też flakonik perfum. Z góry wiedział, jak będą pachniały. Znał przecież zapach skóry Charity. Już wyciągnął rękę po buteleczkę, kiedy uświadomił sobie, co robi. Perfumy nie należały do sfery jego zainteresowań. Miał szukać dowodów.

Nagle wzrok Romana przyciągnął pakiet listów. Od kochanka? Niespodziewanie poczuł ukłucie zazdrości. Śmieszne!

Doszedł do wniosku, że to ten pokój doprowadza go do szału, i ostrożnie rozwiązał cienką jedwabną wstążeczkę, którą były przewiązane listy. Z widniejącej na liście daty wywnioskował, że korespondencja pochodziła z okresu, gdy Charity chodziła do college'u w Seattle. Wszystkie listy pisane były przez dziadka i świadczyły o jego ogromnej miłości i sporej dozie poczucia humoru. Zawierały dowcipne opisy drobnych wydarzeń, z życia codziennego zajazdu.

Ubrania Charity były całkiem zwyczajne, jeśli nie liczyć kilku wiszących w szafie sukienek. Znalazł solidne buty, poplamione trawą trampki, dwie pary eleganckich pantofli na obcasach i śmieszne puchate kaptcie w kształcie słoni. Obuwie, podobnie jak wszystko w pokoju, było porządnie, metodycznie ustawione. Nawet na szafie Roman nie znalazł śladu kurzu.

Nocny stolik. Budzik, słoiczek kremu do rąk, dwie książki. Tomik poezji i kryminał. W .szufladce natrafił na zapas czekolady i przenośny odtwarzacz stereo z płytą Szopena, W całym pokoju rozstawione były w różnym stopniu wypalone świece. Na jednej ze ścian wisiał obraz przedstawiający wzburzone morze, utrzymany w głębokich granatach i szarościach. Na innej kolekcja zdjęć wykonanych przeważnie w zajeździe. Wiele przedstawiało dziadka Charity. Roman zajrzał za jedno z nich. Znalazł tylko prostokąt ciemniejszej farby. Nic więcej.

Pokoje były czyste. Roman stał na środku sypialni, wdychał zapach wosku ze świec, potpourri i perfum. Nawet gdyby Charity przewidywała rewizję, nie mogłaby staranniej wysprzątać mieszkania. Po godzinnych poszukiwaniach Roman dowiedział się tylko, że była osobą doskonale zorganizowaną, lubiła wygodne ubrania i muzykę Szopena, miała słabość do czekolady i kryminałów.

Dlaczego był tym tak zafascynowany?

Skrzywił się, schował ręce do kieszeni i starał się zdobyć na obiektywizm, z czym dotychczas nie miał najmniejszych problemów. Inne dowody wskazywały na udział Charity

w pewnym podejrzanym procederze. Natomiast poczynione przez Romana w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin obserwacje świadczyły, że była osobą szczerą, uczciwą i ciężko pracującą.

I w co tu wierzyć?

Otworzył drzwi w przeciwległej ścianie i wyjrzał na mały ganeczek, z którego zewnętrznymi schodami można było zejść nad staw. Miał ochotę wyjść na świeże powietrze i odetchnąć pełną piersią, ale wrócił, skąd przyszedł.

Zapach sypialni Charity prześladował go jeszcze przez wiele długich godzin.

### ROZDZIAŁ 3

Mówiłam ci, że ta dziewczyna to nic dobrego.

- Wiem, Mae.

- Mówiłam, że popełniasz błąd, przyjmując ją do pracy.

- Tak, Mae. - Charity powstrzymała westchnienie.

- Jeśli będziesz nadal przyjmowała wszystkie przybłądy, to wreszcie się doigrasz.

- To też już mówiłaś. - Charity z trudem oparła się pokusie podniesienia głosu.

Z pomrukiem satysfakcji Mae skończyła polerować do połysku swą największą dumę i radość - ośmiopalnikową kuchenkę gazową. Owszem, teoretycznie to Charity kierowała ośrodkiem, ale Mae miała własne zdanie w kwestii tego, na czyich barkach spoczywa największa odpowiedzialność.

- Masz stanowczo zbyt miękkie serce - stwierdziła surowo. Ponieważ jednak serdecznie lubiła młodą pracodawczynię, więc naląła jej szklanek mleka i ukroiła gruby kawałek pysznego ciasta z podwójną czekoladą. - Zajadaj. W dzieciństwie moje łakocie zawsze poprawiały ci nastrój.

Charity usiadła przy stole i wsadziła palec w czekoladową polewę.

- Przecież dałabym jej wolny dzień.

- Wiem. - Mae pogładziła ramię Charity. - Jesteś niezwykle wspaniałomyślna.

- Nienawidzę, jak się ze mnie robi idiotkę. - Charity skrzywiła się i odgryzła kęs ciasta. Była przekonana, że czekolada okaże się znacznie skuteczniejszym lekiem na ból głowy niż cała buteleczka aspiryny. Ale czy zdoła uciszyć wyrzuty sumienia? - Jak sadzisz, czy Mary Alice dostanie inną pracę? Musi przecież płacić czynsz.

- Takie jak ona spadają na cztery łapy. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby wprowadziła się do tego chłopaka Perkinów. Nie ma co się nią przejmować. Uprzedziłam cię, że ta dziewczyna nie popracuje nawet pół roku.

Charity wepchnęła kolejny kawał ciasta do ust.

- Mówiłaś - potwierdziła niewyraźnie.

- A ten mężczyzna, którego przyprowadziłaś do domu? Charity przełknęła łyk mleka.

- Nazywa się Roman De Winter.

- Dziwaczne nazwisko. - Mae rozejrzała się po kuchni, wyraźnie rozczarowana, że nie pozostało już nic do zrobienia. - Co o nim wiesz?

- Potrzebował pracy.

Mae wytarła zaczerwienione ręce o fartuch.

- Pewnie cała masa złodziei kieszonkowych, nałogowych oszustów i seryjnych morderców również potrzebuje pracy.

- On nie jest seryjnym mordercą - stwierdziła stanowczo Charity. Na wszelki wypadek nie wypowiedziała się jednak o pozostałych ewentualnościach.

- Może tak, a może nie.

- To obieżyświat. - Wzruszyła ramionami i odgryzła kolejny kawałek ciasta. - Moim zdaniem nie wędruje bez celu. Doskonale wie, dokąd zmierza. Tak czy owak, George tańczy hula - hula na Hawajach, więc potrzebowałam kogoś do pomocy. Roman dobrze sobie radzi.

Mae postanowiła odbyć wyprawę do zachodniego skrzydła, żeby przekonać się o tym na własne oczy, ale w tej chwili co innego zaprzętało jej głowę.

- On się na ciebie gapi.

Charity wodziła czubkiem palca po rancie szklanki, żeby choć trochę zyskać na czasie.

- Wszyscy na mnie patrzą. Ciągłe jestem na widoku.

- Nie udawaj idiotki, młoda damo. Pudrowałam ci tyłek, kiedy jeszcze latałaś z pieluchą.

- A co to ma do rzeczy? - Charity uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Patrzy? - Wzruszyła ramionami. - Ja też na niego pauzę. - Mae znacząco uniosła brwi. - Przecież ciągle mi powtarzasz, że potrzebuję mężczyzny.

- Są mężczyźni i mężczyźni - orzekła Mae. - Ten na oko nie robi złego wrażenia. Pracy też się nie boi. Niejedno przeżył, moje dziecko, bez dwóch zdań.

- Pewnie wolałabyś, żebym się spotykała z Jimmym Loggermanem.

- To mięczak.

Charity wybuchnęła śmiechem, a potem oparła brodę na rękach.

- Miałaś rację. Naprawdę poczułam się lepiej. Zadowolona Mae odwiązała fartuch. Była przekonana, że Charity to rozsądna dziewczyna, postanowiła jednak mieć Romana na oku.

- To dobrze. Nie jedz już więcej ciasta, bo brzuch cię rozboli i przez całą noc nic zmrużysz oka.

- Tak jest, psze pani.

- I nie zostawiaj mi w kuchni bałaganu - dodała, wciągając luźny zakiet.

- Nie zostawię, psze pani. Dobranoc, Mae.

Kiedy za kucharką zatrzasnęły się drzwi. Charity wydała głębokie westchnienie. Wraz z odejściem Mae dobiegał końca kolejny pracowity dzień. Zapewne goście leżeli w łóżkach

albo kończyli grę w karty. Jeśli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, aż do rana będzie spokój.

Ostatnio coraz częściej zastanawiała się nad zainstalowaniem wanny do masażu wodnego - Mogłaby dzięki temu przyciągnąć do ośrodka część klienteli sanatoriów. Sprawdziła też koszt zakupu solarium i oczami duszy widziała już salę w południowym skrzydle. Zimą goście mogliby przyjeżdżać na kąpiele w gorącej wodzie z bąbelkami, a wieczory spędzać przy ogniu płonącym w kominku ze szklaneczką rumowego ponczu w ręku.

Charity sama chętnie skorzystałaby z takich kąpielei w te nieliczne zimowe dni, kiedy w zajeździe było pusto.

Od dawna zamierzała również otworzyć sklep z pamiątkami, w którym miejscowi artyści i rzemieślnicy mogliby oferować turystom swoje wyroby. Nic szczególnie okazałego. To powinien być niewielki pawilon pasujący stylem do zajazdu.

Ciekawe, czy Roman zostanie tu wystarczająco długo, żeby powierzyć mu to zadanie. Rozsądek nakazywał Charity nie wiązać z nim planów. Niemal od początku ten mężczyzna wzbudził jej żywe zainteresowanie. Może zafrapowało ją to, że tak bardzo się od niej różnił? Małomówny, podejrzliwy, samotny.

A jednak... może to tylko gra jej wyobraźni, ale Charity wydawało się, że Roman jej potrzebuje, choć pewnie nie zdawał sobie z tego sprawy. Dotychczas nie zaznała tylu emocji, co w obecności Romana. Nie pytał, nie prosił, tylko brał to, na co miał ochotę. Zdawała sobie sprawę, że nie potrafi on uszanować kobiecych pragnień. Byłoby więc lepiej, znacznie lepiej, gdyby ograniczyli się do kontaktów zawodowych. Przyjaźń, tak, ale na dystans, i na pewno nie miłość. Jaka szkoda, że tak trudno jej się do tego stosować.

Roman obserwował, jak Charity przesuwiała okruszki ciasta po talerzu. Jej włosy były rozpuszczone i potargane, jakby przeczesane tylko od niechcenia palcami po zdjęciu gumki. Bose, skrzyżowane w kostkach stopy położyła na stojącym naprzeciwko krześle.

Była rozluźniona. Nie przypominała tryskającej energią kobiety, którą miał przed oczami przez cały dzień. Żałował, że nie leżała w łóżku, głęboko uspiona. Wołałby uniknąć kontaktu z nią, bo musiał zajrzeć do biura.

Zdawał sobie sprawę, że powinien wycofać się niezauważony. Nie mógł zrozumieć, co tak bardzo go poruszyło w scenie, aa którą patrzył, co spowodowało jego niepokój? W kuchni było ciepło, w powietrzu unosił się aromat ciasta i używanych przez Mae środków czystości o zapachu leśnym i cytrynowym. Nad zlewem wisiał koszyk, z którego niemal kipiała jakaś bujna, zielona roślina. Każdy centymetr był wyszorowany do połysku. Ogromna lodówka cicho szumiała.



Charity rozsiadła się wygodnie, jakby czekała tu na niego, by uciąć sobie z nim miłą pogawędkę.

To obłąd! Roman nie życzył sobie, by jakakolwiek kobieta czekała na niego, a szczególnie ta kobieta.

Jednak nie ukrył się w mroku jadalni, choć wystarczyło się wycofać. Zrobił krok do przodu i stanął w pełnym świetle.

- Myślałem, że ludzie na wsi wcześniej chodzą spać i bardzo rano wstają.

Charity drgnęła zaskoczona, ale szybko się opanowała. Zaczynała przywykać do jego cichego, niemal kociego sposobu poruszania się.

- Przeważnie lak. Mae uraczyła mnie czekoladą i cennymi radami. Chcesz ciasta?

- Nie.

- To dobrze. Gdybyś chciał, ukroiłabym i sobie, a polem odchorowałabym obżarstwo. Nie mam za grosz silnej woli. A może masz ochotę na piwo?

- Tak. Dziękuję.

Charity leniwie podniosła się miejsca, podeszła do lodówki i zaproponowała mu kilka gatunków piwa. Wybrane przez Romana nałapała do szklanki.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? - zapyłała półgłosem. Łapczywie pociągnął piwa, jakby umierał z pragnienia.

- Masz piękną twarz - odparł Roman. Rozsiadł się wygodnie i sięgnął po papierosa, a ona wyjęła z szuflady popielniczkę i zajęła miejsce obok niego.

- Z radością przyjmuję komplementy, jakie zdarza mi się usłyszeć, ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- To jest najczęstszy powód, dla którego mężczyźni przyglądają się kobietom. - Wypił kolejny łyk piwa - Miałaś pracowity wieczór.

Charity postanowiła zrezygnować z drażenia tematu.

- Owszem. Muszę szybko znaleźć nową kelnerkę. Nie miałam dotychczas okazji podziękować ci za pomoc podczas obiadu.

- Żaden problem. Przeszedł ci ból głowy? Obrzuciła go uważnym spojrzeniem. Nie kpił z niej.

Wydawało jej się nawet, choć nie potrafiłaby wyjaśnić, skąd wzięło się to przekonanie, że tym pytaniem pragnął ją przeprosić. Postanowiła przyjąć te dziwne przeprosiny.

- Tak. dziękuję. Awantura z tobą pozwoliła mi oderwać myśli od Mary Alice, a czekoladowe ciasto Mae dokonało reszty. - Zastanawiała się przez chwile, czy nie zaparzyć sobie herbaty, ale lenistwo zwyciężyło i zrezygnowała, - A jak tobie minął dzień?

Uśmiechnęła się do niego, oferując przyjaźń, której Roman nie mógł odrzucić, chociaż nie powinien jej przyjmować.

- Nieźle. Panna Millie twierdziła, że drzwi jej pokoju się zacinają więc udałem, że je naprawiam.

- Czym ją uszczęśliwiłeś.

Nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

- Chyba jeszcze nikt nie patrzył na mnie tak lubieżnym wzrokiem.

- Wyobrażam sobie. - Charity przechyliła głowę na bok, jakby chciała przyjrzeć się Romanowi z innej perspektywy. - Nie chciałabym urazić twojego ego, ale spojrzenie panny Mille należałoby przypisać raczej jej krótkowzroczności niż pożądaniu. Jest tak próżna, że za żadne skarby świata nie założyłaby okularów w obecności mężczyzny powyżej dwudziestki.

- Ja jednak nadal uważam, że przyglądała roi się pożądliwie - oświadczył. - Powiedziała mi, że od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego przyjeżdża tu dwa razy do roku. - Roman nie był w stanie zrozumieć, jak można ciągle wracać w to samo miejsce.

- Ona i panna Lucy są naszymi stałymi gośćmi. W dzieciństwie byłam przekonana, że należą do rodziny.

- Od dawna prowadzisz zajazd?

- Właściwie w taki czy inny sposób przez całe dwadzieścia siedem lat życia. - Charity odchyliła się i uśmiechnęła. Umiała się szybko odprężyć i lubiła widzieć wokół siebie wypoczętych, rozluźnionych ludzi. Roman sprawiał takie wrażenie. Siedział z wyciągniętymi pod stołem nogami i szklanką piwa w ręku. - W gruncie rzeczy nie interesuje cię historia mojego życia, prawda?

Wydmuchnął z ust smugę dymu.

- Nie powiedziałbym. - Chciał posłuchać jej wersji wydarzeń, które znał już z akt osobowych.

- Więc dobrze. Urodziłam się tutaj. Moja mama zakochała się późno. Dobiegała już czterdziestki, kiedy przyszłam na świat. Była wątła, pojawiły się komplikacje. Po jej śmierci wychowywał mnie dziadek, więc dzieciństwo spędziłam tutaj, w zajazdzie. Oczywiście poza okresami, gdy wysyłał mnie do szkoły. Kocham to miejsce. - Rozejrzała się po kuchni. - W szkole tęskniłam za nim i za dziadkiem. Nawet podczas studiów w college'u. Tęskniłam tak bardzo, że przyjeżdżałam do domu na każdy weekend. Dziadek chciał, żebyśmy zobaczyła

trochę świata, zanim osiadę tu na stałe. Miałam podróżować, wnieść nowe pomysły. Zobaczyć Nowy Jork, Nowy Orlean, Wenecję. Nie wiem.. - Słowa zamarły jej na ustach.

- Dlaczego do tego nie doszło?

- Dziadek zachorował. Dopiero na ostatnim roku studiów dowiedziałam się jak poważnie. Chciałam natychmiast rzucić naukę i wrócić do domu, ale bardzo się tym zmartwiłam. Postanowiłam więc najpierw zrobić dyplom. Żył jeszcze trzy lata, ale to było... trudne. - Charity nie chciała opowiadać o łzach i przerażeniu ani o zmęczeniu, gdy musiała prowadzić zajazd i jednocześnie opiekować się chorym. - Był najdzielniejszym i najlepszym człowiekiem na świecie. I tak nieodłącznie związanym z zajazdem, że ciągle jeszcze wydaje mi się, iż w każdej chwili może stanąć w drzwiach pokoju albo przeciągnąć palcem po meblach, żeby sprawdzić, czy nie ma na nich kurzu.

Roman milczał, zastanawiając się nie tylko nad tym, co Charity powiedziała, ale i nad tym, co pominęła. Widział w jej dokumentach adnotację: ojciec nieznan. Trudna sytuacja, szczególnie w małej miejscowości. Ostatnie sześć miesięcy choroby dziadka pociągnęło za sobą takie wydatki na leczenie, że zajazd stanął na skraju bankructwa. Nie wspomniała o tym ani słowem; nie zauważył także u niej najmniejszych oznak zgorzknienia.

- Czy nie myślałaś nigdy, żeby sprzedać zajazd i przeprowadzić się w inne strony?

- Nie. Nadal od czasu do czasu marzę o Wenecji. Jest wiele miejsc na świecie, które chciałabym odwiedzić, ale pod warunkiem, że potem mogłabym wrócić tutaj. - Wstała, żeby przynieść mu następne piwo. - Kiedy prowadzi się taki zajazd, spotyka się ludzi ze wszystkich stron świata. Słyszysz się opowieści o przeróżnych miejscach.

- To ci zastępuje podróże?

Te słowa sprawiły jej przykrość, może dlatego, że były prawdziwe.

- Możliwe. - Postawiła butelkę przy łokciu Romana i odniosła swoje nakrycie do zlewu. Najeżyła się, choć zdawała sobie sprawę, że jest przeczulona na tym punkcie. - Niektórzy z nas muszą być nudziarzami.

- Wcale nie powiedziałem, że jesteś nudna.

- Nie? Sądzę, że muszę wydawać się nudna komuś, kto nigdzie nie zagrzewa miejsca i włóczy się po całym świecie. Taka zasiedziała, prosta, naiwna prowincjuszka.

- Bądź łaskawa nie wkładać cudzych słów w moje usta.

- Muszę cię wyręczać, bo z ciebie każde słowo trzeba wyrywać siłą. Zgaś światło, jak będziesz wychodził.

Złapał ją za rękę, żeby nic uciekła z kuchni, i niemal natychmiast tego pożałował. Stało się. Bliskość Charity natychmiast wywołała reakcję łańcuchową. Aż się palił, by robić z nią rzeczy, o których żadne z nich nie zapomnieliby do końca życia.

- Dlaczego się rozzłościłaś?

- Nie wiem. Najwyraźniej nie mogę rozmawiać z tobą dłużej niż dziesięć minut i nie wpaść we wściekłość. A ponieważ zwykle nic miewam problemów w kontaktach z ludźmi, więc podejrzewam, że to twoja wina.

- Zapewne masz rację.

Uspokoila się trochę. To naprawdę nie jego wina, że nigdzie nie wyjeżdżała.

- Spędziłaś tu niespełna czterdzieści osiem godzin, a już trzy razy się z tobą pokłóciłam. To mój rekord życiowy.

- Ja nie prowadzę takiej statystyki.

- Nie wierzę. Podejrzewam, że o niczym nie zapominasz. Byłeś policjantem?

Wiele wysiłku kosztowało Romana zachowanie kamiennej twarzy.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Powiedziałeś, że nie jesteś artystą. Takie było moje pierwsze wrażenie. - Odprężyla się, choć Roman nie wypuszczał jej ręki z dłoni. Nie potrafiła zbyt długo się gniewać. - Patrzysz na ludzi w taki sposób, jakbyś notował w myślach ich rysopis, próbując zauważyć znaki szczególne. Czasami wydaje mi się, że zaraz poddasz mnie przesłuchaniu. Może jesteś pisarzem? Hotelarze zazwyczaj nieźle potrafią określić zawód gościa.

- Tym razem nie trafiłaś.

- W takim razie powiedz, kim jesteś.

- W tej chwili złotą rączką. Wzruszyła ramionami.

- Następną cechą ludzi zajmujących się hotelarstwem jest szacunek dla cudzej prywatności. Jeżeli okażesz się seryjnym mordercą. Mae będzie mi tym suszyć głowę do końca życia.

- Zasadniczo zwykłem mordować tylko jedną osobę naraz.

- To dobra wiadomość - zażartowała, ale poczuła niepokój, że być może tym razem powiedział prawdę. - Nadal mnie trzymasz za rękę.

- Wiem.

- Mam cię prosić o pozwolenie odejścia? - Próbowała zapanować nad głosem.

- Nie trudź się.

Wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić.

- Czego chcesz, Romanie?

Wstał. Instynktownie zrobiła krok do tyłu.

- To chyba nie najlepszy pomysł.

- Też tak sędzę. - Wolną rękę wsunął w jej włosy. Były tak miękkie, jak sobie wyobrażał, i tak gęste. - Wolę żałować tego, co zrobiłem, niż tego, czego nie zrobiłem.

- Ja wołałabym w ogóle niczego nie żałować.

- Za późno. - Charity głośno nabrała powietrza, kiedy przyciągnął ją do siebie. - Tak czy inaczej, oboje będziemy żalowali.

Celowo był wobec niej szorstki. Potrafił okazywać czułość, choć bardzo rzadko to robił. Charity położyła Romanowi dłoń na piersi w odruchowym geście protestu. Nie odpychała go jednak, choć przewidywał, że będzie próbowała z nim walczyć. Odpowiadała na mocny, nieomal brutalny pocałunek z namiętnością łagodzoną nieco przez uległość.

Miał kompletną pustkę w głowie. To było przerażające doświadczenie dla człowieka, który starał się kontrolować w każdej sytuacji. Zakończył pocałunek. Dla własnego, a nie dla jej dobra. Miał doskonale rozwinięty instynkt samozachowawczy. Oddychał szybko, urywanie. Próbował zmusić się, by ją puścić, zrobić krok do tyłu i odejść, ale stał w miejscu jak wmurowany.

Zaklął w duchu w ostatniej, daremnej próbie wyrwania się spod uroku Charity i... jego usta znów spoczęły na jej wargach. To wcale nie zaprowadzi go do nieba. Zmierzał prostą drogą do piekła.

Charity pragnęła dać mu ukojenie, ale Roman jej na to nie pozwolił. Jak poprzednio pociągnął ją za sobą w namiętność, zapomniała więc o wszystkim poza pożądaniem.

Jego wargi były nieustępliwe. Bez wahania otworzyła się przed nim, skwapliwie przyjmowała to, co zechciał jej ofiarować i wspaniałomyślnie dawała wszystko, czego zażądał.

Oparła się plecami o gładką, chłodną powierzchnię lodówki, przyparta do niej przez szczupłe, muskularne męskie ciało. Gdyby to było możliwe, przyciągnęłaby go jeszcze bliżej.

Szorstka od zarostu twarz Romana drażniła jej skórę, powodując rozkoszny dreszcz, jakiego Charity jeszcze dotąd nie знаła. Roman jęknął i jeszcze bardziej pogłębił pocałunek.

Zapragnęła jego dotyku. Chciała mu o tym powiedzieć, szepnąć prosto w usta, wyrazić tę nową, nieznaną dotychczas potrzebę, ale zdołała wydobyć z siebie tylko gardłowy pomruk. Całe jej ciało pulsowało tęsknotą za spełnieniem.

Roman oderwał się od Charity, bo zrozumiał nagle, że znalazł się niebezpiecznie blisko granicy, której nie wolno mu przekroczyć.

- Idź do łóżka, Charity.

Nie ruszyła się z miejsca. Bała się, że gdyby spróbowała zrobić krok, kolana by się pod nią ugięły. Roman stał nadal tak blisko, że czuła ciepło jego ciała. Kiedy spojrzała mu w oczy, zrozumiała, że jest znowu równie chłodny i niedostępny jak zwykle.

- Tak po prostu?

Słyszał w jej głosie ból i pragnął wierzyć, że sama była sobie winna. Wyciągnął rękę po piwo, ale szybko z niego zrezygnował, gdy zauważył jej drżenie. Zrozumiał, że powinien jak najszybciej wyprawić tę dziewczynę z kuchni. Zanim znowu po nią sięgnie.

- Nie jesteś odpowiednią kobietą na szybki numerek na kuchennej podłodze.

- Istotnie. - Charity odetchnęła głęboko i odsunęła się. Zawsze odważnie stawiała czoło rzeczywistości, nawet tej niezbyt przyjemnej. - Czy tylko na tyle mogłabym liczyć, Romanie?

Zacisnął dłoń.

- Tak - odparł. - A na co innego?

- Rozumiem. - Nie odrywała wzroku od jego twarzy i szczerze żałowała, że nie potrafi go znienawidzić. - Żal mi ciebie.

- Niepotrzebnie.

- Nie przejmuj się moimi uczuciami. Romanie. Zastanów się nad własnymi. Naprawdę mi cię żal. Niektórzy ludzie tracą rękę, nogę czy oko. Muszą uporać się z tą stratą, w przeciwnym razie popadną w rozgoryczenie. Nie wiem, jaką stratę ty poniosłeś, bo nie widać jej gołym okiem, ale musiała cię spotkać tragedia. - Roman milczał. Charity nie spodziewała się odpowiedzi. - Nie zapomnij zgasić światła.

Po jej odejściu zaczął szukać zapalek. Musiał zapalić, żeby odzyskać panowanie nad myślami - i rękami - zanim będzie mógł przystąpić do przeszukania biura.

Niemal dwie godziny później przeszedł kilkaset metrów, żeby skorzystać z aparatu telefonicznego na najbliższej stacji benzynowej. Droga była pusta, niewielka miejscowość tonęła w ciemnościach. Zerwał się wiatr, niosąc zapach deszczu. Roman miał nadzieję, że nie rozpada się przed jego powrotem do zajazdu.

Wystukał numer i przez chwilę czekał na połączenie.

- Conby.

- DeWinter.

- Późno dzwonisz.

Roman nie zawracał sobie głowy patrzeniem na zegarek. Wiedział, że na Wschodnim Wybrzeża jest trzecia nad ranem.

- Obudziłem cię?

- Czy mam rozumieć, że udało ci się wkręcić?

- Tak, dzięki przygotowanej przez nasze służby wygranej na loterii dla miejscowego majster - klepki. Pod pretekstem remontu mogę dostać się do wszystkich pomieszczeń. Panna Ford jest... bardzo ufna.

- Takie otrzymałem informacje. Łatwowierność nie jest równoznaczna z brakiem ambicji. Masz coś?

Okropne poczucie winy, pomyślał Roman, zapalając zapalniczkę. Wyjątkowo paskudne.

- Jej mieszkanie jest czyste. - Zamilkł i przytknął płomień do papierosa. - Obecnie w zajeździe nocuje grupa turystów, przeważnie Kanadyjczyków. Znalazłem trochę pieniędzy z wymiany walut. Nie więcej niż setkę.

- To za mało, żeby interes się opłacał - oznajmił jego rozmówca po krótkiej przerwie.

- Wziąłem z biura listę gości hotelowych. Mam nazwiska i adresy.

Nastąpiła kolejna, nieco dłuższa przerwa i ze słuchawki zaczęły dobiegać odgłosy świadczące, że rozmówca sięgnął po przybory do pisania.

- Dyktuj.

Roman odczytał wszystkie nazwiska z listy, którą wcześniej skopiował.

- Przewodnikiem grupy jest Block. Przyjeżdża regularnie raz w tygodniu i zostaje na jeden bądź dwa noclegi, w zależności od wybranej przez grupę trasy.

- To wycieczki turystyczne. - Tak.

- Mamy tam swojego człowieka. Ty skoncentruj się na tej Ford i jej personelu. - Roman słyszał, jak długopis Conby'ego postukuje o notatnik. - Muszą mieć współnika w ośrodku, inaczej nie mogliby tego zorganizować. Ona pasuje najlepiej.

- Nie pasuje.

- Słucham?

Roman zgasił papierosa obcasem.

- Powiedziałem, że nie pasuje. Dokładnie ją prześwietliłem. Ma nie więcej niż trzy tysiące na rachunku bieżącym. Nadwyżki finansowe przeznacza na rozbudowę i utrzymanie ośrodka.

- Rozumiem. Myślisz, że nasza panna Ford nigdy nie słyszała o kontaktach w banku szwajcarskim?

- Powiedziałem ci już, że to nie ten typ, Conby. To fałszywy trop.

- Ja tu jestem od wyznaczania kierunków śledztwa, DeWinter. Ty masz własną robotę. Nie muszę ci chyba przypominać, że rozwikłanie tej sprawy zajęło nam prawie rok. Biuro

chce zakończyć ją jak najprędzej i tego właśnie od ciebie oczekuję. Jeśli masz jakieś problemy osobiste, powiedz mi o tym od razu.

- Nie. - Roman wiedział doskonale, że osobiste problemy były w tej pracy niedopuszczalne. - Jeśli nie szkoda ci czasu i pieniędzy na telefony, to proszę bardzo, mnie nie zależy. Odezwę się do ciebie.

- Czekam.

Roman odwiesił słuchawkę. Wykrzywił się szpetnie do aparatu i dla poprawienia nastroju wyobraził sobie minę wyrwanego z najgłębszego snu Conby'ego. Takim jak on rzadko się to zdarzało. Pewnie zerwie biednego urzędniczynę z łóżka o szóstej rano, każe mu przepuścić podyktowaną przez Romana listę przez komputerową bazę danych, a sam zasiądzie z poranną kawą przed telewizorem, obejrzy program „Today” i poczeka na wyniki w swym komfortowym domu na przedmieściach Waszyngtonu.

Pracę w terenie i brudną robotę zostawiał innym.

W taki sposób były prowadzone dochodzenia, uświadomił sobie Roman, ruszając w drogę powrotną do zajazdu. Ostatnio miał tego coraz bardziej dosyć.

Kiedy Charity usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych, spojrzała na zegarek. Minęła pierwsza. Deszcz zaczął padać mniej więcej pół godziny temu i wszystko wskazywało na to, że w ciągu nocy przybierze na siłę.

Zachodziła w głowę, dokąd Roman chodził.

To jego rzecz, powiedziała sobie wreszcie w duchu, i odwróciła się na drugi bok w nadziei, że monotony szum deszczu ukołysze ją do snu. Dopóki rzetelnie wypełniał swoje obowiązki, mógł chodzić, gdzie chciał i robić, co chciał. Jeżeli lubił spacerować w deszczu, to nie jej sprawa.

Jej matka zakochała się w obieżyświacie, we włóczędze, któremu oddała duszę i ciało. Zaszła w ciążę i została sama. Charity wiedziała, że matka miesiącami czekała na jego powrót. Zmarła w szpitalu kilka dni po urodzeniu dziecka. Zdradzona, porzucona, zhańbiona.

Charity poznała cały bezmiar jej wstydu dopiero po śmierci dziadka. Odkryła schowany przez niego pamiętnik matki. Spaliła go po przeczytaniu, nie ze wstydu, lecz z litości. Zawsze już myślała o matce jako o kobiecie, która przez całe życie szukała miłości i nigdy jej nie znalazła.

Ale ona nie przypomina matki, powtarzała sobie, leżąc bezsennie w łóżku i wsłuchując się w szum deszczu. Była mniej wrażliwa i silniejsza. Choć także w jej życiu pojawił się włóczęga.



Roman mówił, że mogłaby tego pożałować. Charity bała się, że niezależnie od tego, co się między nimi wydarzy - bądź nie wydarzy - będzie miała powody do żalu.

## ROZDZIAŁ 4

Deszcz siąpił przez cały ranek. Przyniósł ze sobą ochłodzenie i ponury nastrój, który udzielił się wszystkim. Chmury wisiały tuż nad wodą, nadając okolicy różne odcienie szarości. Krople bębniły w dach i w okna; od czasu do czasu zrywał się wiatr i łomotał okiennicami.

Wczesnym rankiem Roman obserwował, jak Charity, okutana w nieprzemakalną kurtkę z kapturem, wyszła na codzienny spacer z Ludwigiem. Widział, jak wróciła po czterdziestu minutach, kompletnie przemoczona. Weszła do domu kuchennymi drzwiami i po chwili z jej pokoju zaczęły dobiegać dźwięki muzyki. Wybrała spokojny, melodyjny utwór, w którym dominowały skrzypce. Romanowi zrobiło się żal, gdy muzyka umilkła.

Do jego pokoju na piętrze nie docierały odgłosy z kuchni, ale bez trudu wyobraził sobie panujące tam zamieszanie. Mae i Dolores sprzeczały się pewnie o wafle czy drożdżówki. Charity, jak zwykle, wypila w przelocie łyk kawy i pobiegła, aby pomóc kelnerkom przy nakrywaniu do stołu. I oczywiście wykaligrafowała na tablicy jadłospis.

Miała jeszcze wilgotne włosy po długim spacerze w deszczu, ale spokojnym głosem łagodziła codzienne narzekania Dolores. Kiedy pierwsi goście, zejdą na śniadanie, powita ich serdecznym uśmiechem, zwróci się do każdego po imieniu i sprawi, że wszyscy poczują się jak w domu najlepszego przyjaciela.

Czy rzeczywiście jest osobą tak prostolinijną, na jaką wygląda? Z jednej strony bardzo chciał, żeby okazało się to prawdą. Z drugiej jednak uważał, że to niemożliwe. Każdy człowiek ukrywał coś przed światem. Od panienki na poczcie, która marzy o karierze urzędniczej, po rekina finansjery, który planuje rozkręcenie kolejnego interesu. Dlaczego ona miałaby być inna?

Poza tym, jak to możliwe, że kobieta o spokojnych oczach i łagodnym głosie zapłonęła nagle tak gwałtowną namiętnością? Może udawała?

Roman zirytował się. Do furii doprowadzała go własna bezradność wobec emocji, jakie wyzwalala w nim bliskość Charity. *To* w pełni zrozumiałe, że wydawała mu się pociągająca. Prowadził samotne, burzliwe życie. Oczywiście sam je sobie wybrał, bo właśnie to mu odpowiadało. Nic jednak dziwnego, że frapowała go kobieta reprezentująca wszystko, czego był zawsze pozbawiony. I czego nigdy nie pragnął, uprzytomnił sobie jasno, przybijając odstający gzyms.

Postanowił przeczekać poranny rozgardiasz. Kiedy Charity zajmie się pracą biurową, on zejdzie do kuchni i poprosi Mae o śniadanie. Ta kobieta nie miała do niego za grosz zaufania, a szkoda. Uznał, że wiedziała bardzo dużo o funkcjonowaniu zajazdu. Roman nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Tak. powinien spróbować oczarować Mae. Dzięki temu będzie mógł ograniczyć kontakty z Charity. Na pewien czas.

- Mizernie dziś wyglądasz.

- Bardzo ci dziękuję - odparła Charity, tłumiąc ziewnięcie, i nalała sobie kolejną filiżankę kawy, „Mizernie” to niewłaściwe określenie. Była kompletnie wykończona. Po zaledwie orzech godzinach snu jej ciało odmawiało posłuszeństwa. Mogła podziękować za to Romanowi, pomyślała i odsunęła od siebie filiżankę.

- Siadaj. - Mae wskazała głową miejsce przy stole.

- Usmażę ci jajecznicę.

- Nie mam czasu. Ja...

- Siadaj - powtórzyła Mae, machając w powietrzu drewnianą łyżką. - Powinnaś dodać sobie energii.

- Mae ma rację - poparła ją Dolores. - Człowiek nie może funkcjonować wyłącznie na kawie. Potrzebuje protein i węglowodanów. - Położyła na stole jagodziankę.

- Gdybym nie dbała o systematyczne dostarczanie organizmowi protein, byłabym słaba jak niemowlę. Oczywiście lekarze nie chcą mi tego powiedzieć, ale jestem pewna, że cierpię na hydroglikemię.

- Hipoglikemię - poprawiła Charity.

- Właśnie. - Dolores wyraźnie podobało się brzmienie tego słowa. Troska o stan zdrowia Charity wydawała jej się równie ważna jak dbałość o własną kondycję. - Powinnaś dodać parę plasterków chrupiącego bekonu, Mae. Takie jest moje zdanie.

- Już się robi.

Prześlósowana Charity usiadła potulnie przy stole. Te kobiety całymi dniami darły ze sobą koty, ale kiedy jednoczyły się we wspólnym działaniu, tworzyły monolit nie do pokonania.

- Nie jestem wcale mizerna - zaproponowała. - Po prostu nie najlepiej spałam w nocy.

- Ciepła kąpiel przed snem - poradziła jej Mae, pilnując skwierczącego na patelni bekonu. - Nie gorąca, podkreślam. Letnia.

- Z solami kąpielowymi. Bez piany i olejków zapachowych - dodała Dolores, nalewając szklanek soku. - Nie ma to jak stare, dobre sole *do* kąpeli. Prawda. Mae?

- Nie zawadzą - burknęła Mae, tak przejęta troską o Charity, że zapomniała o kłótniach z Dolores. - Za ciężko pracujesz, dziewczyno.

- To prawda - zgodziła się z nią Charity, bo tak było najłatwiej. - Nie mam czasu, żeby usiąść i spokojnie zjeść śniadanie, bo muszę znaleźć nową kelnerkę, by w przyszłości już tak ciężko nie pracować. Dałam ogłoszenie do dzisiejszej gazety porannej, więc zaraz zaczną się telefony.

- Kazałam Bobowi wycofać to ogłoszenie - oznajmiła Mae, wbijając jajko na patelnię.

- Co?! Dlaczego? - uniosła się Charity. - Do licha, Mae! Jeśli sądzisz, że przyjmę na powrót Mary Alice po tym, jak...

- Nic podobnego. I nie krzycz na mnie, moja panno.

- Jaka drażliwa. - Dolores mlasnęła językiem z dezaprobatą. - Tak bywa, kiedy człowiek za ciężko pracuje.

- Przepraszam, Mae, ale zamierzałam przez kilka najbliższych dni przeprowadzić wstępne rozmowy ze zgłaszającymi się kandydatkami, żeby pod koniec tygodnia przyjąć kogoś do pracy.

- Moja bratanica porzuciła wreszcie swojego męża nicponia i wróciła z Toledo do domu. - Odwrócona plecami do Charity, Mae podniosła bekon, żeby obciekł z tłuszczu, zanim położy go na jajkach. - Dobra dziewczyna z tej Bonnie. Przez kilka lat, kiedy jeszcze chodziła do szkoły, pracowała tutaj w czasie wakacji.

- Tak, pamiętam. Wyszła za męża za muzyka występującego w jednym z kurortów.

Mae skrzywiła się i zaczęła nakładać jajka.

- Saksofonista - powiedziała, jakby to tłumaczyło wszystko. - Zmęczyło ją życie w wiecznych rozjazdach i kilka tygodni temu wróciła do domu. Rozgląda się za pracą.

Charity westchnęła i przeczesła palcami grzywkę.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?

- Bo wcześniej nie potrzebowałam nikogo do pracy. - Mae postawiła talerz przed Charity. - Teraz to się zmieniło.

- Kiedy Bonnie mogłaby zacząć?

Mae uśmiechnęła się i z jeszcze większą energią zaczęła polerować już i tak błyszczącą powierzchnię kuchenki.

- Powiedziałam jej, żeby przyszła dziś po południu. Będiesz mogła się jej przyjrzeć. I wcale nie wymagam, żebyś ją zatrudniła, jeżeli nie spełni twoich oczekiwań.

- W takim razie zgoda. - Charity wzięła do ręki widelec Zadowolona, że jedna z pilnych spraw już została załatwiona, wyciągnęła nogi pod stołem i oparła stopy o stojące naprzeciwko krzesło. - Okazuje się, że mam jednak czas, żeby spokojnie zjeść śniadanie.

Roman pchnął wahadłowe drzwi i o mało nie zaklął na głos. Był przekonany, że w kuchni nie zastanie Charity, a tymczasem siedziała przy stole i zajadała śniadanie. Na jego widok uśmiech zniknął z jej twarzy. Opuściła nogi i usiadła prosto, po czym wróciła do jedzenia. Roman zrezygnował ze śniadania w kuchni i z pogawędki z kucharkami. Postanowił zadowolić się kawą.

- Zastanawiałam się, co się z tobą dzieje - odezwała się Mae i ponownie sięgnęła do lodówki po bekon.

- Nie chcę ci zawracać głowy - powiedział Roman. - Pomyślałem, że wezmę kubek kawy na górę.

- Musisz przecież coś zjeść. - Dolores nakryła dla niego do stołu naprzeciwko Charity.  
- Prawda, Mae? Człowiek nie powinien brać się do roboty bez porządnego śniadania.

Mae nalała kawy do kubka.

- On wygląda na takiego, co może pracować i z pustym brzuchem.

Święta prawda, pomyślała Charity. Wiedziała, że późno wrócił do zajazdu, a kiedy schodziła na dół, by zająć się śniadaniem, już był na nogach. Na pewno nie spał dłużej niż ona, ale nie wyglądał na zmęczonego.

- Wyżywienie jest częścią twojej zapłaty, Romanie - zauważyła Charity oficjalnym tonem. Straciła apetyt, ale wzięła do ust kawałek bekonu. - Jestem pewna, że Mae zostało jeszcze trochę naleśników, jeżeli wolisz je od jajek.

- Z przyjemnością zjem jajka - oznajmił, ale nie usiadł przy stole. Tym razem nie wyczuwał w kuchni ciepłej, przyjaznej atmosfery, która zwykle tu panowała. Oparł się o blat toż przy przygotowującej mu śniadanie Mae i sącył kawę.

Charity udawała, że nie widzi karcącego spojrzenia Dolores. Nie mogła jednak znieść przedłużającego się, pełnego napięcia milczenia.

- Mae, przygotuj na popołudnie ciasteczka i kanapki do herbaty. Pewnie deszcz będzie padał przez cały dzień i trzeba zorganizować w salonie tańce. - Śniadanie coraz mniej ją nęciło, więc wyjęła z kieszonki koszuli notes. - Jeżeli podamy tacę z serami, to powinno wystarczyć pięćdziesiąt kanapek. Przygotujemy termos herbaty i drugi z gorącą czekoladą.

- Na którą?

- Chyba na trzecią. O piątej podamy wino dla wszystkich, którzy jeszcze będą w salonie. Twoja bratanica może od razu włączyć się do pomocy.

Charity zapisała coś w notesie.

Roman zauważył, że jest przemęczona. Błada, z podkrążonymi oczami, wyglądała zadziwiająco krucho. Niezbyt starannie związała wilgotne włosy w koński ogon i kilka kosmyków wysunęło się z gumki. Zapragnął odgarnąć je ze skroni Charity i przywrócić żywy kolor jej policzkom.

- Dokończ jajecznicę - nakazała Mae. Potem zwróciła się do Romana: - Twoje śniadanie też już gotowe.

- Dziękuję. - Usiadł przy stole, choć nie mniej niż Charity pragnął znaleźć się na drugim końcu świata.

- Podaj mi sól - poprosił Roman.

Charity przesunęła solniczkę w jego stronę. Ich palce otarły się leciutko o siebie i Charity gwałtownie cofnęła rękę.

- Dziękuję.

- Proszę. - Zanurzyła widelec w jajecznicę. Wiedziała, że nie zdoła uciec z kuchni, póki nie opróżni talerza do czysta. Postanowiła więc zrobić to jak najszybciej.

- Ładny dziś dzień - zagaił Roman, żeby zmusić Charity, by znowu na niego spojrzała. Zrobiła to i w jej oczach dostrzegł gniewny błysk. Wolał jednak to niż poprzednią chłodną uprzejmość.

- Ja lubię deszcz.

- Toteż właśnie powiedziałem - przypomniał, łamiąc bułkę - że ładny dziś dzień.

- Farby do sufitu, ścian i stolarki są w magazynie w piwnicy. Wszystkie puszki podpisane, więc nie będziesz miał problemów z ustaleniem, która farba do którego pokoju - poinformowała Charity.

- Dobrze.

- Pędzle, rolki i inne potrzebne rzeczy też tam znajdziesz. Wszystko leży na stole po prawej stronie od schodów.

- Znajdę.

- Dobrze. W domku numer cztery cieknie kran.

- Rzucę na to okiem.

Wolałyby, aby nie przyjmował poleceń z niewzruszonym spokojem. Chciałyby, żeby był równie spięty i wytrącony z równowagi jak ona.

- W apartamencie numer dwa we wschodnim skrzydle skrzypi okno.

- Naprawię - zapewnił.

- Świetnie.

Zauważyła nagle, że Dolores przestała zrzędzić i gapi się na nią szeroko otwartymi oczami. Nawet pochyłona nad makutrą Mae zmarszczyła czoło z dezaprobatą. Charity odsunęła talerz. Uświadomiła sobie, że wydawała Romanowi rozkazy niczym sierżant rekrutowi.

Wyjęła z kieszeni pęk kluczy. Wzięła go rano, bo zamierzała drobniejsze naprawy wykonać osobiście.

- Nie zapomnij odnieść ich do biura, jak skończysz. Przy każdym jest karteczka, do których drzwi pasuje.

- Dobrze, proszę pani. - Roman wsunął pęk kluczy do kieszeni na piersi, nie przestając patrzeć Charity w oczy.

- Coś jeszcze?

- Dam ci znać. - Wstawiła talerz do zlewa i wyszła z kuchni.

- Co w nią wstąpiło? - zainteresowała się Dolores. - Wyglądała, jakby chciała urwać komuś głowę.

- Źle spała - Mae nie chciała przyznać, jak bardzo zmartwiło ją zachowanie Charity. Czuła się trochę niezręcznie, jak matka nieznośnego dziecka, które znów zrobiło komuś przykrość. Odstawiła miskę, w której ucierała masło z cukrem, Wzięła dzbanek z kawą i podeszła do Romana. - Charity nie była dziś sobą - wyjaśniła i naląła mu drugą filiżankę. - Ostatnio jest bardzo przepracowana.

- Mam dość grubą skórę - zbagatelizował sprawę, choć czuł się dotknięty. - Może powinna część obowiązków przekazać innym.

- Ona?! - Mae poczuła ulgę, że Roman nie narzeka.

- To wbrew jej naturze. Czuje się osobiście odpowiedzialna, jeżeli któryś z gości uderzy się w palec. Jest taka sama jak jej dziadek. - Wrzuciła do makutry laskę wanilii i wróciła do ucierania. - Do wszystkiego musi przyłożyć rękę, a najchętniej obie, i to aż po łokcie. Oczywiście poza gotowaniem. - Szeroka twarz Mae zmarszczyła się w uśmiechu. - Przepędzałam ją z kuchni, kiedy była mała, a i teraz przepędzę, jeśli będzie trzeba.

- Dziewczyna nie umie nawet ugotować wody, żeby nie spalić garnka - wtrąciła Dolores.

- Umiałyby, gdyby chciała. - Ujęła się za podopieczną Mae, odwróciła się do Romana i prychnęła. - Od tego ma mnie i jest dość bystra, by zdawać sobie z tego sprawę. Do wszystkiego innego, od malowania ganku po gromadzenie księgozbioru, musiała wtrącić swoje trzy grosze. Poczująca się do odpowiedzialności.

Roman postanowił skorzystać z okazji i pociągnąć kucharkę za język.

- To cecha godna szacunku. Od dawna dla niej pracujesz?

- W czerwcu będzie dwadzieścia osiem lat, jak tu jestem. Ona jest tu dopiero od ośmiu. - Wskazała ruchem głowy Dolores.

- Od dziewięciu - sprostowała Dolores. - W tym miesiącu minie dziewięć.

- Wygląda na to, że kto zacznie tu pracować, zostaje na stałe.

- Strzeliłeś w dziesiątkę - potwierdziła Mae.

- Wobec tego zajazd ma lojalny, pracowity personel.

- Przy Charity to nietrudne. - Mae odmierzyła proszek do pieczenia. - Tylko dziś rano była w paskudnym nastroju.

- Rzeczywiście wyglądała na przemęczoną - przyznał Roman. - Może powinna dziś dać sobie spokój z pracą.

- Mało prawdopodobne.

- Wydaje się, że wszystko w gospodarstwie idzie jak w zegarku.

- Ona zawsze potrafi sobie znaleźć jakieś łóżko do pościelenia.

- Bob doskonale sobie radzi z, księgowością.

- Ale ona i tak wtyka nos do wszystkich ksiąg i sprawdza każdą kolumnę. - W głosie Mae zabrzmiała niekłamana duma. Wsypała mąkę do miski. - To nie oznacza, że nie ufa swoim pracownikom - dodała. - Robi to dla własnego spokoju. Chce mieć pewność, że wszystkie rachunki zostały opłacone w terminie i że nie pomyłono zamówień. W razie błędu miałyby pretensję do siebie, a nie do pracownika.

- I pewnie nic nie umknie jej uwagi.

- Jej uwagi? - Mae parsknęła śmiechem i włączyła mikser. - Ona wie o każdej serwetce, która wróciła z pralni poplamiona. Patrz, gdzie smarkasz! - ofuknęła Dolores, która znów podniosła chusteczkę do twarzy. - Napij się gorącej wody z cytryną.

- Gorącej herbaty z miodem - poprawiła Dolores.

- Z cytryną. Miód zaklei ci gardło.

- Mama zawsze dawała mi gorącą herbatę z, miodem - obstawała przy swoim Dolores. Kiedy Roman wychodził z kuchni, nadal spierały się na ten temat.

Większą część dnia spędził z zachodnim skrzydle. Praca fizyczna pomagała mu w myśleniu. Kilkakrotnie słyszał kroki przechodzącej w pobliżu Charity, ale żadne z nich nie miało ochoty na towarzystwo drugiego. Roman doszedł do wniosku, że z dala od Charity mógł zdobyć się na większy obiektywizm.



Rozmowa z Mae potwierdziła tylko jego spostrzeżenia i otrzymane wcześniej informacje. Charity Ford kontrolowała wszystko, co działo się w zajazdzie. Logika wskazywała więc na to, że albo uczestniczyła w przestępczym procederze, albo wręcz nim kierowała.

A jednak... jak powiedział poprzedniej nocy Conby'mu, miał co do udziału Charity poważne wątpliwości.

Robiła wszystko, żeby zajazd prosperował. Nie oszczędzała się. Widywał ją przy najrozmaitszych robotach, począwszy od rozsadzania geranium, na rąbaniu drewna do kominków skończywszy. Ciężka praca najwyraźniej sprawiała jej satysfakcję, chyba że tak udatnie potrafiła udawać zadowolenie.

Nie wyglądała mu na osobę, która marzy o łatwych pieniądzach. Problem w tym, że Conby opierał się tylko na faktach. Natomiast Roman ufał instynktowi. Został tu przysłany, by udowodnić winę Charity, nie jej niewinność, tymczasem wystarczyły zaledwie dwa dni, żeby zmienić nastawienie.

Nie chodziło o to, że podejrzana okazała się bardzo atrakcyjną kobietą. Wielokrotnie bez skrupołów pograżał piękne kobiety. Chodziło o sprawiedliwość, w którą Roman DeWinter wierzył bez zastrzeżeń.

Musiał być pewny, że uczucia, jakie w nim budziła Charity, nie miały wpływu na jego wnioski. W pracy człowiek nie mógł dopuścić, by powodowały nim emocje.

Skąd się wzięło jego przekonanie o niewinności Charity? Po namyśle doszedł do wniosku, że ta dziewczyna, jej zajazd i panująca tu atmosfera tworzyły nierozzerwalną całość. Bardzo chciał wierzyć, iż tacy ludzie i takie miejsca istnieją naprawdę.

Postanowił zrobić sobie chwilę odpoczynku zarówno od pracy, jak i od męczących rozważań.

W salonie Charity położyła stertę płyt na stoliku przed panną Millie i panną Lucy.

- Jaki uroczy pomysł! - Panna Lucy poprawiła okulary i przyjrzała się naklejkom. - Staromodna herbatka tańcząca. - Z jednego z apartamentów we wschodnim skrzydle dochodziło monotonne zawodzenie dziecka. Panna Lucy spojrzała w tamtą stronę ze współczuciem. - Jestem pewna, że wszyscy chętnie wezmą w niej udział.

- W deszczowy dzień młodzi ludzie nie wiedzą, co ze sobą zrobić. Wpadają w chandrę. O, spójrz! - Panna Millie wzięła do ręki płytę na 45 obrotów. - Rosemary Clooney. Czy to nie rozkoszne?

- Wybierzcie swoje ulubione płyty, - Charity patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. Jak mogła myśleć o zabawie, skoro ciągle miała przed oczami spojrzenie, jakim obrzucił ją rano siedzący naprzeciw niej przy stole Roman? - Zostawiam to wam.

Długi bufet i mały podręczny stoliczek zostały opróżnione, żeby zrobić miejsce na zakąski i napoje chłodzące. Jeśli mogła ufać Mae - a zawsze dotąd mogła - to lada chwila przyśle z kuchni smakowity poczęstunek.

Ciekawe, czy Roman przyjdzie. Może usłyszy muzykę i wślizgnie się po cichu do salonu? Może spojrzy na nią tak, że Charity zapomni o całym świecie?

Chyba zaczyna wariować. Spojrzała na zegarek Za kwadrans trzecia. Goście zostali zawiadomieni i przy odrobinie szczęścia wszystko powinno być już gotowe, gdy zaczną się schodzić. Panie dyskutowały gorąco o Perrym Como. Charity nie włączyła się do rozmowy, tylko zaczęła ciągnąć kanapę.

- Co robisz?! Charity aż podskoczyła.

- Jeśli nadal będziesz poruszać się jak duch, Romanie, zacznę po ważniej rozważać sugestię Mae, że jesteś włamywaczem.

- Po prostu sapałaś tak głośno, że nie słyszałaś moich kroków.

- Wcale nie sapałam. Jestem zajęta więc bądź tak dobry i zejź mi z drogi...

Zrobiła raki ruch ręką jakby chciała go przepędzić, ale Roman złapał ją mocno za przegub.

- Zapytałem, co robisz.

Charity próbowała wyrwać mu rękę i równocześnie zapanować nad złością. Jeśli Roman chce się kłócić, myślała, to ona z prawdziwą przyjemnością uczyni zadość jego pragnieniom.

- A jak sadzisz? Przesuwam kanapę.

- Nic z tego.

Charity potrafiła w razie potrzeby zrobić wyniosłą minę.

- Słucham?

- Powiedziałem, że nie przesuniesz kanapy. Jest za ciężka.

- Dziękuję za troskę, ale przesunęłam już ją w przeszłości. - Ściszyła głos, bo zaważyła, że starsze panie rzucają jej zaciekawione spojrzenia. - Jeśli zejdziesz mi wreszcie z drogi, przesunę ją znowu.

Roman ani myślał się ruszyć.

- Naprawdę musisz wszystko robić sama?

- O co ci chodzi?

- Gdzie twój asystent?

- Pojawił się problem z komputerem. Bob zna się na tym lepiej ode mnie, więc on użera się z oprogramowaniem, a ja przesuwam meble. A teraz....

- Gdzie to ma stanąć?
- Nie prosiłam cię o...
- Pytałem, gdzie chcesz to przesunąć. - Roman złapał już za drugi koniec kanapy.
- Pod ścianę.
- Co jeszcze?

Charity przyglądała się spódnicy.

- Dałam ci przecież listę zadań na dzisiaj.

Stali nadal po przeciwnych korkach kanapy. Roman włożył ręce do kieszeni, żeby nie ulec pokusie wzięcia Charity w ramiona.

- Już wszystko zrobiłem.
- Kran w czwórce?
- Wymieniłem uszczelkę.
- Okno w dwójce?
- Dopasowałem.
- Malowanie? - Charity zaczynała już tracić cierpliwość.

- Pierwsza warstwa farby musi wyschnąć. - Przechylił głowę na bok. - Chcesz sprawdzić?

Charity wypuściła z płuc powietrze. Nie mogła się na niego złościć, skoro wykonał wszystkie zlecenia.

- Jesteś cholernie wydajny w pracy, DeWinter.
- Zgadza się. Złapałaś oddech ?
- Co masz na myśli?

- Dziś rano wyglądałaś na przemęczoną. - Przesunął wzrokiem po sylwetce Charity. Ciemna, śliwkowa suknia sięgała do kostek. Rząd małych srebrnych guziczków ciągnął się od szyi aż do samego dołu i Roman mimowolnie zastanowił się, ile czasu zajęłoby mu ich odpinanie. W uszach Charity błyszczały srebrne, ekscentryczne kolczyki, które zauważył w jej szufladzie, kiedy przeszukiwał pokój. - Teraz nie robisz już wrażenia wyczerpanej - dodał, spoglądając w oczy Charity.

Odetchnęła głęboko, bo uświadomiła sobie, że wstrzymywała oddech od chwili, gdy Roman zaczął się jej przyglądać. Uznała, że nie ma teraz czasu, by pozwolić temu mężczyźnie - czy raczej uczuciom, jakie w niej wywalał - odrywać się od pracy.

- Jestem zbyt zajęta, żeby odczuwać zmęczenie. - Z ulgą spojrzała na kelnerkę, która ostrożnie schodziła po kilku stopniach z tacą w rękach. - Postaw to na bufecie, Lori.

- Następna partia już idzie.

- Świetnie. Muszę tylko... - Urwała, bo pierwsi zmoknięci goście stanęli w drzwiach salonu. Zrezygnowana odwróciła się do Romana. Skoro i tak nie zamierzał zejść jej z drogi, mogła przynajmniej wykorzystać jego obecność. - Bądź łaskaw zwinąć dywan i wynieść go do zachodniego skrzydła. Potem możesz tu wrócić i wziąć udział w zabawie.

- Dzięki. Może skorzystam.

Zanim Roman zdążył wynieść dywan, Charity przywitała gości, wzięła od nich płaszcze i nastawiła muzykę. W ciągu piętnastu minut zdołała zainicjować ogólną zabawę.

Jakby była do tego stworzona, pomyślał Roman. W naturalny sposób znajdowała się w centrum uwagi i poprawiała ludziom nastrój. Natomiast jego miejsce było na uboczu.

- Panie DeWinter. - Roztaczająca wokół siebie woń bzu panna Millie podała mu filiżankę i spodeczek. - Powinien pan napić się herbaty - Nie ma to jak herbata, by rozproszyc smutek deszczowego dnia.

- Dziękuję. - Uśmiechnął się do jej zamglonych oczu. Jeżeli nawet ta krótkowzroczna starsza pani zauważyła, że jest w ponurym nastroju, to naprawdę powinien wziąć się w garść.

- Uwielbiam potańcówki. - Westchnęła panna Millie melancholijnie, obserwując kilka par tańczących w rytm bluesowej ballady Clooney. - Kiedy byłam młodą dziewczyną, o niczym innym nie myślałam. Na jednej poznałam męża. To było prawie pięćdziesiąt lat temu. Tańczyliśmy godzinami.

- Ma pani ochotę zatańczyć?

Słaby rumieniec wypłynął na jej policzki.

- Marzę o tym, panie DeWinter.

Charity przyglądała się, jak Roman prowadzi pannę Millie na parkiet. Ogarnęło ją wzruszenie. Próbowała znów obudzić w sobie gniew, ale poniosła sromotną klęskę. Zachował się naprawdę sympatycznie. Wątpiła, by herbatki i marzycielskie starsze damy były w jego stylu, ale nie ulegało wątpliwości, że panna Millie długo będzie wspominać tę chwilę.

Każda kobieta zachowałaby w pamięci taniec z przystojnym, tajemniczym mężczyzną w deszczowe popołudnie jak zaszuszoną czerwoną różę pomiędzy kartami książki. Z westchnieniem zagoniła gromadkę dzieci do pokoju telewizyjnego i włożyła do magnetowidu taśmę z filmem Disneya.

Roman kątem oka obserwował Charity.

- To było uroczyste - szepnęła panna Millie, gdy muzyka ucichła.

- Co? - zapytał wyrwany z zamyślenia Roman, ale szybko się poprawił: - Cała przyjemność po mojej stronie. - Dopełnił szczęścia panny Millie, skradając na jej dłoni

szarmancki pocałunek. Ale jeszcze zanim odprowadził starszą panią do siostry, już o niej zapomniał i wrócił myślą do Charity.

Ze śmiechem dawała się właśnie prowadzić jakiemuś starszemu panu na parkiet. Muzyka zmieniła się. To był latynoamerykański utwór. Charity wykonywała na parkiecie skomplikowane, szybkie kroki, jakby przez całe życie nie robiła nic innego, tylko tańczyła w taki gorących rytmów.

Spódnica załopotąła, owinęła się wokół nóg i ponownie zafurkotała przy gwałtownym obrocie. Ukłucie zazdrości zirykowało Romana. Czuł się jak głupiec. Mężczyzna, z którym tańczyła Charity, z powodzeniem mógłby być jej ojcem.

Zanim melodia dobiegła końca, Roman zdołał uporać się z zazdrością, ale ustąpiła ona miejsca innemu, równie niepokojącemu uczuciu. Pożądaniu. Pragnął tej kobiety, chciał wziąć ją za rękę i wyprowadzić z tego zatłoczonego pokoju w miejsce, w którym jedynym dźwiękiem byłby monotonny szum deszczu. Marzył, by znów poczuć, jak jej wargi miękną i rozpalają się pod naciskiem jego ust. - Obserwując ją, można się sporo nauczyć, prawda?

Roman drgnął i cofnął się odruchowo, gdy Bob pochylił się nad bufetem, by sięgnąć po leżącą na tacy kanapkę. - Co?

- Charity. Przyglądając się jej w tańcu, można się sporo nauczyć. - Wsunął kanapkę do ust. - Próbowała pokazać mi podstawowe kroki w nadziei, że będę obtańcowywał goszczące u nas panie. Niestety, mam dwie lewe nogi. - Z rozbawieniem wzruszył ramionami i sięgnął po następną kanapkę.

- Uporałeś się z komputerem?

- Tak. Wystarczyło parę drobnych korekt. - Mały trójkącik chleba zniknął w jego ustach. Roman wyczuł lekkie zdenerwowanie w rytmie wystukiwanym przez palce Boba na ladzie. - Odniosłem takie same sukcesy w przyuczaniu Charity do obsługi komputera, jak ona w przyswajaniu mi samby. Jak ci idzie praca?

- Dość dobrze. - Roman obserwował, jak Bob nalewa sobie herbaty i wrzuca do filiżanki trzy kostki cukru. - Powinienem skończyć wszystko za dwa, trzy tygodnie.

- Na pewno znajdzie ci kolejne zajęcie. - Powędrował spojrzeniem na parkiet, na którym Charity tańczyła fokstrota z kolejnym partnerem. - Ma nowe pomysły na rozwój zajazdu. Ostatnio ciągle mówi o solarium i wannie z masażem wodnym.

Roman zapalił papierosa. Obserwował gości i notował w myślach spostrzeżenia do przekazania Conby'emu. Dwóch mężczyzn sprawiało wrażenie samotnych, chociaż gawędzili z pozostałymi uczestnikami wycieczki. Block stał przy drzwiach z talerzem kanapek, które

pochłaniał z zadziwiającą prędkością, uśmiechając się przy tym w przestrzeli, nie do jakiegó konkretnej osoby.

- Zajazd chyba dobrze prosperuje.

- Przyzwóicie. - Bob zainteresował się ciasteczkami. - Parę lat temu pojawiły się pewne problemy, ale Charity udało się je rozwiązać. Nic nie jest dla niej ważniejsze od tego miejsca.

- Nie znam się na hotelarstwie, ale ona chyba jest w tym dobra.

- Ma wszystko w jednym palcu. - Bob zdecydował się na ciasteczko ozdobione różowym lukrem. - Zajazd to ona.

- Od dawna dla niej pracujesz?

- Dwa i pół roku. Ledwo mogła sobie na mnie pozwolić, ale zależało jej na wprowadzeniu zmian, na zmodernizowaniu księgowości. Zapowiedziała, że tchnie w zajazd nowe życie. I zrobiła to.

- Widzę.

- Pochodzisz ze wschodu. - Bob czekał przez chwilę, ale Roman nie zareagował na tę uwagę, - Jak długo zamierzasz tu zostać?

- Jak długo będzie trzeba. Bob wypił solidny łyk herbaty.

- Jak długo będzie trzeba?

- Dopóki nie skończę pracy. - Roman wskazał oczami zachodnie skrzydło. - Lubię doprowadzać do końca to, co zacząłem.

- Tak. Cóż... - Bob przełożył kilka ciasteczek na talerzyk. - Poczęstuję nimi panie. Mam nadzieję, że podziękują i będę mógł sam je zjeść.

Roman obserwował Boba, który podszedł do Blocka, szepnął mu parę słów i dopiero potem przeszedł na drugi koniec pokoju. Chciał przez chwilę w spokoju pomyśleć, więc schronił się do zachodniego skrzydła.

Kiedy po pewnym czasie wrócił, z głośników płynęła powolna, melodyjna ballada z lat pięćdziesiątych. W salonie oświetlonym jedynie płonącym na kominku ogniem i okrągłą, szklaną lampką panował półmrok. Goście już się rozeszli, została tylko Charity, która sprzątała.

- Już po zabawie?

- Tak. Nie zostałeś zbyt długo. - Rozejrzała się po pokoju i szybkim krokiem ruszyła po stertę filiżanek i spodeczków.

- Miałem robotę.

- Dziś rano byłam okropnie niewyspana, ale to absolutnie nie usprawiedliwia mojego niegrzecznego zachowania. Bardzo cię przepaszani, jeżeli w ciągu ostatnich kilku godzin nie czułeś się przeze mnie dobrze.

- Praca tutaj to dla mnie przyjemność - odparł Roman, nie zamierzając przyjmować przeprosin, na które nie zasługiwał.

Po tym stwierdzeniu Charity poczuła się jeszcze gorzej.

- Zazwyczaj nie warczę na ludzi, ale byłam na ciebie zła.

- Byłaś?

- Jestem. Ale to mój problem. Prawdę mówiąc, mam przede wszystkim pretensję do samej siebie, bo zachowałam się jak dziecko, kiedy ostatniej nocy nie dopuściłeś, by sprawy wymknęły się spod kontroli.

Zażenowany Roman sięgnął po karafkę i nalał sobie kieliszek wina.

- Nie zachowałaś się jak dziecko.

- Raczej jak wzgardzona kobieta lub tragiczna heroina.

Postaraj się nie zbijać mnie z tropu, kiedy próbuję cię przeprosić.

Roman nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Gdyby stracił czujność, mógłby zakochać się w Charity po uszy.

- Dobrze. Masz coś jeszcze do powiedzenia?

- Troszeczkę. - Wzięła jedno z nielicznych ocalałych ciastek i wsunęła je do ust. - Nie powinnam dopuścić, by prywatne sprawy miały wpływ na funkcjonowanie zajazdu. Rzecz w tym, że niemal wszystkie moje myśli i uczucia koncentrują się na nim.

- Ostatniej nocy żadne z nas o nim nie myślało. Chcesz przesunąć kanapę?

- Tak. - Kiedy kanapa wróciła na swoje miejsce, Charity pochyliła się, żeby strzepnąć poduszki. - Widziałam, jak tańczyłeś z panną Millie. Była zachwycona.

- Lubię ją.

- Wierzę. - Charity wyprostowała się i przyjrzała uważnie Romanowi. - Nie należysz do ludzi skłonnych do wyrażania sympatii.

- Nie.

Zapragnęła nagle pogłaskać go po policzku. To śmieszne, powiedziała sobie w duchu. Pomimo przeprosin nadal tliła się w niej jeszcze pretensja do niego za poprzednią noc.

- Miałeś ciężkie życie?

- Nie.

Roześmiała się lekko i. potrząsnęła głową.

- Zresztą i tak nie powiedziałabyś mi prawdy. Muszę zapamiętać, żeby nie zadawać ci pytań. Może ogłosimy zawieszenie broni, Romanie? Życie jest zbyt krótkie, by ulegać negatywnym emocjom.

- Jestem od tego jak najdalszy, Charity.

- Kusi mnie, żeby zapytać, co do mnie czujesz.

- Nie umiałbym ci odpowiedzieć na to pytanie, bo sam nie wiem. - Dziwne, ale powiedział to zdanie na głos! Wypił wino i odstawił pusty kieliszek.

- Cóż, to chyba pierwsze wypowiedziane przez ciebie zdanie, które w pełni rozumiem. Wygląda na to, że jedziemy na tym samym wózku. Mogę więc uznać, że zawarliśmy rozejm?

- Jasne.

Obejrzała się, kiedy kolejna płyta opadła na talerz patefonu.

- To jedna z moich ulubionych piosenek. „Smoke Gets in Your Eyes”. - Spojrzała na Romana z uśmiechem. - Nie poprosiłeś mnie dotąd do tańca.

- Nie.

- Panna Millie twierdzi, że dobrze prowadzisz. - Wyciągnęła rękę w geście, który mógł oznaczać zarówno propozycję przyjaźni, jak i zaproszenie do tańca. Roman ujął jej dłoń. Nie odrywali od siebie wzroku.



## ROZDZIAŁ 5

Ogień trzaskał na kominku, deszcz bębnił o szyby. Płyta była stara, porysowana, więc jakość dźwięku pozostawiała wiele do życzenia. Ale ich ciała pasowały do siebie jak ulał. Charity położyła rękę na ramieniu Romana, on objął ją w pasie. Włożyła pantofle na wysokim obcasie, dzięki czemu ich twarze znalazły się na jednym poziomie. Ciała przylgnęły do siebie.

Charity chciała się uśmiechnąć, rzucić lekką, dowcipną uwagę, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Miała ściśnięte gardło. Roman patrzył na nią łak, jakby była jedyną kobietą na świecie. Zrozumiała, że nie ma szans, by pozostali tylko przyjaciółmi, choćby najbardziej się starali. Pod wpływem impulsu przycisnęła usta do warg Romana.

W jednej chwili wybuchło w nim wszechogarniające pożądanie. Charity nie spodziewała się po nim delikatności, ale Roman wdarł się w głąb jej ust tak gwałtownie, że w pierwszej chwili się zachwiała. Natychmiast zapragnęła więcej.

A więc to jest właśnie namiętność, która doprowadza ludzi do szaleństwa, pomyślała, gdy ich języki splotły się ze sobą. Kto raz zaznał dojmującej rozkoszy, len nigdy jej nie zapomni i do końca życia będzie pragnął przeżyć ją jeszcze raz. Zarzuciła Romanowi ręce na szyję i zatraciła się w pocałunku.

Roman uświadomił sobie, że to coś więcej niż tylko pożądanie. W zapamiętaniu wodził ustami po twarzy Charity, mocno przyciskał ją do siebie, jakby chciał, by stali się nierozzerwalną jednością.

Charity zadrżała i nagłe coś się w nim zmieniło, choć nie potrafił zrozumieć dlaczego. Zamknięta w jego ramionach dziewczyna wydawała mu się teraz cackiem niezwykle cennym, ale kruchym, wymagającym jego ochrony i pieczy. Objął dłońmi jej twarz i zaczął ją gładzić czubkami palców z niebywałą czułością i delikatnością. Także wargi Romana, jeszcze przed chwilą zaborcze, złagodniały.

Zaskoczona Charity zachwiała się. Wypełniły ją nieznane dotychczas uczucia. Czułość dokonała lego. czego nie była w stanie zrobić namiętność. Charity osłabła. Łzy napłynęły jej do oczu. a z ust wyrwał się cichy jęk. Rozkoszowała się smakiem warg Romana, muskających delikatnie jej usta.

Wiedziała, że na zawsze zapamięta tę chwilę, w której cały jej świat uległ zmianie. Odtąd już nic nie będzie takie samo.

- Roman...

- Chodź do mnie. - Znów przyciągnął ją do siebie. - Chcę być z tobą, rozebrać się, dotykać.

- Charity, Mae przydałoby się... - Lori stanęła jak wryta. Chrząknęła i wbiła wzrok w wiszący na przeciwległej ścianie obraz, jakby nie mogła oderwać od niego oczu. - Przepraszam...

Charity odskoczyła od Romana.

- W porządku. O co chodzi, Lori?

- No, o... Mae i Dolores... Może zajrzałaś do kuchni w wolnej chwili - odparła i wycofała się.

- Powinam... - Charity wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić. - Powinam zejść na dół. - Zrobiła krok do tyłu. - Kiedy już zaczną, to trzeba... - Urwała. Roman wziął ją za rękę.

- Wszystko się zmieniło - powiedział, kiedy wreszcie odważyła się na niego spojrzeć.

- Tak. To prawda.

- Nie wiem, co będzie dalej, ale nie kończmy tego teraz, Charity.

- Nie. - Była pełna determinacji. - Nie zamierzam udawać, że cię nie pragnę, Romanie. Wszystko się zmieniło. Wreszcie zdobyłam jasność w kwestii własnych uczuć i muszę się z tym oswoić.

Odwróciła się, żeby odejść, ale mocniej przytrzymał ją za rękę.

- A jakie są twoje uczucia?

Nie potrafiłaby skłamać, nawet gdyby chciała. Nieszczerość nie leżała w jej naturze.

- Zakochałam się w tobie.

Roman natychmiast puścił jej rękę. Był najwyraźniej zaszokowany.

- Najwyraźniej oboje musimy się z tym oswoić - powiedziała ze smutkiem w głosie Charity.

Kłamała. Powtarzał to sobie raz po raz, niezmordowanie krążąc po pokoju. Oszukiwała nie jego, lecz samą siebie. Ludziom zazwyczaj z łatwością przychodzi wygłaszanie kłamstw o miłości.

Podszedł do okna i spojrzał w ciemność. Deszcz przestał padać, a spoza chmur wyrzał księżyc. Otworzył okno i wciągnął w płuca wilgotne, chłodne powietrze.

Ależ ona na niego działa! Odwrócił się z rozdrażnieniem i podjął wędrówkę po pokoju. Ten szczerzy uśmiech, serdeczne powitanie, gest przyjaźni... a potem wybuch namiętności i nadzwyczajna reakcja na jego dotyk. Próbował sobie wmawiać, że to tylko

falsz, zastawiona na niego pułapka, ale zdrowy rozsądek kazał mu odrzucić ten pomysł jako absurdalny.

Przecież nie miała powodów, by go podejrzewać. Kamuflaż był udany. Charity uważała go za obieżyświata, włóczęgę, który zatrzymał się tylko na chwilę, żeby rozejrzeć się po okolicy i trochę zarobić.

Wyciągnął się na łóżku i zapalił papierosa, bardziej z przyzwyczajenia niż z potrzeby. Charity nie kłamała, pomyślał, wciągając dym w płuca. Po prostu się myliła. Pociągał ją, a ona uznała pożądanie za miłość.

A jeżeli to prawda...

Nie powinien nawet dopuszczać takiej myśli. Nie mógł sobie pozwolić na marzenia o tym, by do kogoś należeć i by ktoś należał do niego. Nawet gdyby Charity Ford nie znalazła się w kręgu podejrzanych w prowadzonym przez niego dochodzeniu i tak odszedłby od niej po zakończeniu sprawy.

Dla niej miłość oznaczała związek na całe życie. Roman do niej nie pasował. Zawsze pod prąd. pomyślał o sobie z ponurym uśmiechem. DeWinter, człowiek z podejrzaną przeszłością i niepewną przyszłością, nie miał nic do zaoferowania takiej kobiecie jak Charity.

Ale tak bardzo jej pragnął! Wiedział, że była teraz u siebie na górze. Wyobrażał ją sobie na wielkim łożu z baldachimem, przykrytą białym kocem. Na nocnym stoliku paliła się pewnie świeca.

Wystarczyło wejść po schodach i otworzyć drzwi. Z pewnością by go nie odesłała. A nawet gdyby próbowała, złamanie jej oporu zajęłoby mu najwyżej parę chwil. Wmówiła w siebie miłość do niego, więc by uległa. Przyjęłaby go z otwartymi ramionami.

Charity jednak poprosiła o czas do namysłu. Nic mógł odmówić jej tego, czego sam potrzebował. Ofiarowany jej czas powinien spożytkować na to, co naprawdę mógł i potrafił dla niej zrobić. Na udowodnienie jej niewinności.

Następnego ranka Roman obserwował wyjazd uczestników wycieczki z ustawionej w samym środku holu drabiny. Wymieniał żarówki pod sufitem. Dzień wstał pogodny, słońce zalewało olśniewającym blaskiem pomieszczenie, do którego członkowie grupy schodzili się po śniadaniu.

Charity gawędziła z Blockiem przy recepcji. Przewodnik miał na sobie świeżą białą koszulę i szeroko się uśmiechał. Wyjął z teczki kalkulator i sprawdzał, czy rachunek hotelowy pokrywa się z jego obliczeniami.

Bob wystawił głowę z biura i podał Charity wydruk z komputera. Rzucił szybkie, niespokojne spojrzenie na Romana i zniknął. To spojrzenie nie umknęło uwagi Romana.

Charity i Block porównali obliczenia. Przewodnik, wciąż uśmiechnięty, wyjął z teczki paczkę banknotów. Płacił gotówką, w walucie kanadyjskiej. Charity schowała pieniądze do szuflady i podała mu przygotowane wcześniej pokwitowanie.

- Miło cię było spotkać, Rogerze, jak zawsze.

- Twoja wczorajsza potańcówka uratowała dzień - powiedział. - Moi turyści uznali ją za ukoronowanie wycieczki.

Charity uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Ale nie zobaczyli szczytu Rainier.

- I dlatego niektórzy z nich zapewne przyjadą tu ponownie. - Poklepał jej rękę i zerknął na zegarek. - Czas w drogę. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

- Bezpiecznej podróży, Rogerze. - Charity odwróciła się, żeby wymienić walutę jednemu z wyjeżdżających gości, a potem sprzedała jeszcze kilka pocztówek i pamiątkowych breloczków do kluczy w formie miniaturowych wielorybów.

Roman zamarudził tak długo, aż zostali w holu sami.

- Czy to nie dziwne, że biuro podróży płaci gotówką? Oderwana od studiowania listy rezerwacji Charity podniosła wzrok na Romana.

- Nigdy nie odmawiamy przyjmowania gotówki.

- Chyba wygodniej byłoby im regulować płatności przelewem albo czekiem.

- Taka jest polityka finansowa firmy. Uwierz mi, dla małego, niezależnego hotelu taki płacący gotówką klient jak Vision to prawdziwy skarb.

- Domyślam się. Od dawna z nimi współpracujesz?

- Od kilku lat. Dlaczego pytasz?

- Z ciekawości. Block nie wygląda na przewodnika wycieczek.

- Roger? Rzeczywiście, przypomina raczej zapaśnika.

- Charity ponownie zajęta się fakturami. Trudno jej było prowadzić nieobowiązującą rozmowę z mężczyzną, który tak na nią działał. - Ale jest dobry w swoim fachu.

- Jasne. Będę na piętrze.

- Romanie... Nie uzgodniliśmy jeszcze, który dzień tygodnia chciałbyś mieć wolny. Możesz wziąć niedzielę, jeśli to ci odpowiada.

- Może być.

- Pod koniec tygodnia daj Bobowi wykaz przepracowanych godzin, bo to on przygotowuje wypłaty.

- Dobrze. Dziękuję.

Z jadalni wyszła młoda para z małym dzieckiem. Roman odszedł, kiedy Charity wyjaśniała im, jak wynająć jacht.

Rozmowa z Romanem nie będzie łatwa, ale trzeba ją przeprowadzić. Całe przedpołudnie była zajęta, dwa razy sprawdziła stan domków, odbyła wszystkie zaplanowane rozmowy telefoniczne i zamarudziła w kuchni tak długo, że wzbudziła podejrzenia Mae. Próbowała odwlec spotkanie.

To nie było w jej stylu. Przez całe życie odważnie stawiała czoło problemom. Nie tylko w sprawach zawodowych. W równie bezpośredni sposób podchodziła do problemów natury osobistej. Zdołała się uporać z brakiem ojca. Nawet jako dziecko nie unikała niekiedy bardzo bolesnych pytań o rodziców.

Miała przy sobie dziadka, a to wiele zmieniało. Silny i bardzo ją kochający dziadek pomógł jej zrozumieć, że liczy się człowiek i jego osobowość, a nie pochodzenie. Pomógł jej również dojść do siebie po pierwszym zawodzie miłosnym w szkole średniej.

Teraz Charity nic miała przy sobie dziadka, ale nie była już naiwną piętnastolatką, zadurzoną po uszy w kapitanie szkolnej drużyny. Zresztą miała pewność, że nie należy się wstydzić szczerych, z serca płynących uczuć.

Uzbrojona w termos z kawą, z determinacją ruszyła do zachodniego skrzydła. Niestety, czuła się tak, jakby wkraczała do jaskini lwa.

Roman skończył malowanie salonu w apartamencie rodzinnym. W powietrzu unosił się jeszcze mocny zapach farby, chociaż szeroko otworzył okno, żeby przewietrzyć pomieszczenie. Należało jeszcze zamontować drzwi i polakierować podłogi, ale można już było sobie wyobrazić, jak będzie wyglądać ten pokój, kiedy w oknach pojawią się firanki, a podłogę przykryje pastelowy, kwiecisty dywan, złożony na czas remontu na strychu.

Z sypialni dobiegał warkot piły elektrycznej. Charity pchnęła lekko drzwi i zajrzała do środka.

Roman pochylał się w skupieniu nad ułożoną na dwóch kozłach deską. Podwinął rękawy koszuli powyżej łokci, więc trociny pokrywały również dłonie i ramiona. Przewiązał czoło bandaną, by włosy nie spadały mu na oczy. Nie nucił przy pracy, jak zwykła to robić Charity. Nie mówił też do siebie, jak jego poprzednik. George. Widać było, że praca sprawia mu satysfakcję.

Zaczekała, aż Roman odłóż) piłę. i dopiero wtedy otworzyła drzwi szeroko i weszła do pokoju. Zanim zdążyła się odezwać, odwrócił się błyskawicznym ruchem. Odruchowo

zrobiła krok do tyłu. To śmieszne, pomyślała, ale wydawało jej się, że gdyby miał broń, toby ją wyciągnął.

- Przepraszam. - Zdenerwowanie, które przed wejściem do pokoju zdołała opanować, wróciło ze zdwojoną siłą. - Nie pomyślałam, że mogę cię przestraszyć.

- Wszystko w porządku. - Roman był wściekły, że pozwolił się zaskoczyć. Może gdyby nie pograżył się w rozmyślaniach o Charity, zdołałby wyczuć jej obecność.

- Miałam coś do zrobienia na piętrze, więc postanowiłam po drodze podrzucić ci kawę. - Postawiła termos na drabince, ale zaraz lego pożałowała, bo z pustymi rękami poczuła się skrępowana. - Chciałam też sprawdzić, jak ci idzie. Salonik wygląda świetnie.

- Robota posuwa się naprzód. Czy to ty oznakowałeś puszki z farbą?

- Tak. Dlaczego pytasz?

- Bo wszystkie napisy na nalepkach zostały wykonane tym samym kolorem co farba w puszcze. To mi wygląda na twoją robotę.

- Obsesyjna pedanteria? - Charity skrzywiła się. - Nic na to nie mogę poradzić.

- Ułożenie pędzli według ich grubości naprawdę bardzo mi się podobało.

- Podśmiewasz się ze mnie? - Uniosła brew.

- Owszem.

- Przynajmniej jesteś szczery. - Zdenerwowanie Charity gdzieś zniknęło. - Chcesz kawy?

- Tak. Napiję się.

- Masz całe ręce w trocinach. - Dała mu gestem znać, żeby się odsunął, i odkręciła korek z termosu. - Zakładam, że nasz rozejm nadal obowiązuje.

- Nie przypominam sobie, byśmy go zerwali.

Spojrzała na niego przez ramię i nalala kawę do plastikowego kubka.

- Wprawiłam cię wczoraj w zakłopotanie. Przepraszam. Roman wziął od niej kubek i przysiadł na koźle do piłowaniu drewnu.

- Znow wkladasz w moje usta słowa, których nie powiedziałem.

- Tym razem nie muszę. Wyglądałeś tak, jakbyś dostał czymś ciężkim w głowę. - Niespokojnie poruszyła ramionami. - Pewnie zareagowałabym tak samo, gdyby mi ktoś ni stąd, ni zowąd oznajmił, że mnie kocha. To musiało być naprawdę szokujące, zważywszy, jak krótko się znamy.

Roman odstawił kawę, bo nagle stracił na nią ochotę.

- Po prostu uległaś nastrojowi chwili.

- Nie. - Charity odwróciła się w jego stronę. Czytała w jakimś poradniku, że takie rozmowy należało prowadzić twarzą w twarz. - Wiem, że musiałeś dojść do takiego wniosku. Zastanawiałam się nawet, czy nie lepiej zostawić cię w tym przekonaniu. Ale marna ze mnie oszustka. Powinieneś wiedzieć, że ja zazwyczaj... to znaczy, chcę ci wyjaśnić, że... ja z reguły nie narzucam się mężczyznom. Prawdę mówiąc, ty jesteś pierwszy.

- Charity... - Roman przeczesał palcami włosy, ściągając przy tym z głowy bandanę. W powietrze wzbiło się jeszcze więcej trocin. - Nie wiem, co mam ci powiedzieć.

- Nie musisz nic mówić. Przyznam ci się, przed przyjściem tutaj ułożyłam sobie w głowie małe przemówienie. Nawet całkiem niezłe, pełne zrozumienia, okraszone iskierkami humoru, żeby złagodzić napięcie i utrzymać lekki ton. Niestety, kiedy tu weszłam, wszystko zapomniałam.

Kopnęła ze złością walający się na podłodze kawałek deski i podeszła do okna. Na kwietniku pod domem rosły orliki i dzwoneczki, których pąki lada moment miały się rozwinąć i rozbłysnąć kolorami. Otworzyła okno, żeby wciągnąć w płuca świeży, delikatny zapach.

- Problem w tym - zaczęła, zła na siebie, że mówi odwrócona plecami do Romana - że żadne z nas nie potrafi udawać, iż nie powiedziałam tego, co powiedziałam. A ja jeszcze w dodatku nie potrafię udawać, że nie czuję tego, co czuję. Co nie oznacza bynajmniej, że spodziewam się wzajemności. Wcale tego nic oczekuję.

- A czego oczekujesz?

Roman stał tuż za plecami Charity. Podskoczyła, gdy położył rękę na jej ramieniu. Odwróciła się.

- Że będziesz wobec mnie uczciwy. - Mówiła teraz szybko, nie zwróciła uwagi na to, że Roman cofnął się odruchowo. - Doceniam to, że nie udajesz. Może jestem prostą kobietą, Romanie, ale nie jestem głupia. Zdaję sobie sprawę, że czasami łatwiej jest skłamać, powiedzieć to, co inni chcieliby usłyszeć.

- Nie jesteś prostą kobietą - odrzekł Roman i pogłaskał jej policzek, - W życiu nie spotkałem równie fascynującej, skomplikowanej dziewczyny.

- Dotychczas nikt nie twierdził, że jestem skomplikowana.

- Nie zamierzałem prawić ci komplementów.

To stwierdzenie wywołało uśmiech na jej twarzy. Całkowicie odprężona, usiadła na parapecie.

- Jeszcze lepiej. Mam nadzieję, że od tej chwili będziemy mogli bez skrępowania przebywać w swoim towarzystwie.

- Sam nie wiem, co odczuwam w twoim towarzystwie.
- Roman przesunął rękę wzdłuż ramion Charity, aż do łokci.
- „Skrepowanie” na pewno nie jest właściwym określeniem.

Poruszona Charity wstała gwałtownie.

- Muszę iść.
- Dlaczego?
- Bo jest środek dnia, a jeśli mnie pocałujesz, mogę o tym zapomnieć.
- Obowiązkowa jak zawsze.

- Tak. - Położyła mu rękę na piersi, żeby utrzymać pomiędzy nimi dystans. - Muszę iść na górę po faktury.

- Wstrzymała oddech i ruszyła w stronę drzwi. - Naprawdę cię pragnę, Romanie, i nie jestem pewna, czy zdołam nad tym zapanować.

Ani ja. pomyślał, kiedy Charity zniknęła. Gdyby chodziło o inną kobietę, byłby pewien, że spełnienie fizyczne położy kres napięciu. W tym przypadku jednak władza, jaką nad nim miała Charity. stałaby się jeszcze większa. Najwyższy czas, by przyznał się do tego przed sobą i postarał jakoś z tym uporać. Przypuszczalnie dlatego tak gwałtownie zareagował na jej wyznanie, że po raz pierwszy w życiu bał się, iż sam się może zadurzyć.

- Romanie! - W głosie Charity brzmiał zachwyt. Gwałtownym ruchem otworzył drzwi i zobaczył ją na górnym podejściu schodów. - Chodź na górę. Szybko. Chcę, żebyś je zobaczył.

Roman wolałby, żeby wezwała go do innego pokoju, nie do swojej sypialni.

- Szybko. Nie wiem, jak długą tu będą - dobiegł go pełen niecierpliwości głos Charity. Siedziała na parapecie, wychylona na zewnątrz. W pokoju rozbrzmiewała muzyka, jakiś wibrujący, namiętny rytm.

- Romanie, przegapisz je! Nie stój w drzwiach. Nie zwabiłam cię po to, żeby cię przywiązać do słupków baldachimu!

Poczuł się jak idiota i podszedł do Charity.

- Odebrałaś mi nadzieję na interesujące przeżycia.

- Bardzo zabawne. Patrz! - Trzymała w ręku lornetkę i wskazywała na morze. - Orki.

Wychylił się z okna i dostrzegł w oddali dwie obłe sylwetki, rozcinające fale. Zafascynowany, wyjął lornetkę z rąk Charity.

- Są trzy! - zawołał zachwycony.

- Tak, rodzice z młodym. To chyba to samo stadko, które widziałam parę dni temu. Wspaniale, prawda?



- Tak. - Skoncentrował się na młodym, wyraźnie teraz widocznym pomiędzy dwoma dorosłymi osobnikami. - Właściwie nie spodziewałem się ich zobaczyć.

- Dlaczego? Wyspa nosi przecież ich imię. - Charity zmrużyła oczy, starając się dostrzec orki. Nie miała sumienia zabierać Romanowi lornetki, - Po raz pierwszy zobaczyłam orki, kiedy miałam cztery lata. Dziadek zabrał mnie ze sobą na wyprawę. Jeden z wielorybów wystrzelił w powietrze fontannę wody w odległości nie większej niż osiem czy dziesięć metrów od naszej łódki. Wrzasnęłam wniebogłosy. - Ze śmiechem oparła się o framugę. - Myślałam, że chce nas połknąć żywcem jak Jonasza czy Pinokia.

- Pinokia? - Roman opuścił na moment lornetkę.

- Tak, to taka marionetka, która chciała zostać chłopcem. Tak czy owak, dziadek zdołał mnie uspokoić. Wieloryb towarzyszył nam jeszcze przez dziesięć czy piętnaście minut. Od tej pory napraszałam się, żeby dziadek mnie ze sobą zabierał.

- I zabierał?

- W każdy poniedziałek po południu, przez całe lato. Nie zawsze udawało nam się coś zobaczyć, ale to były wspaniałe dni, najpiękniejsze dni mojego życia. My również tworzyliśmy wtedy stado, dziadek i ja. - Charity wystawiła twarz na wiatr. - Miałam szczęście, że tak długo byliśmy razem. Czasami, w takich chwilach jak ta, bardzo chciałabym znów go mieć przy sobie.

- W takich chwilach jak ta?

- Uwielbiał obserwować wieloryby. Nawet kiedy był już chory, godzinami przesiadywał w oknie. Pewnego dnia znalazłam go z lornetką na kolanach. Myślałam, że zasnął, ale on odszedł. - Głos jej się załamał, ale podjęła opowieść: - Na pewno tak właśnie chciał umrzeć: obserwując ukochane wieloryby. Od jego śmierci nie mogłam się zmusić, żeby wypłynąć łódką w morze. - Potrząsnęła głową. - Głupota.

- Nie. Wcale nie głupota.

- Wiesz, potrafisz być miły. Zadzwoił telefon komórkowy Charity.

- Halo. Tak, Bob. Co to znaczy, że ich nie dostarczy? Niech diabli wezmą nowe kierownictwo, współpracowaliśmy z tą firmą od dziesięciu lat. Tak, w porządku. Zaraz tam będę. Zaczekaj. - Podniosła wzrok znad telefonu. - Romanie, czy one nadal tam są?

- Tak. Kierują się na południe. Nie wiem, czy tu żerują, czy po prostu wybrały się na popołudniowy spacer.

Charity roześmiała się i ponownie przyłożyła telefon do ucha.

- Bob... Co? Tak. to był Roman. Owszem. Jesteśmy w moim pokoju. Zawołałam Romana, bo wypatrzyłam z okna sypialni stadko wielorybów. Powiedz o tym wszystkim

gościom, których spotkasz. Nie, nie ma powodu, żebyś się przejmował. Niby dlaczego? Zaraz będę na dole.

- Jakiś problem?

- Nie. Bob zorientował się, że jesteś w mojej sypialni, a właściwie że jesteśmy tu razem, i zaczął się zachowywać jak starszy brat. Typowe. - Wyjęła z szuflady frotkę i związała włosy w koński ogon. - W zeszłym roku Mae odgrażała się, że otruje gościa, który się do mnie zalecał. Jakbym miała piętnaście lat!

Roman odwrócił się i obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Miała na sobie dzinsy i podkoszulek z wyszywaną mapą wyspy.

- Bo na tyle wyglądasz.

- Nie uważam tego za komplement. Nie mam czasu na dyskusje. Muszę zażegnać drobny kryzys. Możesz tu zostać i nadal obserwować wieloryby. - Ruszyła do drzwi, ale zatrzymała się w pół kroku. - O, zapomniałabym. Potrafisz zrobić półki?

- Chyba tak.

- Świetnie. Przyszło mi do głowy, że przydałaby się półka w salonie apartamentu rodzinnego. Jeszcze o tym porozmawiamy.

Roman został sam. Mógł teraz bez przeszkód przeszukać biurko i sprawdzić, czy nie znajdzie istotnych dla śledztwa dowodów. Ponownie spojrzął na morze. Powinien to zrobić bez wahania, ale nie potrafił. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin przekroczył pewną granicę i nie był już w stanie nadużyć zaufania Charity. Tym samym stał się bezużyteczny dla śledztwa. Powinien więc zadzwonić do Conby'ego i pozwolić odebrać sobie tę sprawę. Jednak nic zamierzał tego robić. Zamierzał udowodnić niewinność Charity. To była kwestia lojalności.

Conby powiedziałby pewnie, że Romana obowiązywała lojalność wobec FBI, a nie kobiety, którą znał od niespełna tygodnia. Nie miałby racji, uznał Roman, odkładając lornetkę. Bywają takie chwile, bardzo rzadkie w życiu człowieka, kiedy ma on szansę zrobić coś dobrego. Dotychczas nic takiego mu się nie przydarzyło. Aż do teraz.

Nie mógł ofiarować Charity niczego poza oczyszczeniem jej z podejrzeń. Przynajmniej tyle chciał jej dać. po czym odejść z jej życia.

Wstał i rozejrzał się po pokoju. Żałował, że nie jest bezrobotnym włóczęgą, którego Charity przyjęła pod swój dach. Wówczas miałby może prawo ją kochać. W obecnej sytuacji miał jedynie prawo ją uratować.

## ROZDZIAŁ 6

każdym dniem robiło się cieplej. Wiosna wybuchła bogactwem barw i zapachów. O świcie, kiedy nad wodą snuły się mgły, wyspa wydawała się miejscem magicznym.

Roman znowu zatrzymał się na poboczu drogi, tak jak przed kilkoma dniami, i obserwował wschód słońca. Wiedział, że Charity jak zwykle wyszła na spacer z psem i w powrotnej drodze będzie tędy biegła.

Poprzedniej nocy włamał się do szuflady, w której trzymała gotówkę, i obejrzał porządnie poukładane pliki banknotów. Wśród nich znalazł ponad dwa tysiące fałszywych dolarów kanadyjskich. W pierwszej chwili chciał jej o wszystkim powiedzieć, nie tylko o tym, co już wiedział, ale i o tym, co jeszcze musiał wyjaśnić. Powstrzymał się jednak. Gdyby Charity została wprowadzona w szczegóły dochodzenia, Roman nic zdołałby przekonać Conby'ego o jej niewinności.

Miał już wystarczające dowody, by oskarżyć Blocka, a wraz z nim Boba. Nic mógł ich jednak aresztować, nie rzucając równocześnie podejrzania na Charity. Według jej własnych słów, popartych zgodnymi opiniami szczerze jej oddanego personelu, na terenie zajazdu nawet szpilka nie mogła spaść na podłogę bez jej wiedzy.

Jak w tej sytuacji udowodnić, że nie miała pojęcia o trwającym od niemal dwóch lat tuż pod jej nosem procederze szmuglowania fałszywych banknotów?

On sam mógłby za nią ręczyć, jeszcze nigdy nie był tak pewien niewinności podejrzanego. Zaciągnął się papierosem i obserwował mgłę, która rozwiewała się powoli w promieniach wschodzącego słońca. Conby'emu trzeba dostarczyć dowodów.

Mógł z powodzeniem oddać Blocka w ręce Conby'ego wtedy, gdy przywiezie na wyspę następną wycieczkę. Dzięki temu zyskiwał tydzień. Musiał mu wystarczyć na oczyszczenie Charity z wszelkich podejrzeń. Kiedy cała sprawa wyjdzie na jaw, dziewczyna będzie wstrząśnięta i zraniona. Znienawidzi go, a on się z tym pogodzi. Będzie musiał.

Z oddali dobiegł warkot samochodu, obejrzał się, ale po chwili znowu wbił wzrok w wodę. Pytał się w duchu, czy przyjdzie tu jeszcze kiedyś i czy będzie czekał nawracającą ze spaceru Charity.

Fantazje, pomyślał, i rzucił na ziemię na wpół wypalonego papierosa. Zbyt często pozwalał sobie ostatnio na bujanie w obłokach.

Samochód jechał bardzo szybko. Roman znowu obejrzał się za siebie, poirytowany, że ktoś burzy spokój tego poranka. Ten gest uratował mu życie. W ułamku sekundy zrozumiał,

co się dzieje. Samochód pędził wprost na niego, ale Roman rzucił się w bok i przeturlał w krzaki. Podmuchał powietrze z rury wydechowej położył trawy, potem tylne koła samochodu wróciły na szosę. Roman zerwał się na równe nogi, trzymając w ręku pistolet. Zdołał jeszcze dostrzec znikający za zakrętem samochód. Nie zdążył nawet zakląć, gdy usłyszał krzyk Charity.

Puścił się biegiem, nie bacząc na ból uda i krew spływającą po ramieniu. Nieraz już stawał twarzą w twarz ze śmiercią. Również zabijał. Aż do tego momentu nie wiedział jednak, czym jest paraliżujący strach, póki nie zobaczył Charity, leżącej bezwładnie na poboczu.

Pies warował przy niej, skomlał i trącał nosem jej twarz. Odwrócił się, słysząc kroki Romana, warknął, a potem wstał i zaczął szczekać.

- Charity! - Roman uklęknął. Ręce tak mu się trzęsły, że z trudem wymacał puls. - Wszystko będzie dobrze, zobaczysz - powiedział, sprawdzając, czy nie ma złamań.

Przed oczami stanęła mu przerażająca wizja uderzonej przez samochód Charity, wyrzuconej w powietrze jak szmaciana lalka. Z największym wysiłkiem odepchnął od siebie ten obraz. Oddychała. Uczepił się tego z nadzieją. Pies zaskomlał, gdy Roman odwrócił głowę Charity na bok, żeby obejrzeć rozcięcie na skroni. To była jedyna barwna plama na zbielełej twarzy. Próbował zatamować krwotok zdjętą z głowy bandaną i zaklął, kiedy poczuł na palcach krew, przeciekającą przez prowizoryczny opatrunek.

Schował broń i wziął Charity na ręce. Była bezwładna, jakby pozbawiona kości. Odruchowo chwycił ją mocniej w obawie, że mogłaby mu się wysliznąć. Przez drogę do zajazdu bez przerwy mówił do białej jak płótno, nieprzytomnej Charity.

Bob zbiegł pospiesznie z frontowych schodów.

- Co się stało? Co jej zrobiłeś, do diabła?!

Roman zatrzymał się na chwilę i obrzucił księgowego ponurym, gniewnym spojrzeniem.

- Myślę, że ty najlepiej wiesz. Przynies kluczyki do furgonetki. Trzeba ją zawieźć do szpitala.

- Co się tu dzieje? - W drzwiach stanęła Mae, wycierając ręce o fartuch. - Lori twierdzi, że widziała... - Zbladła i zadziwiająco szybko jak na kobietę jej tuszy podeszła do Charity, odsuwając łokciem stojącego jej na drodze Boba. - Zanieś ją na górę.

- Zabieram ją do szpitala.

- Na górę - powtórzyła Mae i przytrzymała mu drzwi. - Zatelefonujemy do doktora Mertensa. Tak będzie szybciej. Chodź, chłopcze. Dzwon do lekarza, Bob. Powiedz, żeby się pospieszył.

Roman przekroczył próg domu z psem deptającym mu po piętach.

- Wezwij policję - polecił. - Powiedz, że została potrącona przez samochód, a kierowca zbiegł z miejsca wypadku.

Mae nie traciła czasu na niepotrzebne rozmowy, prowadziła go po schodach na górę. Kiedy dotarli na drugie piętro, trochę się zasapała, ale nie zwolniła kroku, dopóki nie znaleźli się w sypialni Charity.

- Połóż ją na łóżku, ale ostrożnie. - Sprawnie odwinęła na bok koronkową narzutę, po czym stanowczo odsunęła Romana. - No, dziecinko, teraz już wszystko będzie dobrze - zwróciła się do Charity. - Idź do łazienki i przynieś czysty ręcznik - poleciła Romanowi. Przysiadła na skraju łóżka, objęła szeroką dłońią twarz Charity i uważnie obejrzała ranę. - To mniej groźne, niż się wydaje - oceniła i westchnęła z ulgą. Przycisnęła przyniesiony przez Romana ręcznik do skroni Charity. - Rany głowy zawsze mocno krwawią, nawet jeżeli nie są zbyt głębokie.

Roman ciągle jeszcze miał krew Charity na rękach i nie wydawał się przekonany.

- Dlaczego nie odzyskała przytomności?

- To trochę potrwa. Później opowiesz mi, co się właściwie stało, ale teraz muszę ją rozebrać, żeby sprawdzić, czy nie ma innych obrażeń, więc bądź łaskaw stąd wyjść. Zejdź na dół i zaczekaj na mnie.

- Nie zostawię jej.

Mae poparzyła uważnie na Romana. Po chwili kiwnęła głową.

- W takim razie postaraj się przynajmniej być użyteczny. Podaj mi nożyczki, leżą na biurku Charity. Chcę rozciąć bluzkę.

A więc tak się rzeczy mają, Miała przed sobą mężczyznę, który niemal odchodził od zmysłów ze strachu o zdrowie ukochanej.

- Możesz zostać - zezwoliła łaskawie, kiedy Roman podał jej nożyczki. - Niezależnie od tego, co między wami zaszło, będziesz musiał się odwrócić, dopóki jej przyzwicie nie okryję.

Roman zacisnął dłonie, wepchnął je *do* kieszeni i obrócił się na pięcie.

- Chcę wiedzieć, co jej jest.

- Tylko spokojnie. - Mae zdjęła Charity bluzkę i zaczęła uważnie oglądać zadrapania i siniaki. - Zajrzyj do prawej górnej szuflady i podaj mi nocną koszulę. Zapinaną na guziki. I nie gap się na nią - dodała - bo wyrzucę cię z pokoju.

Roman bez słowa położył na łóżku białą koszulkę.

- Chcę wiedzieć, jakie obrażenia odniosła.

- Wiem, chłopcze. - Głos Mae złagodniał, gdy wkładała ramię Charity w rękaw. - Ma tylko kilka zadrapań i siniaków, to wszystko. Żadnych złamań. Rozcięcie na głowie będzie wymagało pewnego zachodu, ale zagoi się. Znacznie poważniejsze obrażenia odniosła parę lat temu, kiedy spadła z drzewa. No, teraz poznaję swoją dziewczynkę! Już odzyskuje przytomność!

Roman odwrócił się. Nic go nie obchodziło, czy Charity miała na sobie nocną koszulę, czy też nie. Z najwyższym wysiłkiem oparł się pragnieniu, by podbiec do niej. Został jednak na miejscu. Aż słabo mu się zrobiło z powodu nagłej ulgi. Kiedy jęknęła, wytarł spocone dłonie o uda.

- Mae? - Charity próbowała skoncentrować wzrok. Uniosła rękę. Nie dostrzegała niczego poza masywną sylwetką kucharki. - Co... O Boże, moja głowa.

- Cholernie obolała, co? - zawołała Mae dziarskim głosem. - Doktor zaraz się tym zajmie.

- Doktor? - Otumaniona Charity starała się unieść, ale nie starczyło jej siły. - Nie chcę doktora.

- Jak zwykle. I jak zawsze będziesz musiała go przyjąć.

- Nie zamierzam... - Kłótnia wymagała jednak zbyt dużego wysiłku. Charity zamknęła oczy i próbowała zebrać myśli. Bez wątpienia leżała we własnym łóżku, ale jak, na litość boską, się w nim znalazła?!

Przypominała sobie, że spacerowała z psem i w pewnym momencie Ludwig uznał jedno z rosnących przy drodze drzew za nieodparcie pociągające. Wtedy...

- Tam był samochód - oświadczyła, otwierając oczy.

- Kierowca musiał być pijany albo niespełna rozumu. Jechał wprosi na mnie. Gdyby Ludwig nie ściągnął mnie akurat z drogi... Chyba się przewróciłam. Sama nie wiem.

- Teraz to nieważne - uspokoiła ją Mae. - Pomyślimy o tym później.

Rozległo się pukanie i do pokoju wpadł niski, żwawy mężczyzna z szopą białych włosów na głowie. Miał brudny płaszcz, zabłocone buty, a w ręku trzymał czarną torbę. Charity spojrzała na niego i zamknęła oczy.

- Proszę odejść, doktorze Mertens. Nie czuję się najlepiej.

- Zawsze to samo. - Lekarz skinął Romanowi głową na powitanie i podszedł do łóżka, żeby zbadać pacjentkę.

Roman wyszedł po cichu do saloniku. Potrzebował chwili samotności, żeby wziąć się w garść. Stracił rodziców, pochował najbliższego przyjaciela, ale nigdy jeszcze nie wpadł w taką panikę jak na widok leżącej na poboczu, nieprzytomnej, zakrwawionej Charity.

Wyciągnął papierosa i podszedł do otwartego okna. Myślał o kierowcy starego, zardzewiałego chevroleta. Z przyjemnością zamordowałby gołymi rękami człowieka, który wyrządził krzywdę Charity.

- Przepraszam. - W drzwiach prowadzących na korytarz stała Lori. - Przyjechał szeryf. Chciał z tobą rozmawiać, więc przyprowadziłam go na gore. - Obciągnęła fartuszek i wbiła wzrok w drzwi sypialni Charity. - Co z nią?

- Jest u niej lekarz - odparł Roman. - Nic jej nie będzie. Lori zamknęła oczy i odetchnęła głęboko.

- Powiem wszystkim. Proszę wejść, szeryfie. Roman przyjrzał się uważnie tęgiemu mężczyźnie, którego wygląd wskazywał, że został przed chwilą wyciągnięty z łóżka. W rękę trzymał kubek z kawą.

- Roman De Winter?

- Tak.

- Szeryf Royce. Co się wydarzyło?

- Jakieś dwadzieścia minut temu ktoś usiłował przejechać pannę Ford.

Royce spojrział na zamknięte drzwi sypialni.

- Jak ona się czuje?

- Poobijana. Ma rozciętą głowę i trochę siniaków.

- Był pan z nią? - Szeryf wyciągnął notes i krótki, szeroki ołówek.

- Nie, kilkaset metrów od niej. Samochód skręcił na pobocze, jakby chciał mnie przejechać, i z dużą prędkością ruszył dalej. Usłyszałem krzyk Charity. Kiedy do niej dotarłem, leżała nieprzytomna.

- Pewnie nie miał pan czasu, żeby dokładniej przyjrzeć się wozowi?

- Granatowy chevrolet. Rocznik sześćdziesiąt siedem albo sześćdziesiąt osiem. Uszkodzony tłumik. Prawy przedni zderzak przeżarty rdzą. Rejestracja waszyngtońska Foxtrot Juliet osiemset czterdzieści siedem.

Royce zanotował opis i uniół brwi.

- Ma pan niezłe oko.

- Owszem.

- Wystarczająco dobre, by stwierdzić, czy najechał na pana specjalnie?

- Nie mam co do tego wątpliwości. Zrobił to celowo. Royce zanotował to oświadczenie. Zapisał też, żeby rutynowo sprawdzić Romana DeWintera.

- On? Widział pan kierowcę?

- Nie - odparł Roman lakonicznie. Nie mógł sobie darować, że nie przyjrzał się kierowcy.

- Kiedy przyjechał pan na naszą wyspę, panie De Winter?

- Niespełna tydzień temu.

- Szybko narobił pan sobie wrogów.

- Nie mam wrogów, a przynajmniej nic mi o nich nie wiadomo.

- To raczej dziwne w świetle pańskiej teorii. - Royce podniósł wzrok znad notesu. - Na tej wyspie nie ma ani jednej osoby, która miałaby jakąkolwiek pretensję do Charity. Jeśli pańskie słowa są zgodne z prawdą, to mamy do czynienia z usiłowaniami zabójstwa. Roman wyrzucił papierosa przez okno.

- Owszem, właśnie z tym mamy do czynienia. Chciałbym wiedzieć, kto jest właścicielem samochodu.

- Sprawdzę.

- Pan już to wie.

Royce poklepał się notesem po kolanie.

- Tak, bez wątpienia jest pan spostrzegawczy. Powiedzmy, że wiem, do kogo należy samochód odpowiadający pańskiemu opisowi. Ta osoba nie przejechałaby specjalnie nawet królika nie mówiąc o kobiecie. Oczywiście nie trzeba być właścicielem samochodu, by nim jechać.

Mae otworzyła drzwi sypialni, więc szeryf odwrócił wzrok.

- O, witaj, Maeflower.

W pierwszej chwili Mae uśmiechnęła się, ale zaraz surowo zacisnęła usta.

- Jak nie umiesz porządnie siedzieć w fotelu, to wstań, Jacku Roysie.

Szeryf wstał z szerokim uśmiechem.

- Chodziliśmy razem z Mae do szkoły - wyjaśnił. - Już wtedy lubiła mnie besztać. Pewnie w dzisiejszym menu nie ma gofrów, co, Maeflower?

- Może i są. Dopadnij tego drania, który skrzywdził moją dziewczynkę, a na pewno się znajdą.

- Pracuję nad tym. - Szeryf spowaźniał i wskazał głową drzwi do sypialni. - Myślisz, że mógłbym z nią porozmawiać?



- Odkąd odzyskała przytomność, mówi bez przerwy. Możesz wejść.

- Będziemy w kontakcie - rzucił szeryf do Romana.

- Doktor powiedział, że można jej dać grzanekę z herbatą. - Mac pociągnęła nosem, udając, że ma katar. - To katar sienny - wyjaśniła szorstko. - Cieszę się, Romanie, że byłeś w pobliżu, kiedy została ranna.

- Gdybym był bliżej, w ogóle nie zostałaby ranna.

- A gdyby nie wyszła z psem, leżałaby bezpiecznie w łóżku. - Kucharka zamilkła na chwilę i przyjrzała się Romanowi uważnie. - Chyba oboje chcielibyśmy dostać tego drania w swoje ręce.

- Charity pewnie nie pozwoliłaby go udusić. Roman roześmiał się. ku zaskoczeniu Mae.

- Nie byłaby też zachwycona, że stoisz tu pogrążony w posępnych rozmyślaniach. Masz zakrwawioną rękę, chłopcze.

- Trochę. - Obojętnie spojrział na podarty, sztywny od krwi rękaw koszuli.

- Nie pozwolę ci zabrudzić krwią całej podłogi. - Mae ruszyła do drzwi i przywołała go ruchem ręki. - Chodź na dół. Przemyję ci to. Potem możesz zanieść Charity śniadanie. Nie mam czasu, żeby przez cały dzień biegać po schodach.

Charity leżała nieruchomo ze wzrokiem wbitym w sufit. Wszystko ją bolało. Najbardziej głowa, ale i reszta, ciała nie chciała być gorsza. Leki mogły złagodzić dolegliwości, ale Charity postanowiła zachować jasność umysłu, dopóki nie ułoży sobie wszystkiego w głowie. Dlatego właśnie schowała podaną przez doktora Mertensa pigułkę pod język. Zamierzała ją połknąć, kiedy zdoła zebrać myśli. Widziała samochód tylko przez moment, ale wydał jej się znajomy. W czasie rozmowy z szeryfem uświadomiła sobie, że wóz, który omal jej nie przejechał, należał do pani Norton, uroczej, trochę dziecinniej staruszki, która robiła na szydełku serwetki i ubranka dla lalek, sprzedawane potem w miejscowym sklepie z rękodziełem. Charity była pewna, że pani Norton nigdy nie przekroczyła prędkości czterdziestu kilometrów na godzinę.

Właściwie nie widziała kierowcy, ale miała niejasne wrażenie, że to mężczyzna, pani Norton owdowiała sześć lat temu. Charity doszła do wniosku, że da się to z łatwością wyjaśnić, Jakiś człowiek upił się, zabrał wóz pani Norton i wypuścił się na szaleńczą eskapadę wokół wyspy.

Usatysfakcjonowana tym wyjaśnieniem, ułożyła się wygodniej w łóżku. Reszta należała do szeryfa. Ona miała własne problemy. Z pewnością w zajeździe zapanował chaos. Lori poradzi sobie z podaniem śniadania. Pozostawała jeszcze sprawa rzeźnika - należało

uzupełnić listę zamówień na jutro. Trzeba też wybrać zdjęcia do broszury reklamowej biura podróży. Gotówka nie została wpłacona do banku, a kominek w domku numer trzy dymił.

Potrzebowała notesu, długopisu i telefonu. Wszystko to znajdowało się na biurku w jej salonie. Ostrożnie opuściła nogi poza krawędź łóżka. Nie było tak źle, ale posiedziała przez chwilę, żeby przyzwycząić się do pozycji pionowej, zanim podjęła próbę wstania.

Zirytowana własną słabością, przytrzymała się jednego ze słupków baldachimu, Czują się tak, jakby jej nogi nie były zbudowane z mięśni i kości, lecz z galarety.

- Co ty wyprawiasz, do diabła?!

Charity drgnęła, słysząc głos Romana. Spojrzała w stronę drzwi.

- Nic - odparła i spróbowała się uśmiechnąć.

- Wracaj do łóżka.

- Mam parę rzeczy do zrobienia.

Roman bez słowa odstawił tacę, stanowczym krokiem podszedł do Charity i wziął ją na rękę.

- Romanie, nie. Ja...

- Cicho.

- Za chwilę miałam się położyć - zaczęła. - Jak tylko...

- Cicho - powtórzył. Ułożył ją na łóżku. - Boże, kochanie...

- Wszystko w porządku. Nie martw się.

- Myślałem, że nie żyjesz. Kiedy cię znalazłem, myślałem, że zginęłaś.

- Tak mi przykro. To rzeczywiście było okropne, ale skończyło się na kilku siniakach i zadrapaniach. Za parę dni znikną i zapomnimy o wszystkim.

- Ja nie zapomnę.

- To był wypadek. Szeryf Royce się tym zajmie. Roman wstał, żeby przynieść tacę.

- Mae twierdzi, że możesz już jeść.

Charity pomyślała o liście zamówień, którą miała uzupełnić, ale doszła do wniosku, że powinna okazać uległość, żeby uspić czujność Romana.

- Spróbuję. Co z Ludwigiem?

- Wszystko w porządku. Mae się nim zajęła. Dostał kość od szynki.

- Swoją ulubioną. - Ugryzła kawałek grzanki, udając, że jej smakuje.

- Jak twoja głowa?

- Nie najgorzej. Obyło się bez szycia. - Odsunęła włosy i pokazała mu plaster. Pod nim ciemniał już krwiak. - A może chcesz mi pokazać palce i zapytać, ile ich widzę?

- Nie.

- Szeryf twierdzi, że ciebie też potrącił samochód. - Charity wypła łyk herbatki z rumianku. - Cieszę się, że nie zostałeś ranny.

- Do licha, Charity! - Roman odwrócił się gwałtownie, ale jakoś zapanował nad sobą. - Nie, nie zostałem ranny. Przepraszam. To wszystko wyprowadziło mnie z równowagi.

- Rozumiem doskonale. Chcesz trochę naparu z rumianku? Mae przysłała dwie filiżanki.

Roman zerknął na pomalowany w kwiatki dzbanek.

- Nie, chyba że dolejesz mi do tego whisky.

- Niestety. - Charity uśmiechnęła się i poklepała brzeg łóżka. - Może usiądziesz przy mnie?

- Staram się trzymać ręce z dala od ciebie.

- O! - Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - Nie miałabym nic przeciwko twoim rękom.

- To nie najlepszy moment. - Roman dotknął dłoni Charity. - Zależy mi na tobie.

Uwierz, proszę.

- Wierzę.

- Z tobą jest całkiem inaczej niż z innymi. Nie mogę ci nic więcej dać.

- Gdybym wiedziała, że zdołam wyciągnąć od ciebie aż tyle, już wcześniej rozbiłabym głowę o kamień.

- Zaslugujesz na więcej. - Roman usiadł na brzegu łóżka i delikatnie przeciągnął palcem wzdłuż rozcięcia na skroni.

- Zgadzam się z tobą. - Przyciągnęła jego rękę do ust i zauważyła, jak pociemniały mu oczy. - Jestem cierpliwa.

- Za mało o mnie wiesz. Właściwie prawie mnie nie znasz.

- Wiem, że cię kocham. Wierzę, że kiedyś powiesz mi wszystko, co powinnam wiedzieć.

- Nie ufaj mi, Charity. Nie ufaj mi tak bezgranicznie.

- Czyżbyś zrobił coś niewybaczalnego. Romanie?

- Mam nadzieję, że nie. - Zdawał sobie sprawę, że i tak powiedział za dużo. Odstawił tacę na bok. - Powinnaś odpoczywać.

- Zamierzałam odpoczywać. Naprawdę. Chciałam tylko najpierw załatwić kilka najpilniejszych spraw.

- Dzisiaj powinnaś troszczyć się wyłącznie o siebie.

- To miło z twojej strony i jak tylko...

- Nie wolno ci wstawać z łóżka przynajmniej przez dwadzieścia cztery godziny.

- W życiu nie słyszałam takiej bzdury. Co za różnica, czy leżę czy siedzę?
- Zasadnicza, jeśli wierzyć słowom doktora. - Roman wziął tabletkę z nocnego stolika.
- To lekarstwo, które ci podałeś?

- Tak.

- Lekarstwo, które miałaś połknąć przed jego wyjściem?

- Zażyję, jak tylko zatelefonuję w kilka miejsc.

- Dzisiaj nic będzie żadnych telefonów.

- Doceniam twoją troskę, Romanie, ale nie zamierzam cię słuchać.

- Jasne. To ty jesteś od wydawania poleceń.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, pocałował ją czule i delikatnie. Poddała się z cichym pomrukiem szczęścia. Roman uznał, że jeden pocałunek nie zaszkodzi. Kiedy zaczął się odsuwać. Charity przyciągnęła go do siebie. Potrzebowała teraz słodczy, którą tylko on mógł jej ofiarować. Potrzebowała jej znacznie bardziej niż lekarstwa.

- Spokojnie - szepnął Roman, walcząc rozpaczliwie o odzyskanie panowania nad sobą.

- Chwilowo odczuwam pewien deficyt silnej woli. a ty powinnaś odpoczywać.

- Chyba wolę ciebie od odpoczynku.

- Czy wszystkich mężczyzn doprowadzasz do szaleństwa?

- Nie sądzę. - Uszczęśliwiona Charity odgarnęła mu włosy z czoła. - W każdym razie jesteś pierwszym, który mnie o to zapytał.

- Porozmawiamy o tym później. - Roman był zdecydowany kierować się wyłącznie jej dobrem, więc podał jej pigułkę. - Weź to.

- Później.

- Nie. Teraz.

Prychnęła z niesmakiem, ale włożyła pastylkę do ust i popiła uspokajającą herbatką.

- Już. Usatysfakcjonowany?

- Od chwili gdy cię zobaczyłem, jestem daleki od poczucia satysfakcji, kochanie.

Podnieś język.

- Słucham?

- Słyszałaś. No, połknij wreszcie.

Uświadomiła sobie, że tym razem przegrała. Wyjęła pastylkę z ust, po czym ostentacyjnie ją połknęła. Dotknęła warg czubkiem języka.

- Może nadal trzymam ją w ustach? Chcesz poszukać?

- Chcę - pocałował ją lekko - żebyś została w łóżku. Żadnych telefonów, żadnej papierkowej roboty, żadnego wykradania się na dół do biura. Obiecuj.

- Obiecuję - szepnęła, gdy wargi Romana musnęły jej usta.
- Świetnie. - Wstał i wziął tacę. - Zobaczymy się później.
- Ale... To było nieczyste zagranie, DeWinter.
- Owszem - spojrzał na nią przez ramię - ale pozwoliło mi cię przechytryć.

## ROZDZIAŁ 7

Podczas szkolenia kładziono szczególny nacisk na dokładność i obiektywizm przy wykonywaniu zadania. Roman był pewien, że te zasady weszły mu już w krew. Teraz zamierzał być szczególnie dokładny, ale z pobudek jak najbardziej osobistych.

Wyszedł od Charity, spodziewając się zastać Boba w biurze. Nie zawiódł się. Bob siedział przy komputerze, trzymając przy uchu słuchawkę telefoniczną, i jednym palcem stukał w klawiaturę. Wolną ręką pomachał Romanowi na powitanie, nie przerywając rozmowy.

- Z przyjemnością zrobię rezerwację dla pana i pańskiej małżonki, panie Parkington. Dwuosobowy pokój na dwie noce: piętnastego i szesnastego lipca.

- Odłóż słuchawkę - warknął Roman rozkazująco. Bob podniósł do góry rękę na znak, że Roman musi poczekać.

- Owszem, będą państwo mieli osobną łazienkę, a śniadanie jest wliczone w koszt noclegu. Z przyjemnością pomożemy państwu w wynajęciu łódki na czas pobytu u nas. Numer państwa zamówienia to...

Roman nacisnął widełki telefonu i przerwał połączenie.

- Co ty wyprawiasz, do diabła?!

- Zastanawiam się, czy warto zawracać sobie głowę rozmową z tobą czy lepiej od razu cię zabić.

Bob zerwał się z krzesła i odgrodził się od Romana biurkiem.

- Słuchaj, wiem, że miałeś nerwowy poranek...

- Naprawdę? - Roman stał bez ruchu i mierzył wzrokiem pocącego się ze strachu Boba. - Nerwowy poranek! Bardzo łagodne określenie tego, co przeżyłem. No, ale ty przecież jesteś uprzejmym człowiekiem. Prawda?

Bob zerknął na drzwi, zastanawiając się, czy ma szansę do nich dotrzeć.

- Wszyscy Jesteśmy trochę podenerwowani wypadkiem Charity. Tobie przydałby się chyba porządny drink.

Roman pochylił się ku stercie poradników komputerowych i podniósł z podłogi małą, srebrną buteleczkę.

- Twoja? - zapytał. Boh patrzył na niego bez słowa. - Pewnie chowasz ją tutaj na długie, samotne wieczory, kiedy zostajesz w pracy do późna. Sam jeden. Nie jesteś ciekaw,

skąd wiedziałem, gdzie jej szukać? - Odstawił flaszkę na bok. - Znalazłem ją kilka dni temu. kiedy włamałem się w nocy do biura, żeby przejrzeć księgi rachunkowe.

- Włamałeś się?! W taki sposób odwdzięczasz się Charity za to, że dała ci pracę?

- Masz rację. To prawie równie paskudne jak wykorzystywanie jej zajazdu do rozprowadzania fałszywych banknotów i przerzutu poszukiwanych osób przez granicę.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. - Bob zrobił krok w stronę drzwi. - Wyjdź stąd. DeWinter. Kiedy powiem Charity, co zrobiłeś...

- Nic jej nie powiesz. Nie piśniesz jej ani słówka, ale mnie powiesz. - Jedno spojrzenie wystarczyło, żeby zatrzymać Boba w pół kroku. - Rusz się w stronę drzwi, a połamię ci nogi. - Postukał w pudełko, żeby wysunąć papierosa. - Siadaj.

- Nie muszę tego tolerować. - Bob cofnął się od drzwi, ale oddalił się również od Romana. - Zadzwoń na policję.

- Proszę. - Roman zapalił papierosa i przyglądał się księgowemu przez smugę dymu. Szkoda, że Bob tak łatwo dał się zastraszyć. Chciałby mieć pretekst, by mu porządnie przyłożyć. - Już rano kusiło mnie, żeby powiedzieć Royce'owi o wszystkim, ale zepsułoby mi to przyjemność rozprawienia się z tobą i twoimi kumplami. Proszę, dzwoń do niego. - Roman przesunął telefon w stronę Boba. - Znajdę sposób, żeby dokończyć sprawy między nami, kiedy już będziesz pod kluczem.

Bob nie poprosił o wyjaśnienia. Już w chwili, gdy Roman wszedł do biura, odniósł wrażenie, że zatrząskują się za nim drzwi celi.

- Słuchaj, wiem, że jesteś zdenerwowany...

- Wyglądam na zdenerwowanego? - warknął Roman. Bobowi zrobiło się słabo. Nieproszony gość robił wrażenie całkowicie opanowanego, ale musiało przecież być jakieś wyjście z tej sytuacji. Zawsze było jakieś wyjście.

- Wspomniałeś coś o fałszerstwie. Powiedz mi, o co chodzi, może razem uda się nam to wszystko wyjaśnić... - Nie zdołał dokończyć zdania, bo Roman poderwał go z krzesła.

- Przestań pleść bzdury. - Roman cisnął go z powrotem na krzesło. - Charity nie potrafi gotować i nie umie obsługiwać komputera. Nie gotuje, bo Mae jej tego nie nauczyła. Nietrudno się domyślić dlaczego. Mae chce niepodzielnie rządzić w kuchni, a Charity postanowiła jej na to pozwolić.

Roman podszedł do okna i jakby od niechcienia zasunął żaluzje. W pokoju zrobiło się ciemno, wydawał się teraz miejscem odciętym od świata.

- Równie łatwo zrozumieć, dlaczego nie potrafi obsługiwać najprostszego programu. Nawet nie próbowałaś jej tego nauczyć albo wyjaśnić w sposób tak zawiły i skomplikowany, żeby nie pojęła ani słowa. Mam ci powiedzieć, dlaczego to zrobiłaś?

- Ona naprawdę nie interesowała się komputerem. - Bob z wysiłkiem przełknął ślinę, gardło wyszło mu na wiór. - Kiedy musi, potrafi wykonać podstawowe operacje, ale znasz Charity... bardziej interesują ją ludzie niż maszyny. Przedstawiam jej wydruki.

- Wszystkie? Obaj wiemy doskonale, że nie dawałaś jej wszystkich wydruków. Czy mam ci powiedzieć, co zawierają dyskietki, które schowałeś w szufladzie z dokumentami?

Bob wyjął drżącymi palcami chustkę do nosa i otarł czoło.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Trzymasz tam księgi rachunkowe zajazdu, ale także dokumentację interesu, który prowadzisz na boku. Podejrzewam, że człowiek twojego pokroju przechowuje w tajemnicy przed współnikami dowody przestępstwa jako rodzaj polisy na wypadek, gdyby chcieli go oszukać. - Roman otworzył szufladę z dokumentami i wyjął dyskietkę.

- Zajrzemy do niej później - dodał i rzucił ją na biurko.

- Wprowadzasz za pośrednictwem tego ośrodka do obiegu dwa, trzy tysiące fałszywych dolarów tygodniowo. Przez pięćdziesiąt dwa tygodnie roku może zebrać się spora sumka. Jeśli dodać do tego twoją pensję i dochody z przerzutu przez granicę poszukiwanych osób, włączanych do grupy Bogu ducha winnych turystów, którzy wybrali się na wycieczkę krajoznawczą, to zbierze się niezły dochód.

- To jakiś obłąd! - Bob oddychał z trudem, nerwowo szarpał kołnierzyk koszuli. - Chyba zdajesz sobie sprawę, że to szaleństwo.

- Wiesz, że twoje referencje nadal znajdują się w dokumentacji zajazdu? - zapytał Roman tonem towarzyskiej pogawędki. - Problem w tym, że zostały sfałszowane. Nigdy nie pracowałaś w hotelu w Fort Worth ani w San Francisco.

- Zwiększyłem tylko trochę swoje szanse otrzymania pracy. To jeszcze niczego nie dowodzi.

- Myślę, że po przejrzaniu wydruków będziemy mogli postawić ci poważniejsze zarzuty.

Bob wpatrywał się w blat biurka. Można blefować do czasu, ale potem lepiej się poddać.

- Mógłbym się napić?

Roman podał mu butelkę i zaczął, aż Bob ją otworzył.



- Wykryłeś, że jestem z policji, prawda? A może nadstawiłeś ucha tak na wszelki wypadek, bo byłeś niespokojny. Usłyszałeś, że zadaję niewłaściwe pytania i przestraszyłeś się, że powiem Charity o całej operacji, więc zaalarmowałeś współpracowników.

- Czułem się podle. - Bob pociągnął kolejny łyk whisky. - Umiem rozpoznać tajniaka, więc zdenerwowałem się na twój widok.

- Dlaczego?

- Kiedy człowiek robi to co ja, uczy się rozpoznawać policjantów. Wyczuwa ich na odległość, w supermarkecie, na ulicy. Wszędzie.

Romanowi przypomniały się lala, które przeżył po drugiej stronie barykady. On również szóstym zmysłem rozpoznawał gliniarzy, nadal to potrafił.

- W porządku. I co zrobisz?

- Powiedziałem Blockowi. Podejrzewałem, że jesteś wtyczką, ale on tylko się śmiał, że mam obsesję. Chciałem zawiesić naszą działalność do twojego wyjazdu, ale nie posłuchał. Wczoraj wieczorem, kiedy zszedłeś na obiad, przeszukałem twój pokój. Znalazłem pudełko naboje. Pistoletu nie było, tylko naboje. To znaczy, że miałeś broń przy sobie. Zadzwoiłem do Blocka, że z całą pewnością jesteś policjantem. Spędzałeś dużo czasu z Charity, więc doszedłem do wniosku, że razem rozpracujecie tę sprawę.

- Usiłowałeś ją zabić.

- Nie, nie ja! - Prerażony Bob wcisnął się w oparcie krzesła. - Przysięgam. Nie jestem zwolennikiem brutalnych metod. Do licha, ja przecież lubię Charity! Chciałem stąd zniknąć. Mieliśmy już upatrzone kolejne miejsce, w Olympic Mountains. Myślałem, że zawiesimy działalność na parę tygodni, a potem się lam przeniesiemy. Block obiecał, że się wszystkim zajmie, a ja zrozumiałem przez to, że następna grupa będzie czysta. To dałoby mi czas na zrobienie lulaj porządków i bezpieczny wyjazd. Gdybym wiedział, co zaplanował. ..

- To byś ją ostrzegł?

- Posłuchaj, kiedy to się stało, zadzwoniłem do Blocka. Powiedział, że wynajął kogoś do tej roboty. Nie mógł zająć się tym osobiście, bo był na stałym lądzie. Twierdził, że ten facet wcale nie miał jej zabić. Block chciał ją tylko usunąć z drogi na kilka dni. Kolejna duża dostawa była już w drodze i... - Bob urwał, bo uświadomił sobie, że sam się pograża.

Roman kiwnął głową.

- Dowiedz się, kto prowadził samochód.

- Dobrze - przyrzekł skwapliwie Bob, nie wiedząc nawet, czy będzie w stanie dotrzymać obietnicy. - Dowiem się.

- Przez kilka najbliższych dni będziemy ściśle współpracować.

- A... nie zadzwonisz do Royce'a?

- Royce to moje zmartwienie, ty masz nadal robić to, co umiesz najlepiej, czyli kłamać. Tylko że teraz będziesz oszukiwał Blocka. Rób dokładnie to, co ci mówię, a pozostaniesz przy życiu. Jeżeli dobrze się spiszesz, wstawię się za tobą w swoim raporcie. Może uda się pójść na ugodę z prokuratorem. - Roman pochylił w stronę Boba. - Pamiętaj, nie próbuj ucieczki, bo cię dopadnę. Wykopię cię choćby spod ziemi i kiedy z tobą skończę, będziesz żałować, że cię nie zabiłem.

Bob spojrział Romanowi w oczy i zrozumiał, że nie są to czcze groźby.

- Co mam robić?

- Opowiedzieć mi o następnej dostawie.

Charity miała dosyć. Niestety, dała Romanowi słowo, że będzie przez cały dzień leżeć w łóżku. Nie mogła nawet zadzwonić do biura, żeby zapytać, co się dzieje. Próbowwała robić dobrą minę do złej gry i zaczęła przeglądać książki i kolorowe magazyny, które przyniosła jej Lori. Przypomniała sobie, że w sądne dni, kiedy w zajeździe wszystko szło na opak, marzyła o takim właśnie wylegiwaniu się w łóżku od rana do wieczora.

Tabletka, którą pod nadzorem Romana połknęła, otumaniła ją. Raz po raz zapadała w drzemkę. Od czytania ból głowy przybierał na sile, więc próbowała nastawić ciekawy program na małym, przenośnym telewizorze, który stał na półce w drugim końcu pokoju.

Na jednej ze stacji trafiła na film „Sokół maltański”. Szczerze się ucieszyła, bo skoro już została uwięziona w łóżku, to dobrze chociaż, że z Humphreym Bogartem. Kiedy Sam Spade sięgnął po narkotyk Grubasa, Charity zasnęła. Obudziła się, gdy w telewizji nadawano powtórkę jakiegoś sitcomu.

Wymusił na niej obietnicę, że pozostanie przez cały dzień w łóżku! Ze złością wbiła łokieć w poduszkę. Nie ma nawet tyle przyzwoitości, żeby choć przez pięć minut dotrzymać jej towarzystwa. Charity doszła do wniosku, że właściwie to dobrze, po czym zaczęła się zastanawiać nad tym, czym mogłaby się zająć, pozostając w łóżku.

Odetchnęła z ulgą, kiedy w drzwiach stanął Roman. Początkowa radość szybko ustąpiła miejsca niezadowoleniu, kiedy zapytał, co porabia.

- Ciągłe mnie o to pytasz.

- Tak? - Znów przyniósł tacę. Charity poczuła zapach popisowego dania Mae: rosółu z kurczaka z grzankami. - Więc co robisz?

- Umieram z nudów. Wołałabym chyba, żebyś mnie zastrzelił. - Na widok tacy postanowiła okazać mu jednak nieco więcej uprzejmości. Zapadał już zmierzch i od dawna nie miała nic w ustach. - To dla mnie?

- Jeśli masz ochotę. - Położył jej tacę na kolanach, ale się nie odsunął. Żadne słowa nie mogłyby w pełni wyrazić gniewu, jaki rozpałił w nim widok jej siniaków i bandaży. I żadne nie oddałyby radości, jakiej doznał, widząc w jej oczach zniecierpliwienie, a na policzkach rumieniec. - Nie masz racji, Charity. Będziesz żyła.

- Nie dzięki tobie. - Zanurzyła łyżkę w zupie. - Najpierw wymusiłeś na mnie obietnicę, że będę gniła w łóżku, a potem zostawiłeś mnie samą na cały dzień. Mogłeś zajrzeć choć na chwilę i sprawdzić, czy nic wpadłam w śpiączkę.

Roman zajął się chwilę. Sam Spade odpakowywał akurat tajemniczego ptaka, a Charity spała kamiennym snem. Siedział przy niej prawie pół godziny i po prostu patrzył na nią.

- Byłem trochę zajęty - oświadczył i bezceremonialnie odłamał sobie połowę jej grzanki.

- No jasne. - Charity stanowczo odebrała mu grzankę, nie była we wspaniałomyślnym nastroju. - Skoro już tu jesteś, to powiedz, co się dzieje na dole.

- Wszystko gra - oznajmił Roman, mając na myśli konfrontację z Bobem i przeprowadzone konsultacje telefoniczne.

- To dopiero drugi dzień pracy Bonnie. Ona...

- Radzi sobie znakomicie - wpadł jej w słowo Roman.

- Mae nic spuszcza jej z oka. Skąd się to wszystko wzięło?

- Wskazał rozstawione wokół wazonów świeżych kwiatów.

- Stokrotki przyniosła mi Lori. razem z czasopismami. Potem przyszła panna Millie z siostrą. Naprawdę nie powinny wspinać się tak wysoko po schodach! Od nich dostałam leśne fiołki. - Charity wymieniła jeszcze kilka osób, które przyniosły albo przysłały jej kwiaty.

Roman doszedł do wniosku, że on również powinien to zrobić. Niestety, nawet mu to nie przyszło do głowy. A przecież Charity zasługiwała na romantyczne gesty.

- Roman?

- Co?

- Czy przyszedłeś na górę tylko po to, żeby gapić się z ponurą miną na peonie?

- Nie. - Nawet nie znał nazwy tych kwiatów. Odwrócił się plecami do pełnych, różowych pąków. - Chcesz jeszcze coś zjeść?

- Nie. - Charity położyła łyżkę obok opróżnionej miseczki. - Nie chcę już nic jeść, nie potrzebuję więcej czasopism ani kolejnych odwiedzin osoby, która będzie mnie poklepywać po ręce i radzić, żebym dużo odpoczywała. Jeśli miałeś taki zamiar, to lepiej od razu wyjdź.

- Jesteś naprawdę czarującą pacjentką, Charity. - Roman opanował rozdrażnienie i wziął od niej tacę.

- Wcale nie, jestem godną politowania pacjentką! - Przestała panować nad sobą i ze złością rzuciła w Romana książkę. Na szczęście pocisk chybił celu. - Mam dosyć leżenia w samotności, jakbym cierpiała na chorobę zakaźną. Do licha, mam guza na głowie, a nie w mózgu.

- Guzy mózgu nie są zaraźliwe.

- Nie wymądrzaj się! - Nie odrywając od niego wzroku, skrzyżowała ręce na piersi.

- Postanowiłaś nie słuchać niczyich rad, prawda? Nieważne, że mają na celu wyłącznie twoje dobro.

- Muszę kierować zajazdem, a nie mogę robić tego, leżąc w łóżku.

- Dzisiaj nie musisz.

- To mój ośrodek, moje ciało i moja głowa. - Odrzuciła na bok kołdrę, ale ponownie opadła na poduszki.

Roman obserwował Charity. nie wyjmując rak z kieszeni.

- Dlaczego nie wstałaś?

- Bo obiecałam. Wyjdź już stąd. do diabła. Wyjdź i zostaw mnie samą.

Rzuciła w niego następną książkę, tym razem grubszą, w twardej oprawie. Odczuła drobną satysfakcję, kiedy tomisko z hukiem rąbnęło w zamykające się za Romanem drzwi.

Do licha z nim, pomyślała, opierając brodę na kolanach. Do licha ze wszystkim. Do licha z nią samą. Roman nie po to przyszedł na górę, żeby z nią walczyć. Nie musiał znosić jej humorów.

Roman zatrzymał się nagle w połowie schodów i zawrócił. Kiedy otworzył drzwi, Charity płakała. Kompletnie się rozkleiła, nienawidziła się za to i chciała, żeby wszyscy zostawili ją w spokoju.

- Czego znowu chcesz?

- Wstawaj.

Charity usiadła prosto i oparła się plecami o zagłówek.

- Dlaczego?

- Wstawaj - powtórzył Roman. - Ubieraj się. Na pewno jest tu gdzieś kawałek brudnej podłogi do przetarcia albo popielniczka, którą należałoby opróżnić.

- Obiecałam, że nie wstanę. - Uniosła głowę. - I nie wstanę.

- Albo wstaniesz sama, albo siłą wywlokę cię z łóżka. Oczy pociemniały jej ze złości i jeszcze wyżej zadarła głowę.

- Nie ośmielisz się. - Pożałowała tych słów, gdy tylko je wymówiła. Wiedziała przecież, że jest człowiekiem zdolnym do wszystkiego.

Roman podszedł do łóżka i złapał ją za ramię. Charity uczepliła się jednego ze słupków baldachimu. Mimo to zdołał podnieść ją na kolana, zanim dotarło do niej, co się dzieje. Zaczęła chichotać.

- Co za idiotyzm. Kompletny idiotyzm. Przestań mnie szarpać, Romanie. Upadnę i nabiję sobie następnego guza.

- Paliłaś się do wstawania, to wstawaj.

- Nie, chciałam tylko poużalać się nad sobą. Świetnie mi szło. Zaraz wyrwiesz mi ramię ze stawu.

- Jesteś najbardziej upartą kobietą, jaką w życiu spotkałem - odparł, ale ją puścił.

- Dałam niezłe przedstawienie. Przepraszam, że się na tobie wyładowałam.

- Nie potrzebuję przeprosin.

- Owszem, potrzebujesz. - Chętnie podałyby mu rękę na zgodę, ale wyraźnie nie był jeszcze gotów przyjąć gestu pojednania. - Nie umiem stać na uboczu, z dala od centrum wydarzeń. Prawie nigdy nie choruję, więc nie nauczyłam się dzielnie znosić takich sytuacji. - Mięła w palcach róg prześcieradła i ledwo odważyła się na niego popatrzeć. - Naprawdę mi przykro, Romanie. Nadal będziesz się na mnie złościć?

- Tak byłoby najlepiej. - Złość nie miała nic wspólnego z tym, co się z nim teraz działo. Charity wyglądała tak ponętnie z nieśmiałym uśmiechem na ustach, potarganymi włosami i w zwiewnej nocnej koszuli, wprawdzie skromnie zapiętej po szyję, ale odsłaniającej uda.

- Chcesz mnie ukarać?

Musiał się uśmiechnąć. Usiadł na łóżku, zacisnął dłoń w pięść i dotknął nią lekko podbródka Charity. - Jak już wstaniesz z łóżka, to jeszcze ci przyłożę.

- To bardzo miło z twojej strony, że przyniosłeś mi jedzenie. Nawet ci za to nic podziękowałam.

- To prawda.

- Dziękuję. - Pocałowała go w policzek.

- Proszę bardzo.

Zdmuchnęła włosy z oczu i postanowiła jeszcze raz zapytać o zajazd.

- Dużo mieliśmy dziś gości?

- Obsługiwałem trzydzieści stolików.

- Będę musiała dać ci podwyżkę. Mae zrobiła pewnie tort czekoladowy.

- Tak. - Kąciki ust Romana drgnęły.

- Nic nie zostało?

- Ani okruszka. Był przepyszny.

- Jadłeś go?

- Pełne wyżywienie mam zagwarantowane w umowie o pracę.

- To prawda. - Charity opadła na poduszki. Ponownie poczuła się skrzywdzona przez los.

- Znowu będziesz się dąsać?

- Tylko przez chwilę. Czy szeryf dowiedział się czegoś o tym samochodzie?

- Nie za wiele. Znalazł porzucony wóz szesnaście kilometrów stąd. - Roman wyciągnął rękę, żeby wygładzić zmarszczkę, która pojawiła się pomiędzy brwiami Charity. - Nie zwracaj sobie tym głowy.

- Nie zamierzam. Naprawdę. Cieszę się, że kierowca nikogo więcej nie potrącił. Lori powiedziała, że skaleczyłeś się w rękę.

- Lekko. - Ich dłonie były złączone. Nie wiedział, czy to on sięgnął po jej rękę czy ona po jego.

- Byłeś na spacerze?

- Czekałem na ciebie.

- O! - Znowu się uśmiechnęła.

- Powinnaś odpoczywać. - Roman poczuł się nieswojo i niezręcznie. Żadna inna kobieta nie wprawiała go w taki stan.

- Znowu jesteśmy przyjaciółmi?

- Można tak chyba powiedzieć. Dobranoc, Charity.

- Dobranoc.

Podszedł do drzwi, ale nie umiał wyjść za próg. Stał, tocząc walkę z samym sobą. Mijały sekundy, które im obojgu wydawały się długie jak godziny.

- Nie mogę. - Odwrócił się i cicho zamknął drzwi.

- Czego nie możesz?

- Nie mogę wyjść.

Rozpromieniła się w uśmiechu, który objął nie tylko jej usta, ale i oczy. Wyciągnęła do niego rękę. Wiedział, że tak zrobi. Równie trudno było mu podejść do Charity, jak przedtem ją opuścić.

- Nic dobrego ci ze mnie nie przyjdzie.

- A ja sędzę, że dużo dobrego. - Przyciągnęła ich złożone dłonie do swojego policzka.  
- Z czego wniosek, że jedno z nas się myli.

- Gdybym mógł, uciekłbym z tego pokoju, gdzie pieprz rośnie.

To ją zabolalo, ale nie oczekiwała, że miłość do Romana okaże się łatwa.

- Dlaczego?

- Z powodów, których nie mogę ci wyjawic. - Spojrzał na ich połączone dłonie. - Nie potrafię odejść. W przyszłości pożałujesz, że nie odszedłem.

- Nie. - Pociągnęła go na łóżko. - Cokolwiek się wydarzy, zawsze będę zadowolona, że zostałeś. - Tym razem to ona starała się wygładzić zmarszczki na jego czole. Zarzuciła mu ręce na szyję. - Kocham cię, Romanie. Dziś stanie się to, czego pragnę.

Chciał okazać Charity czułość i delikatność, aby - broń Boże! - jej nic skrzywdzić, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę, że w końcu będzie musiał sprawić jej ból.

Tego wieczoru postanowił zapomniec o przyszłości, choćby tylko na kilka godzin. Przy Charity potrafił być troskliwy i kochający. Przy niej mógł uwierzyć, że miłość potrafi pokonać wszelkie przeszkody.

Kochał ją. Nie wierzył dotychczas, że jest zdolny do miłości. Wkraczając w życie Charity, nie miał pojęcia, że ta kobieta sianie się dla niego wybawieniem. Pozostało mu już niewiele czasu, by jej to okazać. A przy okazji ofiarować samemu sobie to, czego nie spodziewał się od życia otrzymać.

Charity nie mogła się nadziwić delikatności Romana.

Jakby zdawał sobie sprawę, że tym pierwszym wspólnym razem trzeba się rozkoszować i uczynić go pamiętnym. Jej marzenia nie umywały się nawet do rzeczywistości. Westchnęła. Odpowiedziało jej westchnienie Romana.

Nie miała pojęcia, jakie pokłady czułości w nim się kryły. Nie mogła wiedzieć, że Roman również dopiero teraz je w sobie odkrywał. Nie pomyślał o zapaleniu świec. W bursztynowym świetle lampy widział Charity wyraźnie wpatrzone w niego pociemniałe oczy, usta wychodzące z uśmiechem na spotkanie jego warg. Nie pomyślał o nastawieniu muzyki, ale dzięki temu słyszał szelest nocnej koszulki, kiedy Charity go obejmowała. Przez uchylone okno wpadł do pokoju lekki powiew wiatru i nasycił powietrze wonią kwiatów.

Charity zaczęła rozpinac guziki jego koszuli, nie przestając patrzeć mu w oczy.

- Pragnę cię dotknąć - szepnęła, zsuwając mu z ramion koszulę. Serce zabiło jej szybciej na widok mięśni rysujących się pod napiętą skórą. Fascynowała ją jego siła, przeczuwała, że potrafi być bezlitosny. Przypuszczała, że nieraz już w życiu walczył. - Wydaje mi

się, że przez całe życie czekałam, by cię dotknąć - dodała i przesunęła czubkami palców po bandażu na ramieniu Romana. - Czy to boli?

- Nie. - Nie mógł zrozumieć, jak to możliwe, że jednym ruchem można przynosić udrękę i ukojenie równocześnie. - Charity. ..

- Pocałuj mnie jeszcze raz.

Zrozumiał, że potrafi dać jej rozkosz. Ta potrzeba pulsowała gwałtownie w głębi jego ciała. Mógł rozpalić jej namiętność, ale ta świadomość nie napełniła go poczuciem wszechwładzy.

Była gotowa dać mu wszystko, czego zapragnął, nie stawiając warunków. Ta silna, piękna, fascynująca kobieta oddawała się w jego władanie. To nie sen, z którego obudzi się udręczony w środku nocy. To rzeczywistość. Charity była realna i czekała, by zaczęli się kochać.

Powoli rozpinał małe guziczki. Słyszał coraz szybszy oddech Charity, kiedy każdy kawałek odsłanianej skóry znaczył wilgotnymi pocałunkami. Wpijała palce w jego plecy, potem jej ręce opadły bezwładnie. Jęczała, kiedy wodził językiem po jej skórze. Poczula powiew wiatru na gołym ciele i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że Roman ją rozebrał. Potem uniósł ją i zamknął w ramionach.

Wtuliła się w niego, podniecona do granic wytrzymałości, spragniona bliskości i spełnienia. Musiał cofnąć się na moment i odzyskać panowanie nad sobą, żeby móc ją porwać ze sobą i zaprowadzić na szczyt. Wtulił twarz w szyję Charity i walczył z pragnieniem, by jak najszybciej osiągnąć spełnienie. Trwał w zawieszeniu pomiędzy niebem a piekłem, w zachwycie. Usłyszał, jak z łkaniem wypowiedziała jego imię. Czuł jej siłę. Była z nim razem, jak nikt dotychczas. I wtedy zagarnęła ich fala rozkoszy.

Objęła Romana ramionami, nie pozwoliła mu się odsunąć.

- Nie ruszaj się.

- Zmiażdżę cię.

- Nie. - Westchnęła przeciągle. - Nie miażdżysz mnie.

- Jestem za ciężki - odparł i przygarnął ją do siebie, po czym przewrócił się na plecy.

- Dobrze. - Z zadowoleniem położyła głowę na jego ramieniu. - Jesteś najwspanialszym kochankiem na świecie - oświadczyła z przekonaniem.

Nawet nie próbował powstrzymać uśmiechu.

- Dziękuję. - Zaborczym ruchem położył dłoń na biodrze Charity. - A ilu ich miałaś?

Tym razem to ona się uśmiechnęła. Nuta zazdrości w głosie Romana dodała jeszcze większego uroku tej i tak już wspaniałej nocy.



Charity pożałowała, że nie umie kłamać i wymyślić na poczekaniu legionu kochanków.

- Niewielu. Co nie oznacza, że nie potrafię docenić rewelacyjnego.

- Nie zasługuję na ciebie.

- Nie bądź idiotą. - Uniosła się, żeby musnąć jego wargi pocałunkiem. - I nie zmieniaj tematu.

- Jakiego lematu?

- Jesteś sprytny, DeWinter, ale nie dość sprytny. - Przyjrzała mu się w świetle lampy. - Teraz moja kolej, żeby zapytać, ile miałeś kochanek.

Tym razem uśmiech nie pojawił się na ustach Romana.

- Zbyt wiele. Ale tylko jedna była dla mnie ważna. Rozbawienie zniknęło z oczu Charity.

- Zaraz się rozplączę - powiedziała i znów położyła głowę na jego piersi.

Jeszcze nie teraz, pomyślał Roman, gładząc jej włosy. Wkrótce rzeczywiście będziesz przeze mnie płakać, ale jeszcze nie teraz.

- Dlaczego nie wyszłaś za mąż? - zapytał. - Dlaczego nie masz dzieci?

- Dziwne pytanie. Dotychczas nikogo tak mocno nie kochałam. - Skrzywiła się, słysząc własne słowa, potem uśmiechnęła się i uniosła głowę. - To nie była aluzja.

Właśnie taką odpowiedź Roman chciał usłyszeć. Zdawał sobie sprawę, że to szaleństwo, ale przynajmniej przez kilka godzin pragnął wierzyć, że Charity kochała go wystarczająco mocno, by mu wybaczyć, zaakceptować i związać się z nim na zawsze.

- A co z twoimi wymarzonymi podróżami? Wzruszyła ramionami i znów ułożyła się na piersi Romana.

- Może nigdy nie wybrałam się w podróż, bo czułam, że nie warto oglądać tych wszystkich cudów w samotności? Po co jechać do Wenecji, jeśli nie mamy z kim pływać gondolą? Co nam przyjdzie z Paryża, jeśli nie mamy z kim zwiedzać?

- Możesz pojechać tam ze mną.

Już w półśnie roześmiała się. Podejrzewała, że Romanowi starczyłoby pieniędzy najwyżej na prom, i to tylko dla siebie.

- Dobrze. Daj mi znać, kiedy mam zacząć się pakować.

- Pojedziesz? - Uniósł głowę Charity, żeby spojrzeć w jej zaspane oczy.

- Oczywiście. - Pocałowała go. wtuliła głowę w jego ramię i zasnęła.

Roman zgasił lampkę przy łóżku. Przez dłuższy czas mocno tulił Charity i wpatrywał się w ciemność.

## ROZDZIAŁ 8

Charity powoli otworzyła oczy, zdziwiona, że nie może się ruszyć. Jeszcze otumaniona snem dostrzegła twarz Romana tuż przy swojej. We śnie przyciągnął ją do siebie. Nawet teraz nic robił wrażenia bezbronnego. Ciekawe, czy zawsze był laki? Czy musiał taki być? Uśmiech nadawał jego twarzy ogromnego uroku. Stanowczo zbyt rzadko się uśmiechał.

Mogła to zmienić. Z czasem, powoli i stopniowo, zdoła go nauczyć, jak się odprężyć, cieszyć, ufać. Nauczy go, jak być szczęśliwym. Niemożliwe, by taka miłość jak jej pozostała nieodwzajemniona. Prędzej czy później - prędzej, jeśli Charity zdoła postawić na swoim - Roman zrozumie, że zostali dla siebie stworzeni. Wtedy przyjdzie czas na przysięgi, założenie rodziny, wspólną przyszłość.

Nie pozwolę ci odejść, szepnęła niemal bezgłośnie. Jeszcze o tym nie wiesz, ale złowiłam cię na wędkę, z której nie zdołasz się zerwać.

Miał tyle do ofiarowania. I nie chodziło tylko o seks. choć nie wstydziła się przyznać, że pod tym względem olśnił ją i zachwyił. Chciałaby wiedzieć, co sprawiło, że tak bardzo bał się miłości, że tak wzdragał się pokochać.

Za bardzo go kochała, żeby żądać od niego wyjaśnień. On sam musiał odpowiedzieć sobie na to pytanie i Charity czuła, że stanie się to chwili, kiedy jej w pełni zaufa. A wtedy pozostanie jej tylko przekonać Romana, że to dla niej bez znaczenia, bo liczy się tylko łączące ich uczucie.

Musnęła jego wargi pocałunkiem. Natychmiast otworzył oczy. W ciągu sekundy jego spojrzenie było całkowicie przytomne.

- Masz lekki sen. Ja...

Nie dokończyła, bo wargi Romana opadły na jej usta. Zdobyła się tylko na stłumiony pomruk, zanim poddała się cudownym doznaniom.

Tylko w ten sposób mógł jej powiedzieć, co czuł, gdy po przebudzeniu znalazł ją przy sobie, taką ciepłą, bliską i chętną. Zbyt często budził się rano samotnie w obcych łóżkach. Latami izolował się od ludzi, którzy mogliby zanadto się do niego zbliżyć. Taką miał pracę. A przynajmniej wmawiał w siebie, że to wina pracy. Było to jednak kłamstwo, jedno z wielu. Postanowił żyć samotnie, bo bał się kolejnej straty, żałoby. Teraz, w ciągu jednej nocy, wszystko uległo zmianie.

Na zawsze zapamięta zakradające się do pokoju blade promienie świtu, śpiew ptaków, radośnie witających wschodzące słońce, zapach rozgrzanej snem skóry Charity. I jej usta otwierające się skwapliwie na przyjęcie jego pocałunku.

W mrocznych zakątkach duszy Romana kryła się głęboko skrywana potrzeba. Ona ją wyczuła. Powoli, muskając wargami twarz Charity, wszedł w nią. Przyjęła go z uśmiechem szczęścia.

Była słaba jak jagnię, ale zadowolona jak kot, który dobrał się do śmietanki. Z zamkniętymi oczami wyciągnęła ramiona w górę, aż do sufitu.

- I pomyśleć, że do niedawna byłam święcie przekonana, że najlepiej rozpocząć dzień od spaceru z psem. - Ze śmiechem położyła się znowu na Romanie. - Dziękuję, że udowodniłeś mi, jak bardzo się myliłam.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Jego serce ciągle jeszcze waliło jak młotem. - Daj mi chwilę, a przedstawię ci najlepszy powód, by spędzić cały ranek w łóżku.

Ależ to była kusząca perspektywa! Jednak Charity potrząsnęła głową i usiadła w pościeli.

- Może po powrocie poświęcę ci jeszcze krótką chwilę. Roman złapał ją za rękę, ale uchwyt jego palców był bardzo lekki.

- Po powrocie skąd?

- Ze spaceru z Ludwigiem.

- Nie.

- Jak to: nie? - Ręka Charity znieruchomiała w powietrzu.

Roman znał ten ton. Znowu była szefową, chociaż naga i jeszcze zaróżowiona po miłości. Ta kobieta nie przyjmowała niczyich poleceń. Postanowił jeszcze raz udowodnić jej, że nie miała racji.

- Nie, nie pójdziesz z psem na spacer.

Chciała zachowywać się racjonalnie, więc przywołała na twarz uśmiech.

- Owszem, pójde. Dotzymałam słowa i cały wczorajszy dzień spędziłam w łóżku. Oraz całą noc. A teraz zamierzam wrócić do pracy.

W pobliżu zajazdu, zgoda. Właściwie im szybciej wszystko wróci do normy, tym lepiej. Ale nie było nawet mowy, by Roman pozwolił jej spacerować po opustoszałej szosie.

- Nie jesteś w odpowiedniej formie do biegania.

- Owszem, jestem.

- Masz najwspanialsze ciało na świecie. Odsunęła jego myszkujące dłonie.

- Romanie... naprawdę?

Jego wargi wygięły się w leniwym uśmiechu. Takie najbardziej się jej podobały.

- Oczywiście, pozwól, że ci to udowodnię.

- Nie, ja... - Złapała dłonie, które zaczęły pieścić jej uda. - Gdybyśmy spróbowali zrobić to znowu, pewnie przypłacilibyśmy to życiem.

- Jestem gotów zaryzykować.

- Romanie, mówiłam poważnie. Romanie...

- Bajeczne nogi - orzekł i przesunął językiem po wrażliwym miejscu pod kolanem. - Ostatniej nocy poświęciłem im stanowczo zbyt mało uwagi.

- Tak, ty... - Charity oparła się ręką o materac. - Próbujesz odwieść mnie od moich zamiarów.

- Tak.

- Nie możesz. - Zamknęła oczy. Mógł. Właśnie to robił. - Ludwig musi pobiegać - wykrztusiła z trudem. - Bardzo to lubi.

- Świetnie. - Roman nakrył rękami jej piersi. - W takim razie ja z nim wyjdę.

- Ty? - Odwróciła głowę, żeby uniknąć pocałunku, bo czuła, że musi złapać oddech. Zadrzała, gdy Roman przesunął wargami w dół po jej szyi. - To nie jest konieczne.

Jestem w doskonałej... - Jej głos stawał się coraz słabszy, bo Roman zataczał kciukiem kręgi wokół jej sutków.

- Tak, niesamowite ciało - stwierdził. - Silne, smukłe i piękne. Nie mogę cię dotknąć, żeby nie zacząć cię pragnąć.

- Próbujesz mnie uwieść.

- A ty nie masz nic przeciwko temu, prawda?

Charity była zgubiona, pozbawiona własnej woli. Wiedziała, że potem będzie miała o to do siebie pretensje, ale teraz oparła się o Romana, pozwalając mu postawić na swoim.

- To twoja odpowiedź na wszystko?

- Nie. - Uniósł Charity i naprowadził ją na siebie. - Ale działa.

Charity nie była w stanie odmówić, otoczyła nogami biodra Romana i pozwoliła, by namiętność porwała ich oboje. Potem osunęła się bezsilnie na łóżko. Nie dyskutowała, kiedy okrył ją prześcieradłem.

- Zostań tu - powiedział i pocałował jej włosy. - Wrócę.

- Smycz wisi na haczyku pod schodami - wymamrotała Charity. - Po powrocie ze spaceru Ludwig dostaje zawsze dwie miarki psiej karmy i świeżą wodę.

- Chyba potrafię poradzić sobie z psem. Ziewnęła i podciągnęła koce pod szyję.

- Ludwig lubi ganiać kotkę Fitzsimmonsów. Nie musisz się martwić, nigdy jej nie dopadnie.

- To mi ulżyło. - Zawiązał buty. - Jeszcze o czymś powinienem wiedzieć?

- Mhm. - Wtuliła się w poduszkę. - Kocham cię. Jak zwykle zaszokowały go zarówno wyznanie, jak i świadomość, że jest szczere. Bez słowa wyszedł z pokoju.

Charity przeciągnęła się pod prześcieradłem. Wcale nie była zmęczona. Roman miał rację. Sen nie był najlepszym powodem, by pozostać rano dłużej w łóżku. Pomimo siniaków i skaleczeń nigdy nie czuła się tak wspaniale jak teraz. Postanowiła poleniuchować i, na wpół drzemiąc, wylegiwała się w łóżku, dopóki nie wygnało ją z niego poczucie winy.

Automatycznie włączyła radio i uporządkowała pościel. W saloniku przejrzała notatki i dodała kilka punktów. Potem weszła pod prysznic. Nuciła melodię z koncertu skrzypcowego Czajkowskiego, gdy nagle zasłonki kabiny zostały rozsunięte.

- Roman! - Przycisnęła dłonie do serca i oparła się plecami o glazurę. - Nie powinieneś mnie straszyć. - Związała włosy na czubku głowy, a w ręku trzymała perfumowane mydło. Mokra, namydłona skóra lśniła. Roman pospiesznie zdarł z siebie koszulę i odrzucił ją na bok.

- Czy nie myślałaś o tym, żeby nauczyć tego psa chodzić przy nodze?

- Nie. - Z szerokim uśmiechem przyglądała się, jak rozpinał spodnie. - Zgaduję, że chcesz wejść pod prysznic.

- Roman bez słowa rzucił dzinsy w ślad za koszulą. Charity przez dłuższą chwilę podziwiała go w milczeniu. - Cóż, widzę, że spacer z psem zanadto cię nie... wyczerpał.

- Roześmiała się, kiedy Roman stanął przy niej.

Mniej więcej po godzinie Charity zeszła do holu.

- Chciałabym zjeść wszystkiego po trochu! - zawołała, przyciskając ręką żołądek. - Cześć, Bob. - Zatrzymała się przy recepcji, żeby uśmiechnąć się do księgowego.

- Witaj, Charity. - Bob dostrzegł Romana i ręce zwilgotniały mu ze zdenerwowania. - Jak się czujesz? Bardzo szybko zeszłaś na dół.

- Nic mi nie jest. - Zerknęła od niechcienia na leżące na biurku dokumenty. - Przepraszam, że zostawiłam wczoraj wszystko na twojej głowie.

- Nie bądź niemądra. Martwiliśmy się o ciebie.

- Doceniam waszą troskę, ale nie ma już powodu do niepokoju. - Uśmiechnęła się do Romana. - Nigdy w życiu nic czułam się tak znakomicie.

Bob zauważył jej spojrzenie. Jeżeli ten policjant jest w niej zakochany, to sprawy przybrały zdecydowanie zły obrót.

- Miło mi to słyszeć, ale... Uniosła rękę, żeby uciszyć jego protest.

- Masz tu coś pilnego?

- Nie. - Zerknął na Romana. - Nie ma nic pilnego.

- To dobrze. - Charity odsunęła na bok papiery i przyjrzała się księgowemu. - Co się stało, Bob?

- A co miałyby się stać?

- Jesteś blady. Chyba się nie rozchorowałeś?

- Nie, wszystko w porządku. W absolutnym porządku. Przyjąłem kilka nowych rezerwacji. Na lipiec mamy już prawie komplet.

- Wspaniale! Przejrzę wszystko po śniadaniu. Napij się kawy. - Poklepała go po ręce i ruszyła do jadalni.

Stali goście raczyli się ciastem kawowym Mae, czekając na właściwy posiłek. Bonnie przyjmowała zamówienia. Śniadaniowe menu było starannie wypisane na tablicy, a z głośników dobiegała cicha, kojąca muzyka. Na stołach stały świeże kwiaty i gorąca kawa.

- Coś nie tak? - zapytał Roman.

- Nie. Co mogłoby być nie tak? Chyba wszystko idzie jak po maśle - odparła i z poczuciem, że jest tu zbędna, pospieszyła do kuchni.

Nie trafiła na spór, który należałoby rozsądzić. Mae i Dolores pracowały zgodnie ramię przy ramieniu, a Lori ustawiała na tacy pierwsze zamówienie.

- Potrzebujemy więcej masła do grzanek francuskich!

- zawołała Mae.

- Już się robi - odparła radosna jak skowronek Dolores i zaczerpnęła trochę zgrabnych kuleczek masła. Podała napełnioną miseczkę Lori i zauważyła stojącą w drzwiach Charity. - O, dzień dobry! - Chuda twarz kucharki rozjaśniła się uśmiechem. - Nie spodziewałam się, że będziesz już na nogach.

- Nic mi nie jest.

- Siadaj, dziewczyno. - Mae ledwie rzuciła na nią okiem i wróciła do posypywania omletu tartym serem.

- Dolores zaraz poda ci herbatę.

Charity zacisnęła zęby, ale uśmiechnęła się.

- Nie chcę herbaty.

- Może nie chcesz, ale powinnaś wypić.

- Jak to dobrze, że już się lepiej czujesz - rzuciła w przelocie Lori, niosąc tacę do jadalni.

Wpadła Bonnie z bloczkiem zamówień w rękę.

- O, cześć Charity. Myślałyśmy, że zostaniesz w łóżku jeszcze jeden dzień. Lepiej się czujesz?

- Lepiej - odparła Charity lakonicznie. - Po prostu świetnie.

- To cudownie. Dwa omlety z bekonem, Mae. Jedna francuska grzanka z kiełbasą. Dwie herbaty ziołowe, jedno kruche ciastko. Zaczyna brakować kawy.

Bonnie powiesiła zamówienie na haczyku nad kuchenką, złapała podany przez Dolores dzbanek świeżej kawy i wypadła.

Charity podeszła, żeby wziąć fartuszek, ale Mae odpędziła ją machnięciem ręki.

- Powiedziałaś, żebyś usiadła.

- A ja ci powiedziałam, że czuję się świetnie. Świetnie! Chcę pomóc przyjmować zamówienia.

- Dzisiaj będziesz wykonywać moje polecenia. Siadaj. - Mae pogłaskała Charity po ramieniu. - Bądź grzeczną dziewczynką. Nie martwiłabym się tak bardzo o ciebie, gdybym wiedziała, że zjadłaś solidne śniadanie. Chyba nie chcesz, żebym się o ciebie martwiła, prawda?

- Nie, oczywiście, że nie. Ale...

- No właśnie. Więc usiądź. Przygotuję ci francuską grzankę. Twoją ulubioną.

Charity usiadła. Dolores postawiła przed nią filiżankę herbaty i pogłaskała ją po głowie.

- Ale nam wczoraj napędziłaś strachu. Usiądź, Romanie. Zaraz ci podam kawę.

- Dziękuję. Jesteś nadąsana - zwrócił się do Charity.

- Wcale nie.

- Doktor wpadnie dziś rano, żeby jeszcze raz rzucić na ciebie okiem.

- Mae, na litość boską...

- Nawet palcem nie ruszysz, dopóki lekarz ci nie pozwoli - oznajmiła i wzięła się za przygotowanie zamówienia. - Zresztą dopóki nie wyzdrowiejesz, niewiele będzie z ciebie pożytku. Wczoraj mieliśmy wystarczająco dużo kłopotów.

Charity natychmiast podniosła wzrok znad filiżanki herbaty.

- Jakich kłopotów?

- Wszyscy zadawali pytania, na które nikt nie znalazł odpowiedzi. I zaginęła sterta pościeli.

- Zaginęła?

- Już została znaleziona. - Mae zrobiła Dolores miejsce przy kuchni. - Ale mieliśmy tu niezłe zamieszanie. Potem obiad... przydałaby się nam dodatkowa para rąk. - Mae mrugnęła do Romana ponad głowę Charity. - Wszyscy będziemy skakać z radości, jeśli doktor pozwoli ci wziąć się do roboty. Podsmaż jeszcze ten bekon, Dolores, żeby był chrupiący.

- Jest chrupiący.

- Za mało.

- Mam go spalić?

Charity uśmiechnęła się i wypila łyk herbaty. Jak dobrze być znowu na swoim miejscu.

Dopiero po południu ponownie zobaczyła Romana. Za uchem miała zatknięty ołówek, do jednej kieszeni wsunęła notes, do drugiej ściereczkę i pospiesznie przemierzała korytarz, kierując się do swoich pokoi.

- Spieszysz się?

- O! - Zatrzymała się, żeby uśmiechnąć się do Romana. - Tak, mam w pokoju pewne dokumenty, które są potrzebne w biurze.

- A co to? - Pociągnął ściereczkę do kurzu.

- Jedna z pokojówek złapała wirusa. Odesłałam ją do domu. - Charity spojrzała na zegarek i skrzywiła się. Uznała jednak, że może sobie pozwolić na dwie minuty rozmowy. - Mam nadzieję, że Bob się od niej nie zaraził.

- A co jest z Bobem?

- Nie wiem. Nieszczególnie wygląda. Tak czy owak brakuje jednej pokojówki, a dzisiaj przyjadą goście do trójki i piątki. Garsonowie wyprowadzili się z piątki dopiero dziś rano, a na pewno nie zdobyliby nagrody za schludność.

- Doktor kazał ci po południu odpocząć przez godzinę.

- Tak, ale... skąd ty właściwie o tym wiesz?

- Zapytałem go. - Roman wyciągnął ściereczkę z kieszeni Charity. - Posprzątam w piątce.

- Nie bądź śmieszny. To nie twoja praca.

- Mam się zajmować naprawami, więc naprawię panujący w piątce nieporządek. Jak skończę, to wpadnę na górę. Jeżeli nie zastanę cię w łóżku, to wykopię cię choćby spod ziemi.

- To zabrzmiało jak groźba. Pochylił się i mocno ją pocałował.

- To była groźba!

- Jestem przerażona - pisnęła Charity i wbiegła po schodach.



Nie miała zamiaru ignorować zaleceń lekarskich. Naprawdę. Po prostu w natłoku zajęć popołudniowa drzemka musiała zejść na dalszy plan. Każda rozmowa telefoniczna była dłuższa niż zwykle z powodu pięciominutowych wyjaśnień dotyczących jej obrażeń i samopoczucia.

Nie, naprawdę czuła się całkiem dobrze. Tak, to rzeczywiście okropne, że ktoś ukradł samochód biednej pani Norton i rozbijał się nim po wyspie jak wariat. Owszem, była pewna, że szeryf zdoła ująć sprawcę. Nie, nie złamała nogi... ręki... ramienia... Tak, zamierzała dbać o siebie i była bardzo wdzięczna za troskę.

To serdeczne zainteresowanie jej zdrowiem sprawiłoby nawet Charity przyjemność, gdyby nie opóźnienia w pracy. Co gorsza. Bob był kompletnie rozkojarzony i niezorganizowany. Zaczęła się martwić, że zachorował albo ma poważne problemy osobiste, więc wzięła na siebie jego robotę.

Dwukrotnie próbowała zrobić przerwę i pójść na górę odpocząć, i dwukrotnie musiała to odłożyć, by zająć się gośćmi. Przyjęła na wiarę, że Roman porządnie wysprzątał piątkę, i zaprowadziła tam parę nowożeńców.

- Mają stąd państwo piękny widok na ogród. - W rzeczywistości weszła nie po to, żeby oglądać widoki, ale by sprawdzić, czy Roman pamiętał o czystych ręcznikach. Na szczęście leżały na właściwym miejscu. Łóżko o białym wiklinowym wezglowiu w kształcie serca było zaścielone idealnie, z wojskową wręcz precyzją. Ledwo oparta się pokusie, by unieść kapę i sprawdzić prześcieradła.

- Codziennie o piątej po południu podajemy w salonie wino. Jeżeli zamierzają państwo zjeść obiad w naszej restauracji, to radzę od razu zarezerwować stół, szczególnie że dziś sobota. Śniadania podajemy pomiędzy siódmą trzydzieści a dziesiątą. Jeśli mają państwo ochotę, to... - Urwała, bo do pokoju wszedł Roman. - Za chwilę do ciebie przyjdę - powiedziała do niego i odwróciła się znowu w stronę nowo przybyłych.

- Przepraszam. - Roman powitał gości skinieniem głowy i wziął Charity na rękę. - Panna Ford jest w tej chwili pilnie potrzebna gdzie indziej. Życzę państwu miłego pobytu.

Kiedy minął pierwszy szok, Charity zaczęła mu się wrywać.

- Zwariowałaś? Puść mnie natychmiast!

- Puszczę cię dopiero wtedy, gdy się znajdziesz w łóżku.

- Nie możesz tak po prostu... - Słowa zmieniły się w nieartykułowany pomruk, kiedy wkroczyli do saloniku.

Dwóch siedzących na kanapie panów przerwało opowiadanie o swych wyczynach wędkarskich. Wracająca z wycieczki rodzina stanęła w drzwiach, wpatrując się w nich z

zainteresowaniem. Panna Millie i panna Lucy, siedzące przy stoliku pod oknem, przerwały swą codzienną partyjkę scrabble.

- Jakie to romantyczne. - Panna Millie westchnęła, kiedy zniknęli w zachodnim skrzydle.

- Postawiłeś mnie w wyjątkowo krępującej sytuacji.

- Masz szczęście, że zrobiłem tylko tyle.

- Nie miałaś prawa przerywać mi rozmowy z gośćmi. A potem, co gorsza, odgrywać Rhetta Butlera.

- O ile sobie przypominam, to on miał całkiem co innego na myśli, niosąc do łóżka inną upartą kobietę. - Roman rzucił ją, niezbyt delikatnie, na materac. - Teraz odpoczniesz.

- Mam ochotę posłać cię do diabła.

Pochylił się i unieruchomił jej głowę w dłoniach.

- Nie krępuj się.

- Nie pozwala mi na to dobre wychowanie. - Niech ją Ucho, jeśli się uśmiechnie.

- Więc mam szczęście. - Pochylił się jeszcze bardziej. W jego oczach błyszczało rozbawienie. Charity musiała mocno zagryźć wargi, żeby się nie roześmiać. - Przez sześćdziesiąt minut nie wolno ci opuścić łóżka.

- Albo?

- Albo... napuszczę na ciebie Mae!

- To chwyć poniżej pasa, DeWinter!

Roman musnął wargami skroń Charity, tuż nad świeżym bandażem.

- Wyłącz się na godzinę, kochanie. Na pewno od tego nie umrzesz.

Charity zaczęła się bawić górnym guzikiem jego koszuli.

- Wolałabym, żebyś dotrzymał mi towarzystwa.

- Powiedziałem, byś się wyłączyła, a nie żebyś się przestawiła na inny rodzaj... aktywności. - Kiedy zaterkotał telefon w jej saloniku, przytrzymał ją na łóżku. - Nawet o tym nie myśl. Sam odbiorę.

Wzniosła oczy do nieba, kiedy Roman przeszedł do sąsiedniego pokoju.

- Tak? Odpoczywa. Powiedz im, że zejdzie na dół za godzinę. I do czwartej nie łącz tu telefonów. Tak. - Zerknął na listę, którą Charity zostawiła na biurku. Na marginesie naszkicowała złotą, rzeźbioną bransoletkę ze szlifowanym czerwonym kamieniem. - Przez najbliższą godzinę sam się wszystkim zajmij. Właśnie tak.

- O co chodziło? - zawołała Charity z sąsiedniego pokoju.

- Powiem ci za godzinę.

- Do licha, Romanie! A jeśli to ważne... Zatrzymał się w progu.

- Nie.

- Skąd wiesz? - Rzuciła mu miazdzące spojrzenie.

- Wiem, że to nie jest ważniejsze od ciebie. Nic nie jest ważniejsze. - Zamknął drzwi, zostawiając ją w osłupieniu.

Trzeba trzymać Boba krótko, myślał Roman, zbiegając po schodach. Musi sprawić, by pozostawał w stałym poczuciu zagrożenia jeszcze przez kilka dni. Block powinien zjawić się tutaj z kolejną grupą turystów z Vision Tour w środę. Kiedy w czwartek rano będą opuszczając zajazd, pułapka się zamknie.

Roman pchnął drzwi biura. Bob popijał kawę, siedząc przed komputerem.

- Jak na człowieka, który żyje z oszustw, jesteś wyjątkowym flejtuchem.

Bob pociągnął większy łyk.

- Nigdy dotychczas nie musiałem pracować pod okiem policjanta.

- Traktuj mnie po prostu jak nowego partnera - poradził Roman. Wyjął mu kubek z ręki. powąchał i skrzywił się. - Wylej to świństwo, przestań się upijać.

- Daj mi szansę.

- Dałem ci już większą, niż zasługujesz. Charity niepokoi się o ciebie. Podejrzewa, że masz problemy, choć nie przypuszcza, że zamartwiasz się perspektywą spędzenia następnych paru lat w więziennej celi. Nie chcę, żeby się tobą przejmowała.

- Żądasz, bym robił to samo co przedtem. Oszukuję Blocka, pomagam ci zastawić na niego pułapkę. - Trzęsącą się ręką przeczesał włosy. - Nie masz pojęcia, do czego jest zdolny. Nawet ja sam tego nie wiem. - Zerknął na kubek, który Roman postawił poza jego zasięgiem. - Potrzebuję alkoholu, żeby przetrwać kilka najbliższych dni.

- To ci nie pomoże - powiedział Roman spokojnie i zapalił papierosa. - Weź się w garść, a ja dopilnuję, żebyś nie dostał zbyt wysokiego wyroku. A teraz zrób sobie przerwę.

- Co?

- Mówiłem, żebyś zrobił sobie przerwę. Idź na spacer albo napij się prawdziwej kawy.

- Roman strzepnął popiół z papierosa do małej wzorzystej miseczki.

- Jasne. - Bob wstał i wytarł spocone dłonie o spodnie. - Słuchaj, DeWinter, postawmy sprawę jasno. Oczekuję, że ochronisz mnie przed Blockiem, kiedy już będzie po wszystkim.

- Zajmę się Blockiem. - Tej obietnicy zamierzał dotrzymać. Kiedy za Bobem zamknęły się drzwi, podniósł słuchawkę telefonu. - DeWinter - powiedział, gdy uzyskał połączenie.

- Streszczaj się - warknął Conby. - Mam gości.

- Postaram się, żeby twoje martini zanadto się przeze mnie nie zagrzało. Czy namierzyłeś kierowcę?

- To pionek, a na nich najmniej nam zależy.

- Mnie zależy. Znalazłeś go?

- Człowiek odpowiadający rysopisowi został zatrzymany dziś rano w Tacoma. Jest teraz przesłuchiwany przez miejscową policję. Wykorzystaliśmy nasze wpływy, żeby maksymalnie wydłużyć normalne procedury. Polecę tam w poniedziałek. W środę po południu powinienem zameldować się w zajezdzie. Powiedziano mi, że dostanę pokój z oknem wychodzącym na jezioro pełne ryb. To brzmi zachęcająco.

- Chcę, byś dał mi słowo, że Charity zostanie wyłączona z tej sprawy.

- Już ci tłumaczyłem, że jeżeli jest niewinna, to nie ma powodów do zmartwienia.

- Tu nie ma żadnego „jeżeli”. - Roman skruszył w palcach papierosa, żeby odzyskać panowanie nad sobą. - Ona jest niewinna. Zostało to potwierdzone wiarygodnym zeznaniem.

- Jeśli można wierzyć jakiemuś zastraszonemu księgowemu.

- O mało nie została zamordowana i nawet nie wie dlaczego.

- To miej ją na oku. Nie zależy nam na tym, żeby panna Ford ucierpiała czy została wplątana w tę sprawę bardziej niż to konieczne. Miejscowy oficer policji w pełni podziela twoją opinię o panie Ford. Szeryf Royce wykrył, że dla nas pracujesz.

- Jak?

- To cwany gliniarz. I ustosunkowany. Ma w FBI kuzyna czy przyrodniego brata. Nie był zachwycony, że ukryto przed nim prawdę.

- Domyślam się.

- Przypuszczam, że niedługo złoży ci wizytę. Postępuj z nim ostrożnie, ale nie daj sobie wejść na głowę.

W chwili gdy Roman usłyszał trzask odkładanej słuchawki, otworzyły się drzwi biura.

- Witam, szeryfie.

- Chcę wiedzieć, co się tu, do Ucha, dzieje, agencie DeWinter.

- Proszę zamknąć drzwi. - Roman odepchnął krzesło do tyłu, zastanawiając się gorączkowo, w jaki sposób postępować z Royce'em. - Byłbym wdzięczny, gdyby na razie darował pan sobie tego „agenta”.

Szeryf oparł obie dłonie na blacie biurka.

- Chcę wiedzieć, co robi na moim terenie zakonspirowany agent federalny.

- Wykonuje rozkazy. Usiądzie pan? - Wskazał mu krzesło.

- Muszę wiedzieć, nad czym pan pracuje.

- A co panu powiedziano? Royce prychnął z niesmakiem.

- Doszło do tego, że nawet mój kuzyn udziela mi wymijających odpowiedzi. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że pańska obecność tutaj wiąże się z wczorajszym wypadkiem Charity, w którym o mało nie postradała życia.

- Przyjechałem tutaj, żeby wykonać zadanie. - Roman zamilkł na chwilę i obrzucił Royce'a przeciągłym spojrzeniem. - Bezpieczeństwo Charity jest dla mnie najważniejsze.

Royce od przeszło dwudziestu lat pracował w swoim fachu i nauczył się trafnie oceniać ludzi. Spojrzał teraz na Romana i był w pełni usatysfakcjonowany tym, co zobaczył.

- Usłyszałem z Waszyngtonu jakieś brednie, że Charity jest o coś podejrzana.

- Była, ale już nie jest. Może natomiast mieć kłopot'. Chce pan jej pomóc?

- Znam tę dziewczynę od urodzenia. - Szeryf zdjął kapelusz i przygładził włosy. - Niech pan skończy z tymi głupimi pytaniami i powie mi, o co w tym wszystkim chodzi.

Roman przedstawił mu sprawę w ogólnym zarysie, przerywając tylko raz czy dwa, kiedy Royce o coś zapytał.

- Nie mam czasu, żeby zagłębiać się w szczegóły. Chcę wiedzieć, ilu ludzi mógłby pan oddelegować do tej sprawy w czwartek rano.

- Wszystkich - odparł Royce bez namysłu.

- Chcę tylko najbardziej doświadczonych. Dostałem cynk, że tym razem Block przywiezie nie tylko fałszywe banknoty, ale i człowieka figurującego w rejestrach policyjnych jako Jack Marshall. Naprawdę nazywa się Vincent Dupont. Tydzień temu obrabował dwa banki w Ontario, zabił strażnika i zranił osobę cywilną. Block wywiezie go z Kanady jako jednego z uczestników wycieczki krajoznawczej. Zamierza zamelinować go tutaj na parę dni, a potem przetrząść do Ameryki Południowej. Od takich ludzi jak Dupont jego firma turystyczna pobiera za swe usługi niezłe opłaty. Zarówno Dupont, jak i Block są niebezpieczni. Będziemy mieli w zajeździe swoich agentów, ale są tu przecież osoby cywilne. Nie możemy usunąć ich z zajazdu, nic wzbudzając równocześnie podejrzeń przestępców.

- Planuje pan ryzykowną grę.

- Wiem. - Roman pomyślał o śpiącej na piętze Charity. - Nie można tego rozegrać w inny sposób.

## ROZDZIAŁ 9

Charity wracała do ośrodka po odwiezieniu trzech gości hotelowych na prom. Była przekonana, że to najpiękniejszy poranek w jej życiu, który nastąpił po najpiękniejszej nocy. Nie. po dwóch najpiękniejszych nocach, jakie dane jej było przeżyć.

Nie uważała się za osobę szczególnie romantyczną, ale wielokrotnie próbowała sobie wyobrazić, jak to jest być zakochana.. Jej sny na jawie nijak się miały do tego, co teraz czuła. Miłość okazała się potężnym, oszałamiającym uczuciem. Roman wypełniał bez reszty jej myśli.

Z każdą wspólnie spędzoną godziną stawali się sobie bliżsi. Wyraźnie czuła, jak stopniowo kruszyły się mury, jakie wokół siebie wybudował. Pragnęła zobaczyć, jak wreszcie rozsypują się w proch.

Zakochał się w niej. Była tego pewna, choć nie wiedziała, czy on sam już to sobie uświadomił. Dostrzegała to we wzroku, jakim na nią patrzył, w delikatności, z jaką jej dotykał, gdy sądził, że spała. Z zaborczości, z jaką tulił ją w nocy do siebie, jakby się obawiał, iż mogłaby go opuścić. Z czasem zdoła go przekonać, że nigdzie od niego nie odejdzie i że on zostanie przy niej na zawsze.

Martwił się czymś. Była tego pewna. Czasami wyczuwała jego napięcie, nawet kiedy stał w drugim końcu pokoju. Zdawał się trwać w oczekiwaniu. Na co?

Od wypadku starał się nie spuszczać jej z oka. Charity uważała, że to urocze, ale wreszcie musiało się skończyć. Kochała go, lecz nie chciała być prowadzona za rączkę jak dziecko. Była pewna, że gdyby dowiedział się o jej dzisiejszych planach, znalazłby sposób, by im przeszkodzić.

Nie pomyliła się. Roman nieprędko zdołał się uspokoić, kiedy okazało się, że nie ma Charity ani w biurze, ani w kuchni, ani w żadnym innym miejscu w zajeździe.

- Odwiozła gości na prom - poinformowała go Mae i z żywym zainteresowaniem obserwowała, jak szalał ze zdenerwowania. - No, no - mruknęła. - Nie najlepiej to przyjąłeś, chłopcze.

- Dlaczego pozwoliłaś jej jechać?

- Pozwoliłam jej jechać? - Mae wybuchnęła śmiechem. - Nie pyta mnie o pozwolenie, odkąd nauczyła się chodzić. Po prostu robi, co chce. - Przestała na chwilę ucierać krem i przyjrzała się Romanowi. - Czy znasz powód, dla którego nie powinna jechać na prom?

- Nie.

- W takim razie wszystko w porządku. Uspokój się. Za pół godziny powinna być z powrotem.

Przez cały czas nieobecności Charity Roman nie ukrywał zdenerwowania. Mae i Dolores wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Zapowiadały się nieliczne plotki, kiedy wreszcie zostaną same w kuchni.

Mae przypomniała sobie uśmiech na ustach Charity. Wpadła rano do kuchni niemal tanecznym krokiem. Rzuciła teraz okiem na Romana, który siedział pogrążony w ponurych rozmyślaniach nad filiżanką kawy i raz po raz spoglądał na zegarek. Rzeczywiście, nieźle go wzięło.

- Masz dziś wolne, prawda? - zagadnęła go Mae.

- Co?

- Dziś niedziela - wyjaśniła cierpliwie. - To twój wolny dzień.

- Chyba tak.

- Ładna pogoda. W sam raz na piknik. - Zaczęła kroić pieczoną wołowinę na kanapki.

- Masz jakieś plany?

- Nie.

- Charity uwielbia pikniki, a już chyba od miesiąca nie spędziła dnia poza zajazdem.

- Masz może laskę dynamitu?

- A po co? - pisnęła Dolores.

- Bo bez dynamitu nie da się oderwać Charity od tego miejsca.

Po minucie Dolores zrozumiała wreszcie żart. Zaczęła chichotać.

- Słyszałaś, Mae? Pytał o dynamit!

- Oboje jesteście głupi - oceniła kucharka, krojąc hojne porcje sernika z czekoladą. -

Na tę dziewczynę nie działa dynamit, rozkazy ani groźby. Moglibyście w równym powodzeniu przez cały dzień walić głową w mur.

- Próbowала ukryć satysfakcję, ale niezbyt się jej udało.

- Jeśli chcecie, żeby Charity coś zrobiła, dajcie jej do zrozumienia, że wyświadcza wam przysługę. Przekonajcie ją, że wam na tym zależy. Dolores, przynieś mi z ostatniego pokoju duży, wiklinowy kosz z pokrywą. Chłopcze, jeśli nadal będziesz tak biegać w tę i z powrotem po mojej kuchni, to doszczętnie zniszczysz podłogę.

- Powinna już być z powrotem.

- Wróci, kiedy wróci. Umiesz sterować łódką?

- Tak, a dlaczego pytasz?

- Charity uwielbia pikniki na wodzie. Od dawna już nie wypływała w morze.

- Wiem. Mówiła mi.
- Chcesz uszczęśliwić moją dziewczynkę?
- Tak. Chcę.
- W takim razie zabierz ją na cały dzień na łódkę. Nie pozwól, by ci odmówiła.
- Dobrze.
- Przynieś z piwnicy butelkę francuskiego wina. Charity lubi francuskie produkty.
- Jest szczęściarą, że ma ciebie.

Na szerokiej twarzy Mae pojawił się lekki rumieniec, ale starała się zbagatelizować pochwałę.

- My tu wszyscy jesteśmy ze sobą zżyci. Ty też jesteś w porządku - dodała. - Początkowo miałam pewne wątpliwości, ale jesteś w porządku.

Gdy tylko Charity zatrzymała samochód, Roman ruszył ku niej zwirową alejką z wielkim wiklinowym koszem w ręku.

- Cześć.

- Cześć. - Powitała go uśmiechem i lekkim pocałunkiem. Pomimo obecności dwojga nastolatków, którzy podglądali ich z położonego nieopodal kortu, Roman objął Charity ramieniem i mocno do siebie przytulił. Musiała głęboko odetchnąć i oprzeć się o furgonetkę, żeby odzyskać równowagę. Dopiero wtedy zauważyła kosz. - A co to?

- Koszyk - odparł niewinnie. - Mae zapakowała mi parę rzeczy. To mój wolny dzień.

- Racja. - Charity odrzuciła warkocz na plecy. - Dokąd się wybierasz?

- Na morze, jeżeli zgodzisz się pożyczyć mi łódź.

- Oczywiście. - Zerknęła tęsknie na niebo. - Wspaniały dzień na laską wyprawę. Lekki wiatr, prawie bezchmurnie.

- To chodźmy.

- My? - Roman już ciągnął ją na przystań. - Nie mogę. Po południu czeka mnie mnóstwo pracy. I ja - w głębi duszy musiała przyznać, że nie miała jeszcze odwagi wybrać się na morze - nie mogę.

- Odwiozę cię przed porą obiadową, kiedy jest największy ruch. - Dotknął jej policzka.

- Potrzebuję cię, Charity. Muszę pobyć przez pewien czas tylko z tobą, z dala od innych.

- Może wybralibyśmy się na przejażdżkę? Nie widziałeś jeszcze gór.

- Proszę. - Postawił kosz na ziemi i ujął w dłonie twarz Charity. - Zrób to dla mnie.

Próbowała sobie przypomnieć, czy choć raz powiedział przedtem „proszę”. Chyba nie. Z westchnieniem spojrzała na łódkę, kołyszącą się lekko na falach w przystani.

- No dobrze. Na godzinkę. Pójdę na górę się przebrać.



Roman przyjrzał jej się badawczo. W czerwonym sweterku i dżinsach nie powinna zmarznąć na wodzie. Na pewno zdawała sobie z tego sprawę. Próbowwała zyskać na czasie.

- Wyglądasz doskonale. - Wziął ją za rękę i zaprowadził na molo. - Przydałaby mu się porządna konserwacja.

- Wiem. już o tym myślałam. - Poczekała, aż Roman wsiądzie do łodzi. Kiedy wyciągnął do niej rękę, z wahaniem wsparła się na niej i weszła na pokład. - Klucz został w domu, na kółku ze wszystkimi kluczami.

- Mae mi go dała.

Poinformowała go także, że Charity miała jedną łódkę tylko do użytku personelu.

- Rozumiem. - Charity usiadła na rufie. - Jesteście w zмовie.

Wystarczyły dwa szarpnięcia linki, by uruchomić silnik.

- Z tego. co mi wczoraj powiedziałaś, wynika, że twój dziadek wcale by nie chciał, byś do końca życia nosiła po nim żałobę.

- Nie. - Pełne łez oczy zwróciła na budynek zajazdu.

- Na pewno by tego nie chciał. Ale tak bardzo go kochałam. .. - Odetchnęła głęboko. - Muszę się z tego otrząsnąć.

Roman pociągnął ją lekko za rękę, żeby usiadła przy nim. Położyła mu głowę na ramieniu.

- Często pływałaś łódką?

- Czasami. Kiedy byłem mały. każdego lata wypożyczaliśmy łódź i pływaliśmy po rzece.

- Jacy: my? - Zauważyła cień zasnuwający twarz Romana, więc szybko zmieniła pytanie: - Na jaką rzekę?

- Missisipi. - Uśmiechnął się i otoczył ją ramieniem.

- Pochodzę z St. Louis, zapomniałaś?

- Missisipi. - Przed oczami Charity przesunęły się obrazy parowców i chłopców na tratwach. - Chciałabym ją zobaczyć. Wiesz, co byłoby wspaniałe? Popłynąć w dół rzeki od St. Louis do Nowego Orleanu. Muszę dopisać taką wycieczkę do mojej listy.

- Jakiej listy?

- Listy wymarzonych podróży. - Charity roześmiała się, pomachała ręką ludziom na przepływającej obok żaglówce i pocałowała Romana w policzek. - Dziękuję.

- Za co?

- Za to, że mnie zabrałaś na morze. Zawsze kochałam popołudnia spędzane na wodzie, obserwowanie innych łódek, mijanych domów. Brakowało mi tego.

- Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że zbyt wiele czasu poświęcasz zajazdowi?

- Nie. Nie można poświęcać zbyt wiele czasu czemuś, co się kocha. - Odwróciła się. Gdyby przesłoniła ręką oczy, mogłaby nawet z tej odległości dostrzec swój dom.

- Gdybym go tak bardzo nie kochała, sprzedałabym go i przyjąłabym posadę w nowoczesnym hotelu w Seattle, Miami czy jeszcze gdzie indziej. Ośmiogodzinny dzień pracy, zwolnienia w razie choroby, dwutygodniowe wakacje...

- Sam ten pomysł wywołał wybuch śmiechu Charity. - Miałabym estetyczny, służbowy uniform, dobrane do niego buty i gabinet, w którym spokojnie odchodziłabym od zmysłów. - Zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu okularów przeciwsłonecznych. - Powinieneś to zrozumieć. Masz zręczne ręce i bystry umysł. Dlaczego nie jesteś szefem brygady budowlanej w dużej firmie?

- Może podjąłem w przeszłości niewłaściwe decyzje? Przechyliła głowę na bok i przyglądała mu się przez chwilę spod rzęs.

- Nie wydaje mi się. To do ciebie niepodobne.

- Za mało o mnie wiesz, Charity.

- Wystarczająco dużo. Od tygodnia mieszkam z tobą pod jednym dachem. To odpowiada co najmniej półrocznym spotkaniom na gruncie towarzyskim. Wiem, że jesteś człowiekiem uczuciowym, ale zamkniętym w sobie. Wiem też, że masz gwałtowny temperament, ale rzadko tracisz panowanie nad sobą. Jesteś doskonałym stolarzem i lubisz kończyć rozpoczętą robotę. Potrafisz zachować się z galanterią wobec starszej pani. - Roześmiała się lekko i wystawiła twarz na wiatr. - Lubisz czarną kawę, nie boisz się ciężkiej pracy i... jesteś cudownym kochankiem.

- I to ci wystarczy? Charity podniosła ręce do góry.

- Na pewno ty nie wiesz o mnie więcej. Jestem głodna - stwierdziła nagle. - Może byśmy coś zjedli?

- Wybierz miejsce.

- Widzisz ten mały cypelek? Możemy tam zakotwiczyć. Wskazany przez nią skrawek lądu wyglądał jak sterta kamieni, które wpadły do morza. Kiedy podpłynęli bliżej, Roman dostrzegł wąski pasek piachu, a za nim gęsto rosnące drzewa. Zredukował prędkość i zbliżył się do cypla. Kiedy dno łodzi otarło się o piasek, Charity zdjęła buty i podwinęła nogawki spodni.

- Będziesz musiał podać mi rękę - powiedziała i w tej samej chwili wpadła po kolana w wodę. - Boże, ale zimna! - Roześmiała się i przycumowała łódź. - Chodź.

Woda wydała mu się lodowata. Razem wyciągnęli łódkę na wąski pas piasku.

- Pewnie nie wzięłaś koca?

Roman wyjął z łodzi wypłowiały, czerwony pled, który zapakowała mu Mae.

- Może być?

- Jest znakomity. Weź kosz. - Rozbryzgując wodę.

Charity ruszyła przez pływającą na brzeg. Rozłożyła koc pod osłoną skał i opuściła wilgotne nogawki dżinsów. - Przyplływałyśmy tu zawsze z Lori. kiedy byłyśmy dziewczynkami. Zajadałyśmy kanapki z masłem orzechowym i gadałyśmy o chłopakach. - Uklękła na kocu i rozejrzała się dokoła.

Woda pieniała się, uderzając o wygładzoną przez wiatry skałę. W dali płynął jacht z wydętymi przez wiatr białymi żaglami.

- Niewiele się tu zmieniło. - Z uśmiechem wyciągnęła rękę po koszyk. - Na szczęście. - Zdjęła pokrywę i jej oczom ukazała się butelka szampana. Wyjęła ją i pytająco uniosła brwi. - Widzę, że czeka nas nie lada piknik.

- Mae mówiła, że lubisz francuskie produkty.

- Owszem, ale nigdy nie zabierałam szampana na piknik.

- Najwyższy czas, żeby to zrobić. - Roman wyjął jej z rąk butelkę i poszedł na brzeg, żeby ochłodzić ją w wodzie. - Niech się jeszcze trochę wyziębi. - Wrócił do Charity i ukląkł. Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Najpierw mruknęła z zadowolenia, a po chwili gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy pogłębił pocałunek. Objęła go, przesuwała ręce coraz wyżej, aż wreszcie dotarła do ramion. Pożądanie, jak przyływ, wznosiło się szybko i ogarniało całe jej ciało.

Musiał... musiał przygarnąć ją blisko, tak blisko, by czuć bicie jej serca, rozkoszować się smakiem jej ust. Wsunął palce we włosy Charity, niecierpliwie rozplótł warkocz. Wargami, w których nie było śladu delikatności, rozgniatł jej usta.

Był w nim niepokój, gniew, których nie potrafiła zrozumieć. Przyłgnęła do niego, bez wahania oferując mu wszystko, czego pragnął.

- Podoba mi się ten sposób rozpoczęcia pikniku - powiedziała Charity, kiedy odzyskała zdolność mówienia.

- Nie mogę się tobą nasycić.

- To dobrze. Nie mam nic przeciw temu.

Odsunął się nieco. Światło załamało się w rozhuśtanych, kryształowych kolczykach Charity. Roman pomyślał, że byłoby dla niego lepiej, a już na pewno bezpieczniej, gdyby porozmawiali o pogodzie i gościach ośrodka. O bardzo wielu sprawach nie mógł jej

poinformować. Gdy jednak spojrzął jej w oczy, zrozumiał, że powinien powiedzieć jej o Romanie DeWinterze jak najwięcej, by mogła świadomie podjąć decyzję.

- Usiądź.

Jakaś nuta w jego głosie zaniepokoiła Charity. Przyszło jej do głowy, że chce ją powiadomić o swoim wyjeździe.

- Dobrze. - Zacisnęła dłonie, obiecując sobie w duchu, że znajdzie sposób, by go zatrzymać.

- Nie byłem wobec ciebie szczery. - Roman oparł się plecami o skałę. - Powinnaś dowiedzieć się o mnie pewnych rzeczy trochę wcześniej, zanim jeszcze sprawy zaszły tak daleko.

- Romanie...

- To nie potrwa długo. Naprawdę pochodzę z St. Louis. Mieszkałem w dzielnicy, o jakiej pewnie nawet ci się nie śniło. Narkotyki, dziwki. Rozkosze sobotniej nocy. - Roman spojrzął w morze. Niewielki, elegancki jacht złapał wiatr w żagle. - To całkiem inny świat niż ten, który cię otacza.

Wreszcie jej zaufała. Postanowiła nie dopuścić, by tego pożałował.

- Nieważne, skąd pochodzisz, Romanie. Teraz jesteś tutaj.

- To nie do końca prawda. Pochodzenie na zawsze zostawia w człowieku ślad. - Szybko ścisnął jej dłoń i pospieszenie cofnął rękę. Uznał, że lepiej jej teraz nie dotykać. - Ojciec, w chwilach względnej trzeźwości, prowadził taksówkę. Gdy był całkiem pijany, siedział w domu i trzymał się za głowę. Pamiętam, to jedno z moich najwcześniejszych wspomnień, że wstałem kiedyś w nocy i słyszałem, jak matka na niego krzyczy. Co parę miesięcy odgrażała się, że od niego odejdzie. Wtedy brał się w karby. Żyliśmy jak w oku cyklonu, dopóki znowu nie wstąpił do baru na drinka. Matka przestała grozić, tylko zrealizowała swój zamiar.

- Dokąd wyjechaliście?

- Powiedziałem, że matka odeszła.

- Ale... nie wzięła cię z sobą?

- Pewnie doszła do wniosku, że i bez dziesięcioletniego chłopca będzie jej wystarczająco ciężko.

Charity próbowała stłumić gniew. Trudno jej było zrozumieć, jak matka mogła porzucić własne dziecko.

- Pewnie była przerażona i nie wiedziała, co robi. Kiedy ona...

- Nigdy więcej jej nie zobaczyłem - przerwał Roman. - Musisz zrozumieć, że nie wszyscy potrafią kochać bezwarunkowo. Nie wszyscy w ogóle potrafią kochać.

- Och, Romanie. - Chciała przyciągnąć go do siebie, ale powstrzymała ją, wolała zachować dystans.

- Mieszkałem z ojcem jeszcze przez trzy lata. Pewnej nocy upił się i wsiadł do taksówki. Zabił siebie i pasażera.

- Boże! - Charity znów chciała objąć Romana, ale nie pozwoliła.

- W ten sposób znalazłem się pod dozorem sądowym. Nie przejmowałem się tym za bardzo, pewnego dnia uciekłem i trafiłem na ulicę.

Próbowała pojąć to, co jej teraz wyznał, ale nie mieściło jej się to w głowie.

- W wieku trzynastu lat?

- Większość życia i tak spędziłem na ulicy.

- Ale jak?

Roman wyjął papierosa, zapalił i głęboko zaciągnął się dymem. Wreszcie zmusił się do kontynuowania opowieści.

- Podejmowałem się najdziwniejszych zajęć, brałem każdą robotę, jaka się napatoczyła. A kiedy nie miałem pracy, kradłem. Po paru latach doszedłem do takiej wprawy w złodziejskim fachu, że rzadko zwracałem sobie głowę uczciwą pracą. Włamywałem się do domów, uruchamiałem samochody, łącząc przewody stacyjki, kradłem portfele. Rozumiesz, co ci chcę powiedzieć?

- Tak. Byłeś samotny i zrozpaczony.

- Byłem złodziejem. Do licha, Charity, nie byłem biednym, zagubionym chłopcem. Przestałem być dzieckiem w chwili, gdy wróciłem do domu i zobaczyłem, że matka odeszła, a ojciec leży pijany jak bela. Wiedziałem, co robię. Podjąłem taką decyzję.

Patrzyła mu prosto w oczy, walczyła z potrzebą objęcia go i ukojenia.

- Jeżeli oczekujesz, że potępię dzieciaka, który znalazł taki sposób utrzymania się przy życiu, to muszę cię rozczarować.

Charity to nieuleczalna romantyczka, pomyślał Roman i wrzucił niedopałek do wody.

- Nadal kradniesz?

- A jeśli ci powiem, że tak?

- To będę zmuszona stwierdzić, że jesteś głupcem. A nie wyglądasz na głupca, Romanie.

Milczał przez chwilę, wreszcie zdobył się na powiedzenie jej reszty.

- Znalazłem się w Chicago. Skończyłem właśnie szesnaście lat. Był styczeń. Mróz taki, że nawet łyzy zamarzały. Doszedłem do wniosku, że muszę zdobyć pieniądze na bilet autobusowy na południe. Postanowiłem spędzić zimę na Florydzie i podskubać trochę bogatych turystów. Wtedy spotkałem Johna Brody'ego. Włamałem się do jego mieszkania i nadałem wprost na lufę pistoletu czterdziestki piątki. Był policjantem. Nie wiem, który z nas był bardziej zaskoczony. John dał mi trzy możliwości do wyboru. Pierwsza: odwiezie mnie do poprawczaka. Druga: wybije mi kradzieże z głowy. I trzecia: da mi coś do zjedzenia.

- I co zrobiłeś?

- Trudno odgrywać twardziela, kiedy ważący blisko sto kilo mężczyzna celuje w twój brzuch. Zjadłem puszkę zupy. Pozwolił mi spać na kanapie. - Roman nadal widział siebie, kościstego, zgorzkniałego chłopaka, przewracającego się bezsennie na niewygodnej sofie. - Mówiłem sobie, że wyciągnę z niego, ile się da, a potem zwieję. Powtarzałem sobie, że to frajer o miękkim sercu i że jak tylko się ociepli, to ucieknę od niego, zabierając ze sobą wszystko, co zdołam unieść. A potem zacząłem chodzić do szkoły. - Urwał i spojrzał w niebo. - John zwykł budować wszystko od fundamentów, według zasad obowiązujących w budownictwie. Zresztą to on nauczył mnie posługiwać się młotkiem.

- To musiał być człowiek przez duże C.

- Miał zaledwie dwadzieścia pięć lat, kiedy go spotkałem. Dorastał na South Side. Wychowywał się na ulicy, wśród członków gangów. W pewnym momencie przeszedł na drugą stronę barykady. Postanowił przeprowadzić i mnie na tę drugą stronę. Udało mu się. Kilka lat później ożenił się i kupił stary, rozpadający się dom pod miastem. Wyremontowaliśmy go własnymi rękami, pokój po pokoju. Twierdził, że najbardziej lubi mieszkać na placu budowy. Dobudowywaliśmy do domu dodatkowy pokój, w którym miał się mieścić jego warsztat, kiedy John zginął na służbie. Dopiero co skończył trzydzieści dwa lata. Zostawił trzyletniego syna i żonę w ciąży.

- Tak mi przykro, Romanie. - Charity przysunęła się i uścisnęła jego rękę.

- Wtedy coś we mnie umarło. Nic już nie zdoła tego wskrzesić.

- Rozumiem. - Roman znowu próbował się od niej odsunąć, ale zdołała go przytrzymać. - Naprawdę rozumiem. Kiedy tracimy kogoś, kto odegrał tak ważną rolę w naszym życiu, zawsze już będziemy odczuwać pustkę. Ja też stale myślę o dziadku. Nadal mi go brak. Czasem nawet wściekam się na siebie, bo jeszcze tyle miałam mu do powiedzenia.

- Zapominasz o jednym. O tym, kim byłem, skąd pochodzę. Byłem złodziejem.

- Byłeś dzieckiem.

Roman złapał ją za ramiona i potrząsnął.

- Mój ojciec był pijakiem.

- A ja nawet nie wiem, kim był mój. Czy mam się tego wstydzić?

- To nie ma dla ciebie znaczenia? Gdzie bytem, co robiłem?

- Raczej nie. Bardziej interesuje mnie to, jaki jesteś teraz.

Nie mógł jej zdradzić wszystkiego. Jeszcze nie. Dla jej własnego dobra musiał jeszcze przez kilka dni się powstrzymać. Było jednak coś, co mógł jej powiedzieć już teraz. Nigdy dotychczas nie wyznał tego nikomu, podobnie jak nie opowiedział historii swojego życia.

- Kocham cię.

Zamknięte w jego dłoniach ręce dziewczyny jakby zmiękły. Oczy Charity stały się wielkie i okrągłe.

- Czy mógłbyś... - Zamilkła dla nabrania tchu, bo najwyraźniej zabrakło jej powietrza.

- Czy mógłbyś powtórzyć?

- Kocham cię.

Ze zduszonym łkaniem padła mu w ramiona. Powtarzała sobie, że nie wolno jej się rozplakać, i mocno zaciskała powieki, żeby powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Nie wolno dopuścić, żeby miała czerwone oczy i spuchnięty nos w najważniejszym momencie swojego życia.

- Obejmuj mnie jeszcze przez chwilę, dobrze? - Przytuliła twarz do ramienia Romana.

- Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

- W takim razie jest nas dwoje - odparł z uśmiechem. Gładził jej włosy i czuł, jak rośnie w nim pełen niedowierzania zachwyt. Ze zdumieniem stwierdził, że wyznanie miłości wcale nie okazało się takie trudne. Właściwie mógłby powtarzać to kilka razy dziennie.

- Jeszcze tydzień temu nawet cię nie znałam. - Charity uniosła głowę, żeby dosięgnąć jego ust. - A teraz nie mogę sobie wyobrazić życia bez ciebie.

- Więc nie próbuj sobie wyobrazać. Jeszcze mogłabyś zmienić zdanie.

- Nie ma mowy!

- Obiecuj. - Gwałtownie złapał jej dłonie i poprosił: - Chcę, żebyś mi to obiecała.

- Dobrze. Przysięgam, że nie zmienię zdania i nie przestanę cię kochać.

- Trzymam cię za słowo, Charity. - Przyciągnął ją do siebie i zmacił jej szczęście szokującym pytaniem: - Wyjdiesz za mnie?

Drgnęła, spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami i usiadła sztywno wyprostowana.

- Co?!

- Chcę, żebyś za mnie wyszła. Zaraz, dzisiaj. - Zdawał sobie sprawę, że to szaleństwo, że nie powinien tego mówić. Znowu przyciągnął ją do siebie, czuł, że za wszelką cenę musi ją przy sobie zatrzymać. - Na pewno znasz kogoś, pastora czy urzędnika stanu cywilnego, który mógłby udzielić nam ślubu.

- No... tak, ale... - Charity podniosła rękę do czoła, kręciło jej się w głowie jak na karuzeli. - Przecież potrzebne są dokumenty, pozwolenia... Boże, nie jestem w stanie jasno myśleć.

- To nie myśl. Po prostu powiedz: tak.

- Oczywiście „tak”, ale...

- Żadnego „ale”. - Roman zmiażdżył jej usta pocałunkiem. - Chcę. byś należała do mnie. I Bóg mi świadkiem, że bardzo chcę należeć do ciebie. Wierzysz, mi?

- Tak. - Bez tchu dotknęła jego policzka. - Romanie, mówimy o małżeństwie, o całym przyszłym życiu. Bo dla mnie ślub to zobowiązanie za zawsze. - Przeciągnęła dłonią po włosach. - Pewnie wszyscy tak mówią, ale ja w to wierzę. Nie wystarczy kilka słów wypowiedzianych w obecności urzędnika. Zaczekaj, proszę! - zawołała, bo Roman chciał jej przerwać. - Jestem oszołomiona. Chcę, żebyś dobrze rozumiał. Kocham cię i najbardziej ze wszystkiego na świecie pragnę należeć do ciebie. Ale ślub to musi być coś więcej niż tylko wygłoszenie zwyczajowej formułki: „tak, chcę”. Nie zależy mi na wielkim, wystawnym weselu. Mogę się też obyć bez długiego, białego welonu i wymyślnych zaproszeń.

- A na czym ci zależy?

- Na kwiatkach i muzyce, Romanie, i na obecności przyjaciół. - Charity spojrzała mu w oczy z nadzieją, że ją zrozumie. - Chcę stanąć przy tobie z przeświadczeniem, że wyglądam pięknie i w obecności wszystkich bliskich mi osób powiedzieć, jaka jestem dumna, że mogę zostać twoją żoną. Jeżeli zabrzmiało to zbyt romantycznie, trudno, nic na to nie poradzę.

- Ile czasu potrzebujesz?

- Dasz mi dwa tygodnie?

Roman zdawał sobie sprawę, że tak będzie lepiej. Nie udało mu się jej zatrzymać, gdyby nadal dzieliły ich kłamstwa i niedopowiedzenia.

- Daję ci dwa tygodnie, ale pod warunkiem, że potem ze mną wyjedziesz.

- Dokąd?

- Zostaw to mnie.

- Uwielbiam niespodzianki. - Uśmiechnęła się, Roman wyczuł to przyciśniętymi do jej warg ustami. - A ty... ty jesteś moją największą niespodzianką.



- Dwa tygodnie. - Mocno przytrzymał jej dłonie. - I ani dnia więcej, choćby się waliło i paliło.

- Mówisz tak, jakby w tym czasie miała się wydarzyć katastrofa. - Musnęła jego policzek pocałunkiem i uśmiechnęła się znowu. - Będzie dobrze, Romanie. Nam obojgu. To moja kolejna obietnica. A teraz mam ochotę na szampana.

Przyniósł butelkę, a Charity naszykowała kieliszki. Usiedli obok siebie na kocu, korek wystrzelił z hukiem i sykiem.

- Za nowy początek - powiedziała i stuknęła kieliszkiem o jego kieliszek.

- Będziesz ze mną szczęśliwa, Charity - obiecał, pełen nadziei, że te słowa okażą się prawdą.

- Już jestem. - Przytuliła się do niego i oparła mu głowę na ramieniu. - To najwspanialszy piknik w moim życiu.

Pocałował ją w czubek głowy.

- Jeszcze nic nie zjadłaś.

- A kto by myślał o jedzeniu?!

## ROZDZIAŁ 10

Zakwaterowanie uczestników wycieczki wywołało w tę srodę tyle samo zamieszania co zawsze. Charity, jak zwykle, doskonale sobie ze wszystkim poradziła. Przydzielała apartamenty i domki, odpowiadała na pytania, podała ciasteczko rozkapryszonemu maluchowi. Zazwyczaj rozkwitała w atmosferze gorączkowej krzątanimy, ponieważ właściwa obsługa klientów oznaczała pomyślność jej ukochanego zajazdu. Teraz jednak wołałaby, żeby wszystko szło gładko i spokojnie.

Trudno jej było skoncentrować się na interesach, kiedy myśli zaprzętały bez reszty przygotowania do ślubu. Tyle decyzji należało podjąć. Wybrać muzykę Szopena czy Beethovena? Liczyć na to, że pogoda się utrzyma i będzie można przeprowadzić ceremonię ślubną w ogrodzie czy jednak zaplanować bardziej kameralną uroczystość w salonie?

- Tak proszę pana, z przyjemnością przedstawię panu ofertę wypożyczalni rowerów. -  
Podsunęła klientowi broszurkę.

Kiedy wreszcie zdoła wygospodarować wolne popołudnie, żeby wybrać suknię ślubną? To musiała być wyjątkowa suknia, jakby dla niej stworzona. Długa do ziemi, z romantycznymi koronkowymi aplikacjami. W Eastsound był butik, który specjalizował się w staroświeckich strojach. Gdyby tylko mogła...

- Nie zamierzasz tego podpisać?

- Przepraszam, Roger. - Charity wróciła z obłoków na ziemię i uśmiechem poprosiła o wybaczenie. - Jestem dziś okropnie rozkojarzona.

- Nic się nie stało. - Block pogłaskał Charity po rękę, którą podpisała fakturę. -  
Wiosenna gorączka?

- Można tak powiedzieć. - Odrzuciła włosy na plecy, zła na siebie, że zapomniała je dzisiaj zapleść. Kiedy myślała o dzwonach weselnych, nawet nie pamiętała, jak się nazywa. -  
Mamy drobny problem. Komputer znowu płata nam figle. Biedny Bob walczy z nim od wczoraj.

- Wyglądasz tak, jakbyś sama stoczyła walkę. Charity dotknęła gojącego się już rozcięcia na skroni.

- W zeszłym tygodniu miałam wypadek.

- Nic poważnego?

- Nie, to tylko draśnięcie. Jakiś idiota urządził sobie rajd kradzionym samochodem i o mało mnie nie przejechał.

- To straszne! - Block przyjrzał się jej i jego twarz przybrała wyraz powagi. - Odniosłaś poważne obrażenia?

- Nie, skończyło się na kilku skaleczeniach i siniakach, ale napędził mi stracha.

- Mogę sobie wyobrazić. Człowiek nie spodziewa się czegoś podobnego w tej okolicy. Mam nadzieję, że go złapali.

- Jeszcze nie. Prawdę mówiąc, wątpię, by go kiedykolwiek złapano. Pewnie uciekł z wyspy, jak tylko wytrzeźwiał.

- Ci pijani kierowcy! - Block prychnął z niesmakiem.

- Po takim przeżyciu bez wątpienia masz prawo być trochę rozkojarzona.

- Szczerze mówiąc, jestem rozkojarzona ze znacznie przyjemniejszego powodu. Za dwa tygodnie wychodzę za mąż.

- Coś podobnego! - Twarz Blocka rozjaśniła się w szerokim uśmiechu. - Kim jest ten szczęśliwiec?

- To Roman DeWinter. Nie wiem, czy miałeś już okazję go poznać? Remontuje pokoje na piętrze.

- To się nieźle składa, prawda? - Uśmiech nie schodził z twarzy Blocka. Postanowił uciąć sobie z Bobem dłuższą pogawędkę na temat wpadania w popłoch bez powodu.

- Czy on pochodzi z tych stron?

- Nie, z St. Louis.

- Mam nadzieję, że nie zabierze nam ciebie.

- Przecież wiesz, że nigdy nie opuściłabym zajazdu.

- Uśmiech Charity przybladł. Nigdy nie rozmawiali z Romanem na ten temat. - Tak czy owak, obiecuję lepiej koncentrować się na pracy. Sześć osób z twojej grupy chce wynająć łódzie. - Zerknęła pospiesznie na zegarek. - Koło południa mogłabym ich zawieźć do portu jachtowego.

- Ja ich podrzucę.

W drzwiach stanął nowy gość. Niewysoki, szczupły mężczyzna o doskonale ostrzyżonych, kasztanowatych włosach, ubrany w lekki, sportowy garnitur.

- Dzień dobry - przywitała go Charity.

- Dzień dobry - odparł i obrzucił hol szybkim, lustrującym spojrzeniem, zanim podszedł do recepcji. - Conby, Richard Conby. Mam rezerwację.

- Tak, panie Conby. Oczekiwaliśmy pana. - Charity przerzucała leżące na biurku papiery, modląc się w duchu, żeby Bob uporał się do wieczora z awarią komputera. - Jak minęła podróż?

- Bez problemów. - Conby wypełnił dokumenty meldunkowe. Jako miejsce zamieszkania poda! Seattle. Charity z rozbawieniem, ale i pewnym podziwem patrzyła na jego starannie wymanikiowane paznokcie. - Mówiono mi, że znajdę tu spokój i ciszę. Szukam miejsca, w którym mógłbym przez dzień czy dwa odpocząć.

- Mam nadzieję, że nasz zajazd spełni pańskie oczekiwania. - Charity sięgnęła do szuflady po klucz. - Albo ja, albo Roman zawieziemy twoją grupę na przystań, Rogerze. Zbierz ich w południe na parkingu.

- Dobrze. - Block pomachał jej ręką i odszedł.

- Z przyjemnością wskażę panu pokój, panie Conby. Gdyby miał pan jakiegokolwiek pytania dotyczące zajazdu czy naszej wyspy, proszę bez skrępowania pytać mnie albo kogokolwiek z personelu. - Charity wyszła z recepcji i poprowadziła go w stronę schodów.

- Na pewno skorzystam - mruknął idący za nią Conby. - Na pewno.

Dokładnie pięć po dwunastej rozległo się pukanie i Conby otworzył drzwi.

- Jesteś punktualny jak zawsze, DeWinter. - Przyjrzał się uważnie pasowi z narzędziami. - Widzę, że ani na moment nie zapominasz o kamuflażu.

- Dupont jest w domku numer trzy. Conby postanowił porzucić sarkastyczny ton.

- Zidentyfikowałeś go ponad wszelką wątpliwość?

- Pomogłem mu nieść bagaże.

- Bardzo dobrze. - Zadowolony Conby wrócił do układania na dębowej toalecie szczotki do ubrań i łyżki do butów o hebanowej rączce. - Przystępujemy do akcji zgodnie z planem, w czwartek rano. Najpierw zdejmujemy Duponta, a potem zajmujemy się Blockiem.

- Co z kierowcą, który próbował przejechać Charity? Pedantyczny jak zawsze Conby wszedł do przyległej łazienki, żeby umyć ręce.

- Zdradzasz nieproporcjonalnie duże zainteresowanie tym drobnym gangsterem.

- Masz jego zeznanie?

- Tak. - Conby rozłożył biały ręcznik z kwiatowym szlakiem. - Przyznał się do spotkania z Blockiem w zeszłym tygodniu i zainkasowania pięciu tysięcy dolarów za... usunięcie panny Ford ze sceny. To bardzo skromna suma za mokrą robotę. - Conby przewiesił ręcznik przez krawędź umywalki i wrócił do pokoju. - Gdyby Block był bardziej przenikliwy, odnosiłby większe sukcesy.

Roman złapał Conby'ego za kołnierzyk i uniósł do góry tak, że niewysoki mężczyzna musiał stanąć na palcach.

- Uważaj, co mówisz - warknął cicho.

- To raczej ty powinieneś uważać na własne zachowanie. - Conby oswobodził się i poprawił koszulę. Od pięciu lat był zwierzchnikiem Romana. Nie przepadał za nim. Oceniał jego metody jako zbyt brutalne, a zachowanie jako zdecydowanie aroganckie. Niestety, musiał przyznać, że Roman osiągał przy tym rewelacyjne rezultaty. - Skoncentruj się na sprawie, agencie DeWinter.

- Sprawa została już rozwiązana, choć zajęło mi to trochę czasu. Może nawet za dużo. Masz wystarczające dowody, żeby oskarżyć Blocka o współudział w usiłowaniu morderstwa, Duponta podałem ci na tacy. Po co dłużej czekać?

- Pozwól sobie przypomnieć, kto nadzoruje to dochodzenie.

- Obaj doskonale wiemy, kto nadzoruje to dochodzenie, ale istnieje zasadnicza różnica pomiędzy siedzeniem za biurkiem a nadstawianiem karku w terenie. Jeśli zdejmujemy ich teraz, po cichu, to zmniejszymy ryzyko, że ucierpią osoby postronne.

- Nie zamierzam narażać na niebezpieczeństwo żadnego z gości hotelowych. Ani nikogo z personelu - dodał Conby, zdając sobie sprawę, że na tym właśnie Romanowi zależy najbardziej. - Mam swoje rozkazy, podobnie jak ty. - Wyjął z szuflady czystą chusteczkę. - Ponieważ to najwyraźniej szczególnie dla ciebie ważne, zdradzę ci, że chcemy zgarnąć Blocka, gdy będzie podawał pieniądze. Współpracujemy w tej sprawie z policją kanadyjską i takie zapadły decyzje. A jeśli chodzi o ewentualny zarzut współudziału w usiłowaniu zabójstwa, to mamy tylko oświadczenie faceta od mokrej roboty, z którym została zawarta umowa. Trzeba czegoś więcej, żeby przygwoździć tego drania.

- Przygwoździsz go. Ilu mamy ludzi?

- Jutro zamelduje się w zajeździe dwoje agentów, dwóch następnych będziemy mieli na terenie zajazdu. Duponta aresztujemy w jego domku, Blocka w holu przy recepcji. Gdyby Dupont zniknął wcześniej. Block bez wątpienia zacząłby się mieć na baczności. Zgadzasz się ze mną?

- Tak.

- Dzięki tobie wiemy, jak się tu wprowadza fałszywe dolary do obiegu, więc wszystko powinno pójść gładko.

- I lepiej, żeby poszło. Nie chciałbym być w twojej skórze, gdyby jej się cokolwiek stało.

Charity wpadła do kuchni z pełną tacą.

- Nie mam pojęcia, dlaczego w tym tygodniu szczyt nastąpił tak wcześnie. Czy pamiętacie, żebyśmy kiedykolwiek już w środę mieli komplet gości? - Odstawiła tacę i zajrzała do bloczka zamówień. - Dwa razy danie firmowe z dzikim ryżem i jedno z

pieczonymi ziemniakami polanymi kwaśną śmietaną, jedna dziecięca porcja żeberek z frytkami - odczytała i zaczęła w pośpiechu szykować zamówione napoje.

- Uspokój się, dziewczyno - poradziła Mae. - Nie ruszą się stąd, dopóki się nie najedzą.

- W tym właśnie problem. - Charity ustawiała jedzenie na tacy. - Akurat teraz Lori się rozchorowała. Widocznie ten wirus wciąż krąży w powietrzu. Dobrze przynajmniej, że druga kelnerka trzyma się jeszcze na nogach. Oj!

- Cofnęła się gwałtownie, żeby nie wpaść na Romana.

- Przepraszam.

- Przydałaby ci się dodatkowa para rąk?

- Nawet dwie pary. - Charity uśmiechnęła się i pocałowała go w przelocie. - Zanieś te sałatki, które Dolores przygotowuje, do piątego stolika.

- Od samego patrzenia na tę dziewczynę czuję się zmęczona - oświadczyła Mae, filetując pstrąga. Podniosła głowę, żeby spojrzeć Romanowi w oczy. - Wydaje mi się, że ona wszystko robi w pośpiechu.

- Cztery sałatki firmowe. - Dolores podała mu tacę, nucąc „Marsza weselnego”. - Chyba jednak poradziłeś sobie bez dynamitu. - Chichocząc, wzięła się za przygotowanie kolejnego zamówienia.

W pięć minut później Roman mijał się z Charity w drzwiach.

- Mamy dziś dziwny zestaw gości - powiedziała.

- Jak to?

- Spójrz na tego mężczyznę z drugiego stolika. Jest tak podniecony, jakby przed chwilą obrabował bank. Para siedząca przy ósmym stoliku udaje, że przyjechała tu na drugi miesiąc miodowy, a tymczasem obserwuje gości na sali, nie poświęcając sobie nawzajem ani jednego spojrzenia.

Roman nie odezwał się ani słowem. Charity nie potrzebowała nawet pół godziny, żeby rozszyfrować zarówno Duponta, jak i dwójkę agentów Conby'ego.

- No i jeszcze ten mężczyzna w trzyczęściowym garniturze, który usiadł przy czwartym stoliku. Wytworny garnitur i krawat. - Zerknęła przez ramię. - Twierdzi, że przyjechał do nas odpocząć. Kto odpoczywa w trzyczęściowym garniturze? - Odwróciła się i oparła tacę na biodrze. - Utrzymuje, że jest z Seattle, a ma tak twardy wschodni akcent, że można by nim pokroić szarlotkę Mae. Przypomina mi łasicę.

- Naprawdę? - Opis Conby'ego wywołał lekki uśmiezek na wargach Romana.

- Bardzo dbającą o swój wygląd łąsicę - dodała Charity. Wzruszyła ramionami i weszła do jadalni.

Ale obowiązek to obowiązek, a łąsica usiadła w jej sektorze.

- Czy jest pan już gotów złożyć zamówienie? - zapyła z olśniewającym uśmiechem.

Conby wypił ostatni łyk wódki z martini.

- Przeczytałem w menu, że podajecie świeżego pstrąga.

- Tak, proszę pana. - To był szczególny powód do dumy Charity. Staw hodowlany był jej pomysłem. - Jest rzeczywiście bardzo świeży.

- Świeży to znaczy, że został złowiony dziś rano, jak sądzę?

- Nie. - Charity opuściła bloczek z zamówieniami, ale nie przestawała się uśmiechać. - Podajemy własne pstrągi, tutaj hodowane.

Conby uniósł brew i popukał palcem w stojącą przed nim pustą szklaneczkę.

- Może więc wasza ryba okaże się lepsza od wódki, choć nadal mam pewne wątpliwości co do jej świeżości. Chyba to najbardziej interesująca propozycja w waszym mdłym menu, więc zdecydowałem się ją zamówić.

- Ryba jest świeża - powtórzyła Charity z niezmaconym, w jej przekonaniu, spokojem.

- Niewątpliwie pani jest o tym szczerze przekonana. Niemniej jednak nasze opinie w tej kwestii mogą być odmienne.

- Tak, proszę pana. - Charity schowała bloczek zamówień do kieszeni. - Muszę pana na chwilę przeprosić.

Może i jest niewinna, pomyślał Conby, krzywiąc się na widok pustej szklaneczki, ale jej praca niewątpliwie pozostawia wiele do życzenia.

- Gdzieś wybuchł pożar? - zapytała Mae, gdy Charity wpadła do kuchni jak burza.

- Ten... ten odrażający kurdupel uważa, że podajemy wódkę gorszą od przeciętnej, menu jest jego zdaniem mdłe, a ryby nieświeże.

- Mdłe menu! Co on jadł?

- Jeszcze nic. Jeden drink, parę krakersów z pastą łososiową i już ma czelność krytykować restaurację!

Charity rozejrzała się po kuchni, próbując się uspokoić. Żaden wielkomięski typek nie będzie kręcił nosem na jej zajazd! Jej bar był równie dobry jak wszystkie na wyspie, restauracja otrzymała najwyższe oceny, a ryby...

- Gość z czwartego stolika prosi o następne martini z wódką - oznajmił Roman, który właśnie wszedł do kuchni, niosąc ciężką tacę.

- Tak? - Charity obróciła się na pięcie. - Naprawdę prosi? Roman jeszcze nigdy dotychczas nie widział takiej miny u Charity.

- Owszem - odparł niepewnie.

- Najpierw dostanie od nas całkiem co innego. - To powiedziawszy, wypadła na dwór kuchennymi drzwiami.

- O rany! - mruknęła pod nosem Dolores.

- Czyżbym o czymś nie wiedział? - zapytał Roman.

- Ten pan wyprowadził ją z równowagi, bo stwierdził, że jedzenie jest mdłe, zanim jeszcze go spróbował. - Mae skrzywiła się i udekorowała półmisek dzikim asparagusem. - Kusi mnie, żeby mu dosypać curry do potraw. Pełną garść! Ciekawe, czy nadal będzie uważał jedzenie za mdłe.

Wszyscy odwrócili się, kiedy Charity znowu wpadła do kuchni. Trzymała w rękach półmisek, na którym trzepotał się żywy pstrąg.

- Ojej! - Dolores zachichotała i zakryła ręką usta. - Ojej!

Uśmiechnięta od ucha do ucha Mae podeszła do piecyka.

- Charity! - Roman próbował złapać ją za rękę, ale zrobiła unik i dopadła drzwi. Potrząsnął głową i ruszył za nią.

Kilkoro gości podniosło głowy i wpatrywało się w osłupieniu na wniesioną do jadalni żywą rybę. Charity przemierzyła pędem salę i podstawiła Conby'emu tacę pod nos.

- Pański pstrąg - oświadczyła i bezceremonialnie postawiła przed nim półmisek. - Czy jest wystarczająco świeży? - zapytała z uprzejmym uśmiechem.

Stojący w drzwiach Roman wsadził ręce do kieszeni i ryknął śmiechem. Oddałby roczną pensję za zdjęcie Conby'ego, kiedy tak patrzyli sobie z pstrągiem w oczy.

Charity wróciła do kuchni i podała Dolores tacę wraz z jej pasażerem.

- Możesz go wypuścić do stawu - powiedziała. - Klient spod czwórki zdecydował się na faszerowane kotlety wieprzowe. - Pisnęła ze śmiechem, kiedy Roman uniósł ją nad ziemię.

- Jesteś rewelacyjna. - Przycisnął wargi do jej ust i nie odrywał ich jeszcze długo potem, kiedy już stopy Charity dotknęły znowu podłogi. - Najwspanialsza na świecie. - Ze śmiechem mocno przytulił ją do siebie. - Prawda, Mae?

- Chwilami byłabym skłonna się z tobą zgodzić. - Mae nie chciała po sobie pokazać, z jaką radością na nich patrzy. - A teraz przestańcie się wreszcie całować w mojej kuchni i wracajcie do roboty.

- Chyba powinnam teraz podać mu to martini. Sądząc po jego minie, bardzo by mu się przydało.



Charity nie należała do osób długo chowających urazę, więc obsługiwała potem Conby'ego z uśmiechem na ustach. Ponieważ jednak nie rozchmurzył się do końca posiłku, podała mu na deser popisowe ciasto Mae: Mroczny Bór.

- Mam nadzieję, że obiad panu smakował, panie Conby.

- Był całkiem niezły, dziękuję. - Nie przeszłoby mu przez usta, że w życiu nie jadł równie pysznego posiłku, nawet w najbardziej eleganckich restauracjach Waszyngtonu.

- Może następnym razem spróbuje pan pstrąga - powiedziała Charity z uśmiechem, nalewając mu kawę.

Nawet Conby nie potrafił się oprzeć urokowi jej uśmiechu.

- Może. Prowadzi pani interesującą firmę, panno Ford.

- Staramy się. Od dawna mieszka pan w Seattle, panie Conby?

- Dlaczego pani pyta?

- Bo ma pan bardzo silny wschodni akcent.

Conby zastanawiał się nad odpowiedzią najwyżej sekundę. Wiedział, że Dupont wyszedł już z jadalni, ale Block siedział przy sąsiednim stoliku i zabawiał kilkoro turystów ze swojej grupy raczej nudnymi, zdaniem Conby'ego, historyjkami.

- Ma pani dobre ucho. Zostałem przeniesiony do Seattle półtora roku temu. Z Maryland. Pracuję w marketingu.

- Z Maryland. - Charity postanowiła zapomnieć i darować mu wszystkie winy. - Podobno macie tam najlepsze kraby w całym kraju.

- Oczywiście, że najlepsze! - Pyszne ciasto i kawa ze śmietanką skruszyły ostatnie lody. - Szkoda, że nie przywiozłem żadnego ze sobą.

Charity roześmiała się i położyła mu rękę na ramieniu.

- Jest pan dowcipny, panie Conby. Życzę miłego wieczoru - dodała i odeszła do kuchni.

Conby odprowadził ją wzrokiem. Nie pamiętał, by ktoś przed nią uznał go za dowcipnego. To mu sprawiło przyjemność.

- Zostało już tylko kilku maruderów przy trzech stolikach - oświadczyła Charity, wchodząc do kuchni. - Umieram z głodu. - Otworzyła lodówkę i zaczęła w niej myszkować w poszukiwaniu czegoś do jedzenia, ale Mae zatrzasnęła jej drzwi przed nosem.

- Nie masz teraz czasu.

- Nie mam czasu? - Charity przycisnęła rękę do żołądka. - Mae. zdążyłam dziś złapać w przelocie tylko jedną frytkę.

- Przygotuję ci kanapkę, ale najpierw musisz zadzwonić. Chodzi o jutrzejszą dostawę.

- Łosoś. A niech to! - Spojrzała na zegarek. - O tej porze już nie pracują.

- Zostawili numer, pod którym można ich złapać po godzinach. Wiadomość jest na górze.

- Dobrze, dobrze. Za dziesięć minut wracam. - Charity obrzuciła długim, tęsknym spojrzeniem lodówkę. - Zrób mi dwie kanapki.

Wyszła na dwór kuchennymi drzwiami i wbiegła na górę po zewnętrznych schodach, żeby zyskać na czasie. Stała w progu swego mieszkania i głos jej odjął ze zdumienia.

Na przystawionym do łóżka, nakrytym śnieżnobiałym obrusem stoliku stały świece i kwiaty. Roman wyjął butelkę wina z wiaderka z lodem i odkorkował.

- Już myślałem, że nigdy nie przyjdiesz. Charity zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami.

- Gdybym wiedziała, co tu na mnie czeka, przyszedłbym znacznie wcześniej.

- Mówiłaś, że lubisz niespodzianki.

- Uwielbiam. - Odwiązała fartuszek i podeszła do stolika, a Roman nalał wina. W świetle świec zaśniło ciepłym, złocistym blaskiem. - Dziękuję - szepnęła, przyjmując z jego rąk kieliszek.

- Chciałem ci coś dać. - Wziął ją za rękę, starając się zapomnieć o tym, że to ich ostatni wspólny wieczór, zanim będzie musiał odpowiedzieć na szereg trudnych pytań. - Nie mam wprawy w romantycznych gestach.

- Wręcz przeciwnie. Piknik z szampanem, teraz wytworna kolacja. - Zamknęła na chwilę oczy. - I Mozart.

- To przypadkowy wybór - przyznał Roman i poczuł się idiotycznie onieśmielony. - Mam coś dla ciebie.

- Coś jeszcze? - Charity wskazała oczyma stół.

- Tak. - Podniósł leżące na krześle kwadratowe pudełeczko. - Właśnie dzisiaj przyszło. - Wcisnął jej pudełeczko do ręki.

- Prezent? - Charity zawsze lubiła przedłużać moment oczekiwania, więc przez chwilę oglądała pudełeczko i potrząsała nim. Potem wieczko odskoczyło i oczom dziewczyny ukazała się bransoletka. - Och, Romanie, jaka cudowna! - Z zachwytem obserwowała błyski światła, załamującego się na złocie i ametystach. - Absolutnie cudowna! Przysięgłabym, że już ją kiedyś widziałam. W zeszłym tygodniu - przypomniała sobie. - W czasopiśmie przyniesionym mi przez Lori.

- Leży nadal na twoim biurku.

- Tak, przerysowałam to zdjęcie. - Oszołomiona Charity kiwnęła głową. - Zawsze tak robię z pięknymi rzeczami, na które nie mogę sobie pozwolić. - Odetchnęła głęboko. - Romanie, zrobiłeś coś cudownego, słodkiego i bardzo romantycznego, ale...

- Postaraj się tego nie zepsuć. - Wyjął bransoletkę z pudełka i zapiał na rękę Charity. - Powinienem nabrać trochę praktyki.

- Nie potrzebujesz praktyki. - Objęła go w pasie i położyła głowę na ramieniu. - Poszło ci znakomicie.

Roman wziął ją w ramiona i rozkoszował się muzyką, zapachem Charity, urokiem chwili. Przy niej wszystko było inne. Nawet on sam zmieniał się nie do poznania.

- Wiesz, kiedy się w tobie zakochałam, Romanie?

- Nie. - Pocałował ją w czubek głowy. - Nie zastanawiałem kiedy, tylko dlaczego.

- To było chyba wtedy, kiedy zatańczyłeś ze mną i pocałowałeś mnie tak, że po prostu rozpląnąłam się z rozkoszy.

- W taki sposób?

Odwrócił głowę i ich wargi się spotkały.

- Tak. - Przyłgnęła do niego i zamknęła oczy. - Właśnie tak. Ale to nic było wtedy. Wówczas uświadomiłam sobie tylko, że cię kocham, ale zakochałam się w tobie wcześniej. Pamiętasz, jak zapytałeś mnie o zapas?

- O jaki zapas?

- O koło zapasowe. - Z westchnieniem odchyliła głowę, żeby Roman mógł całować jej szyję. - Zapytałeś mnie, gdzie mam zapas, bo chciałeś wymienić koło. - Uśmiechnęła się na widok jego osłupiałej miny. - Chyba nie można powiedzieć, że to była miłość od pierwszego wejrzenia, bo znałam cię już od dwóch czy trzech minut. Gładził jej policzki, włosy, szyję.

- Tak po prostu?

- Nie myślałam tak często o miłości i małżeństwie jak inne kobiety. Pewnie z powodu choroby dziadka i pracy w zajeździe. Sądziłam, że jeśli mi to sądzone, to stanie się pewnego dnia, bez zabiegów z mojej strony. Miałam rację. Musiałam tylko przebić oponę. Reszta poszła gładko.

Roman pomyślał, że opona została celowo przebita, a jej pomocnik nie przypadkiem wygrał na loterii wycieczkę na Hawaje. Wszystko zostało starannie zaaranżowane przez FBI. Tylko jego miłość do Charity nie była zaplanowana.

- Charity... - Roman oddałby wszystko, żeby móc jej teraz wyznać prawdę, ale niewiedza stanowiła gwarancję jej bezpieczeństwa. - Nigdy nie sądziłem, że spotka mnie coś

podobnego - powiedział, starannie dobierając słowa. - Nie chciałem obdarzyć nikogo takim uczuciem.

- Żałujesz?

- Żałuję bardzo wielu rzeczy, ale nie tego, że się w tobie zakochałem. - Puścił Charity.

- Kolacja stygnie.

- Gdybyśmy znaleźli sobie zajęcie na najbliższe dwie godziny, to ten wytworny posiłek mógłby się zmienić w romantyczną kolację o północy. - Dłonie Charity przesunęły się po jego piersi w górę, aż do szyi. Zaczęła bawić się guzikiem koszuli Romana. - Może masz ochotę zagrać w chińczyka?

- Nie.

Rozpięła górny guzik i powoli przesuwała dłonie niżej i niżej.

- A w scrabble?

- Nie.

- Wiem. - Przesunęła palcem przez środek torsu Romana aż do zapięcia dżinsów. - Co byś powiedział na pasjonującą rozgrywkę w canastę?

- Nie umiem w to grać.

Z szerokim uśmiechem rozpięła guzik przy pasku spodni.

- Mam wrażenie, że zaczynasz się domyślać. - Jej śmiech zamarł pod naciskiem ust Romana.

Przylgnęła do niego i razem osunęli się na łóżko. Roman miał się zmienić tej nocy w kochanka niezmordowanego i wymagającego, choć do tej pory dał jej się poznać jako kochanek delikatny i cierpliwy. Tak samo rozpalona jak on, zdarła mu z ramion koszulę, rozkoszując się dotykiem nagiej skóry.

Wyrwał mu się z gardła urywany pomruk, gdy dłonie Charity doprowadziły go na skraj szaleństwa. Unieruchomił jej ręce nad głową. Ciężko dysząc i nie odrywając wzroku od twarzy Charity, rozerwał jej bluzkę jednym szarpnięciem.

Niecierpliwie zsunął z bioder Charity spodnie, rozkoszując się smakiem każdego centymetra odsłanianej skóry. Ta nowa, nieznana wcześniej pieszczota sprawiła, że Charity łamiącym się głosem wyszeptała jego imię i zadrżała, gdy po pierwszym spełnieniu przyszło zaraz następne.

Nieświadomie wbijała paznokcie w ciało Romana, bo spocone dłonie ślizgały się po wilgotnej skórze. W głowie miała pustkę, wszelkie myśli ustąpiły zmysłowemu doznaniu. Wydawało jej się, że Roman mówił coś do niej, ale nie rozumiała, oszołomiona

namiętnością. Może to były obietnice, prośby czy zaklęcia. Odpowiedziałyby na wszystkie, gdyby tylko mogła.

Potem nakrył wargami jej usta, jakby chciał wchłonąć w siebie jej krzyk spełnienia i wszedł w nią.

Natychmiast odnaleźli wspólny rytm. Spleceni ze sobą razem przekroczyli granicę rozkoszy. Nawet kiedy wrócili wreszcie do rzeczywistości, nie przestawali się obejmować.

## ROZDZIAŁ 11

Z na wpół zamkniętymi oczami i lekkim uśmiechem na ustach Charity westchnęła przeciągle.

- To było wspaniałe.

Roman dolał wina do jej kieliszka.

- Mówisz o kolacji czy o tym, co ją poprzedziło?

- O wszystkim - odparła z uśmiechem. Dotknęła jego ręki, zanim odstawił butelkę. Właściwie musnęła tylko palcem jego skórę, a mimo to puls Romana przyśpieszył. - Myślę, że kolacje o północy powinny wejść na stałe do naszych obyczajów. Wiesz, na co mam ochotę?

- Na dokładkę ciasta Mroczny Bór?

- Oprócz tego. - Ponad ich złączonymi dłońmi spojrzała na Romana roześmianymi oczyma. - Chciałabym przez całą noc kochać się z tobą, rozmawiać, pić wino i słuchać muzyki. To znacznie przyjemniejsze, niż mogłam sobie wymarzyć.

- Co z tego chciałabyś robić najpierw?

- Porozmawiać.

- Już ci powiedziałem, że mogę włożyć garnitur, ale nie smoking.

- Chodzi mi o coś innego. Chociaż muszę przyznać, że w smokingu wyglądałbyś wspaniale, to jednak garnitur wydaje się bardziej stosowny na cichy ślub w ogrodzie. Chciałam natomiast uzgodnić z tobą, co będzie po ślubie.

- To, co będzie po ślubie, nie podlega negocjacji. Zamierzam kochać się z tobą przez co najmniej dwadzieścia cztery godziny.

- Sądzę, że byłabym w stanie zaakceptować tę propozycję. Chciałabym przedyskutować z tobą nieco bardziej odległe plany. Chodzi mi o to, co Block wczoraj powiedział.

- Block? - Roman poczuł niepokój.

- To była taka luźna, rzucona mimochodem uwaga, niemniej dała mi do myślenia. Wspomniał mi, że zamierzamy się pobrać, na co on wyraził nadzieję, że nie zabierzesz mnie stąd. Dopiero w tym momencie dotarło do mnie, że może nie będziesz chciał zamieszkać na stałe tu, na Orcas.

- Tylko o to chodzi?

- To nie jest drobiazg. Możesz nie być zachwycony perspektywą zamieszkania w miejscu, do którego ciągle ktoś przyjeżdża i odjeżdża, gdzie ciągle ktoś się kręci i... Chciałabym zapytać, jak się zapatrujesz na zamieszkanie na wyspie.

- A co ty o tym myślisz?

- Teraz liczy się to, co my o tym sądzimy.

- Od dawna nie czułem się nigdzie jak w domu. Tutaj, przy tobie, tak właśnie się czuję.

- Jesteś zmęczony? - zapytała z uśmiechem.

- Nie.

- To dobrze. - Wstała i zakorkowała wino. - Wezmę tylko kluczyki.

- Jakie kluczyki?

- Do furgonetki.

- Wyjeżdżamy?

- Znam najlepsze miejsce na wyspie do oglądania wschodu słońca.

- Masz na sobie tylko szlafrok.

- Jasne. Jest druga nad ranem. Nie zapomnij zabrać wina. - Roześmiała się i po cichu wyszła na schody. - Postarajmy się nikogo nie obudzić. - Skrzywiła się, gdy na podjeździe bose stopy postawiła na wysypanej żwirem alejce.

Roman wziął ją na ręce.

- Mój bohater - szepnęła mu do ucha. Posadził ją w furgonetce na miejscu kierowcy.

- Dokąd się wybieramy, kochanie?

- Na plażę. - Charity uruchomiła silnik. Z głośników ryknęła na pełny regulator muzyka symfoniczna. Charity natychmiast zgasiła odtwarzacz i z poczuciem winy zerknęła na budynek zajazdu. - Tak głośno nastawiam muzykę, kiedy jadę sama. - W zajeździe nie zapaliło się światło. Wszędzie było ciemno i cicho. Powoli wyjechała na szosę. - Jaka piękna noc. Nie starczało mi czasu na wielkie wyprawy, więc zadowalałam się małymi, kiedy tylko nadarzyła się okazja.

- I to jest właśnie jedna z takich wypraw?

- Oczywiście. Będziemy pić wino na plaży, kochać się pod rozgwieżdżonym niebem i patrzeć, jak słońce wynurza się z morza. - Odwróciła głowę do Romana. - Czy to ci odpowiada?

- Chyba mogę ten plan zaakceptować.

Kilka godzin później przytuliła się do niego na kocu. Butelka wina była już pusta, a gwiazdy gasły na niebie.

- Chyba nie będzie dziś ze mnie pożytku. - Uśmiechnęła się sennie i otarła o Romana.  
- I nic mnie to nie obchodzi.

Naciągnął na nią koc. Poranki nadal były bardzo rześkie. Nieoczekiwanie wypełniona miłością noc obudziła w nim nadzieję. Gdyby udało się skłonić Charity, żeby pospała do południa, mógłby zakończyć sprawę, zamknąć ją ostatecznie i dopiero potem wszystko jej wyjaśnić. Dzięki temu zdołaliby uchronić ją przed niebezpieczeństwem i zacząć wszystko od początku.

- Już prawie świta - mruknęła.

W milczeniu oglądali narodziny dnia. Niebo pojaśniało. Zamilkły nocne ptaki. Na chwilę czas stanął w miejscu. A potem powoli, z istic królewskim majestatem, horyzont zaczął nasycać się barwami, odbijającymi się w tafli wody. Ciemności ustąpiły, a wierzchołki drzew stały skąpane w złotym blasku. Pierwszy dzienny ptak obwieścił nadejście poranka.

Roman przyciągnął do siebie Charity i kochał się z nią niespiesznie pod coraz jaśniejszym niebem.

W drodze powrotnej drzemała. Niebo było już olśniewająco błękitne, ale w zajeździe panowała cisza. Kiedy Roman wyniósł Charity z samochodu, westchnęła i położyła mu głowę na ramieniu.

- Kocham cię.

- Wiem. - Po raz pierwszy w życiu gotów był myśleć o tym, co będzie jutro, za miesiąc, za rok. Byle nie o tym, co go czekało w najbliższych godzinach. Wniósł ją po schodach do środka. - Kocham cię, Charity.

Bez trudu przekonał ją, że powinna się położyć. Wystarczyło obiecać, że wyprowadzi Ludwiga na codzienny spacer.

Najpierw zszedł do swojego pokoju, zapiął kaburę na szelkach i włożył do niej pistolet.

Aresztowanie Duponta przebiegło jak na policyjnym filmie instruktażowym. Za piętnaście ósma stojący na uboczu domek bandyty został otoczony przez najlepszych ludzi szeryfa Royce'a i FBI. Roman nie przejął się marudzeniem Conby'ego, że niepotrzebnie włączył do akcji miejscową policję, i poradził zwierzchnikowi, żeby trzymał się na uboczu.

Kiedy wszyscy ludzie zajęli swoje pozycje, Roman podszedł do drzwi domku. Oparł się ramieniem o framugę i wyciągnął pistolet. Zapukał dwa razy. Nie doczekał się odpowiedzi, więc dał policjantom znak, żeby zbliżyli się do domku z bronią gotową do strzału. Zdjętym z kółka Charity kluczem otworzył drzwi.



Wszedł, trzymając broń oburącz i rozejrzał się szybko dokoła - Poczłł znajomy, miły przyptłłw adrenaliny. Lekkim ruchem głłwy dał sygnał tym, którzy stali za nim. Ostrożnie wszedł do sypialni. Uśmiechnął się. Dupont był pod prysznicem i śpiewał.

Śpiew urwał się gwałtownie, kiedy Roman odchylił zasłoneę.

- Możesz sobie darować podnoszenie rąk do góry - powiedział Roman do zaskoczonego mężczyzny. Trzymając go ciągle na muszce, rzucił mu ręcznik. - Jesteś aresztowany, chłopie. Wytrzymaj się, a ja ci odczytam twoje prawa.

- Dobra robota - stwierdził Conby, kiedy aresztant miał już kajdanki na rękach. - Jeśli reszta pójdzie równie gładko, postaram się, żeby wpisano ci pochwałę do akt.

- Daruj sobie. - Roman schował broń do kabury. Jeszcze tylko jedna przeszkoda do pokonania i wreszcie będzie mógł zamknąć za sobą przeszłość i rozpocząć nowy etap życia. - Kiedy to się skończy, odchodzę.

- Od dziesięciu lat pracujesz w wymiarze sprawiedliwości, DeWinter. Nie możesz teraz odejść.

- Przekonasz się. - Roman ruszył z powrotem do zajazdu, żeby dokończyć to, co zaczął.

Charity obudziła się późnym rankiem. Była sama. Kiedy usiadła, jej głłwa, nie nawykła do nadmiaru wina i braku snu, zaprotestowała silnym bólem. Charity wygramoliła się z łóżka z przekonaniem, że to wyłącznie jej własna wina. Trafiła nogami na strzępy tkaniny, która jeszcze wczoraj była jej koszulką nocną. Warto było, pomyślała, podnosząc z podłogi sponiewieraną bawełnę. Zdecydowanie warto. Przeżyła wspaniałą, niesamowitą i wyjątkową noc, ale wstał już dzień, a na nią czekało mnóstwo obowiązków. Połknęła aspirynę i powlokła się pod prysznic.

Roman znalazł Boba w biurze. Zaszył się w kącie i popijał wzmocnioną kawę. Bez słowa zabrał mu kubek i wylał jego zawartość do kosza na śmieci.

- Potrzebowałem czegoś na uspokojenie.

Roman stwierdził, że Bob uspokoił się aż za bardzo. Bełkotał i miał maślane oczy. Nawet w znacznie bardziej sprzyjających okolicznościach Roman nie potrafił wykrzesać z siebie współczucia dla pijaków.

Poderwał Boba z krzesła za koszulę.

- Weź się w garść, i to szybko. Zaraz będzie tu Block, musisz wymeldować uczestników wycieczki. Jeśli go uprzedzisz, jeśli dasz mu cynk choćby mrugnięciem oka, to rozerwę cię na strzępy.

- Charity zawsze sama wymeldowuje gości - przypomniał Bob, szcękając zębami ze strachu.

- Nie dzisiaj. Dziś ty wyjdiesz do recepcji i załatwisz formalności. Będę stał tutaj, nie spuszczając cię z oka ani na chwilę.

Odsunął się szybko od Boba, bo drzwi biura zostały gwałtownie otwarte.

- Przepraszam za spóźnienie. - Pomimo opuchniętych ze zmęczenia oczu Charity rozpromieniła się na widok Romana.

- Za krótko spałaś.

- Ty mi to mówisz?! - Uśmiech Charity zniknął, kiedy spojrzała na Boba. - Co się stało?

- Właśnie mówiłem Romanowi, że nie czuję się zbyt dobrze.

- Rzeczywiście źle wyglądasz. - Zmartwiona Charity podeszła do Boba i położyła mu rękę na czole. Było mokre od potu, co jeszcze zwiększyło jej niepokój. - Pewnie złapałeś wirusa.

- Też się tego obawiam.

- Nie powinieneś w ogóle przychodzić dziś do pracy. Może Roman odwiózłby cię do domu?

- Nie, dam sobie radę. - Na trzęsących się nogach podszedł do drzwi. - Przepraszam cię, Charity. - W drzwiach odwrócił się, żeby rzucić jej ostatnie spojrzenie. - Naprawdę mi przykro.

- Nie wygłupiaj się. Dbaj o siebie.

- Pomogę mu - mruknął Roman i wyszedł za Bobem. Weszli do holu w tym samym momencie, kiedy wpadł tam Block.

- Dzień dobry! - zawołał jowialnie jak zwykle, ale popatrzył na nich czujnie. - Jakiś problem?

- Wirus - wykrztusił Bob, którego twarz nabrała zielonkawej barwy. Strach uwiarygodnił jego słowa. - Kompletnie mnie dziś rozłożył.

- Zadzwoiłam do doktora Mertensa - oznajmiła Charity, która w tym momencie wyszła z biura i zajęła miejsce w recepcji. - Jedź prosto do domu. Bob. Lekarz będzie już na ciebie czekał.

- Dziękuję. - Bob zdawał sobie sprawę, że nieprędko zobaczy dom, bo jeden z agentów już się szykował, by ruszyć za nim.

- Ten wirus sieje u nas prawdziwe spustoszenie. - Charity rzuciła Blockowi przepraszający uśmiech. - Najpierw pokojówka, potem kelnerka, a teraz Bob. Mam nadzieję, że nikt z twojej wycieczki nie skarżył się na nieodpowiednią obsługę.

- Absolutnie nikt - oświadczył uspokojony Block i położył teczkę na kontuarze. - Naprawdę przyjemnie prowadzić z tobą interesy.

Roman przyglądał się bezradnie, jak sobie mile gawędzą, rutynowo sprawdzając listy i liczby. A przecież Charity miała bezpiecznie spać w swojej sypialni na górze i śnić o wspólnie spędzonej nocy. Zdenerwowany Roman zacisnął pięści. Nie mógł już nic na to poradzić, że Charity znalazła się w samym centrum wydarzeń.

Usłyszał jej głośny śmiech, kiedy Block przypomniał, jak poprzedniego dnia wniosła do jadalni żywą rybę. Nagle wyobraził sobie jej minę, gdy agenci przystąpią do akcji i na jej oczach aresztują człowieka, którego uważała za przewodnika wycieczek i dobrego znajomego.

Charity odczytała ogólną sumę. Roman wziął się w garść.

- Rachunek nie zgadza się o... dwadzieścia dwa dolary i pięćdziesiąt centów. - Block zaczął ponownie wystukiwać cyfry na kalkulatorze. Charity ze zmarszczonym czołem przeglądała jeszcze raz wszystkie rachunki, pozycja po pozycji.

- Dzień dobry, moja droga.

- Co? - Charity podniosła wzrok znad rachunków. - A. dzień dobry, panno Millie.

- Idę na górę, żeby się spakować. Chciałam tylko powiedzieć, że wspaniale spędziłam czas.

- Zawsze nam przykro, kiedy panie wyjeżdżają. Cieszymy się, że przedłużyły panie pobyt w naszym zajeździe o kilka dni.

Panna Millie spojrzała na Romana krótkowzrocznymi oczami i ruszyła w stronę schodów. Na szczycie schodów czekał już policjant, który miał pilnować, by ona czy inny gość hotelowy nie naraził się na niebezpieczeństwo.

- Znów wyszło mi to samo, Rogerze. - Zaskoczona Charity popukała końcem ołówka w kolumnę rachunków. - Szkoda, że nie mogę dać tego na komputer, ale... - Zamilkła i nawet zapomniała na moment o bólu głowy. - To może być to! Masz na swojej liście butelkę wina zamówioną przez Wentworthów z domku numer jeden? To było przedostatniej nocy.

- Wentworth, Wentworth... - Block przeglądał listę irytująco wolno. - Nie mam nic takiego.

- Zaraz poszukam rachunku. - Charity otworzyła szufladę i sprawnie przeglądała dokumenty. Roman czuł, jak kropla potu spływa powoli po jego szyi. Jeden z agentów zbliżył się, udając, że chce obejrzyć pocztówki.

- Mam tu obie kopie! - zawołała i potrząsnęła głową z dezaprobatą. - Ten wirus naprawdę dezorganizuje nam pracę. - Wyjęła jeden z rachunków i podała Blockowi jego kopię.

- Nic się nie stało. - Pogodny jak zawsze przewodnik wprowadził nowy rachunek i jeszcze raz podliczył wydatki. - Teraz się zgadza.

Z łatwością wynikającą z praktyki Charity przeliczyła rachunek na walutę kanadyjską.

- Dwa tysiące trzysta trzydzieści dolarów. - Odwróciła kartkę z wyliczeniem, żeby Block rzucił na nią okiem.

Głośno odskoczył zamek jego aktówki. Odliczył żadaną sumę w banknotach dwudziestodolarowych. W chwili gdy Charity przybiła na rachunku stempel: ZAPŁACONY, Roman przystąpił do akcji.

- Ręce do góry. Powoli. - Przystawił lufę do pleców Blocka.

- Roman! - wykrzyknęła Charity. - Co ty wyprawiasz, na litość boską?!

- Wstań zza biurka - rozkazał - i wyjdź z budynku.

- Oszalałeś?! Romanie, do licha...

- Zrób to!

- Czy to napad? - Block nerwowo oblizwał wargi, trzymając ręce uniesione do góry.

- Jeszcze się nie domyśliłeś? - Wolną rękę Roman wyjął odznakę. Rzucił ją na biurko i sięgnął po kajdanki. - Jesteś aresztowany.

- Pod jakim zarzutem?

- Planowanie zabójstwa, fałszerstwo pieniędzy i szmuglowanie przestępców przez granicę. To na początek. - Opuścił jedną rękę Blocka na dół i zatrzasnął na niej kajdanki.

- Jak mogłeś? - zapytała Charity ledwo dosłyszalnym głosem. Trzymała w ręku jego odznakę.

- Ależ ze mnie idiotka! - zawołała panna Millie, wpadając do holu tanecznym krokiem. - Byłam już prawie na górze, kiedy przypomniałam sobie, że zostawiłam...

Jak na mężczyznę swojej postury Block potrafił poruszać się błyskawicznie. Przyciągnął pannę Millie do siebie i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, przyłożył jej nóż do gardła. Kajdanki wisiały na jednym tylko nadgarstku Blocka.

- Wystarczy jeden ruch ręki - powiedział, patrząc Romanowi prosto w oczy. Pistolet wycelowany był teraz w sam środek czoła Blocka. - Zastanów się. - Omiótł spojrzeniem hol,

w którym zaroilo się od uzbrojonych policjantów. - Puderznię tej staruszce gardło. Nie ruszaj się - ostrzegł Charity. Przesunął się, żeby zagrozić jej drogę.

Panna Millie wisiała na ramieniu Blocka, patrzyła szeroko otwartymi, przerażonymi oczami i cicho zawodziła.

- Nie rób jej krzywdy! - Charity zrobiła krok do przodu, ale zatrzymała się, bo Block mocniej przycisnął do siebie starszą panią. - Proszę, nie krzywdź jej! - To musi być zły sen, powtarzała sobie w myślach. - Niech mi ktoś powie, co się tutaj dzieje.

- Dom jest otoczony. - Roman nie odrywał wzroku od Blocka, nie przestał też w niego celować. Na próżno czekał, by któryś z jego ludzi wyłonił się zza pleców bandyty.

- Jeśli zrobisz jej krzywdę, nic poprawisz swojej sytuacji.

- Ty swojej też nie. Pomyśl o tym. Chcesz mieć na koncie zamordowaną babcię?

- A czy ty chcesz mieć na koncie jeszcze i morderstwo. Block? - zapytał Roman.

- Wszystko mi jedno. A teraz wynocha. Wszyscy! - Block podniósł głos, omiatając wzrokiem hol. - Rzućcie broń. Zostawcie ją i wyjdźcie na dwór, zanim zacznę ją kroić na plasterki. Już! - Lekko przesunął ostrzem noża po chudej szyi panny Millie.

- Proszę! - Charity znowu zrobiła krok do przodu.

- Puść ją. Ja ją zastąpię.

- Do Ucha, Charity, cofnij się!

Nie zaszczyciła Romana spojrzeniem.

- Proszę, Rogerze - powtórzyła, robiąc jeszcze jeden krok w jego stronę. - Ona jest stara i wątła. Jeszcze dostanie ataku serca. - Zrozpaczona Charity stanęła pomiędzy Blockiem a pistoletem Romana. - Ze mną nie będziesz miał żadnych problemów.

Block w jednej chwili podjął decyzję. Złapał Charity i przytknął jej do gardła czubek noża. Panna Millie osunęła się na podłogę.

- Rzuć broń. - Dostrzegł strach w oczach Romana i uśmiechnął się. Najwyraźniej zamiana zakładniczki okazała się dobrym posunięciem. - Za dwie sekundy będzie za późno. Nie mam nic do stracenia.

Roman podniósł ręce do góry i wypuścił broń.

- Porozmawiajmy.

- Ja zdecyduję, kiedy będziemy rozmawiać. - Block przesunął nóż w taki sposób, by całą długością ostrza dotykał szyi Charity. - Teraz wszyscy na zewnątrz. Jeśli ktoś spróbuje wejść do domu, będzie po niej.

- Na dwór. - Roman gestem wskazał drzwi. - Trzymaj ich na zewnątrz, Conby. Wszystkich. Tu leży moja broń - zwrócił się do Blocka. - Jestem czysty. - Powoli rozchylił

marynarkę, żeby pokazać mu pustą kaburę. - Może mógłbym tu zostać? Miałbyś dwoje zakładników zamiast jednego. Agent federalny byłby dla ciebie niezłą kartą przetargową.

- Tylko kobieta. Opuść sobie, DeWinter, bo poderżnę jej gardło, zanim zdążysz choćby pomyśleć o zbliżeniu się do mnie. Wynocha!

- Na litość boską, Romanie, zabierz ją stąd. Ona potrzebuje pomocy lekarskiej. - Charity głośno wciągnęła powietrze, kiedy czubek noża ukłuł jej skórę.

- Nie rób tego. - Roman znowu podniósł ręce, pokazując Blockowi puste dłonie i podszedł do postaci leżącej na podłodze przy recepcji. Unikając gwałtownych ruchów, wziął na ręce szlochającą kobietę. - Jeśli zrobisz jej krzywdę, nie pożyjesz nawet tak długo, by tego pożałować.

Z tą groźbą wyszedł z zajazdu, zostawiając Charity samą.

- Trzymać się z daleka! - zawołał, przekazał pannę Millie w czyjeś wyciągnięte ramiona i szybko zbiegł z ganku. Za wszelką cenę starał się zachować przytomność umysłu. - Nie zbliżać się do drzwi ani do okien. Dajcie mi broń. - Zanim któryś z policjantów zdążył zareagować, wyjął pistolet z ręki jednego z podwładnych Royce'a.

- DeWinter... - zaczął Conby.

- Cofnij się.

Schował broń do kabury i obrócił się na pięcie.

- Zablokujcie drogi we wszystkich kierunkach w odległości półtora kilometra. Wolno przepuszczać tylko funkcjonariuszy. Otoczcie zajazd pierścieniem w odległości stu pięćdziesięciu metrów od budynku. Niedługo wróci mu zdolność myślenia - wycodził powoli - a wtedy zrozumie, że jest otoczony.

Zdarzało mu się już mieć do czynienia z desperatem, który wziął zakładnika. Wiedział, jak należy się zachować. Tyle że teraz zakładniczką była Charity, a to zwiększało ryzyko.

- Chcę z nim porozmawiać.

- Agencie DeWinter, mam poważne wątpliwości, czy nadaje się pan na dowódcę tej operacji.

- Spróbuj mi tylko stanąć na drodze, Conby, a powieszę cię na twoim własnym jedwabnym krawacie. Dlaczego, do cholery, za plecami Blocka nie było naszych ludzi?

- Uznałem, że lepiej zostawić ich na zewnątrz, na wypadek gdyby podjął próbę ucieczki.

- Kiedy ją stamtąd wyprowadzę - powiedział złowieszczo spokojnym głosem - rozprawię się z tobą. Potrzebne mi środki łączności - zwrócił się do Royce'a. - Może pan to załatwić?

- Proszę mi dać dwadzieścia minut.

Roman kiwnął głową i znów wbił wzrok w budynek zajazdu. Systematycznie rozpatrywał i odrzucał kolejne pomysły dostania się do środka.

Charity doznała ulgi, gdy ostrze noża przestało dotykać jej szyi. Wycelowany w nią pistolet wydawał jej się z jakichś względów mniej groźny.

- Roger...

- Zamknij się i daj mi pomyśleć. - Otarł spocone czoło. Wszystko wydarzyło się zbyt szybko. Do tej chwili działał pod wpływem instynktu. Jak przewidywał Roman, właśnie wracała mu zdolność myślenia. - Osaczyli mnie, znalazłem się w pułapce. Cholerna wyspa! Nie da się stąd nawiać samochodem.

- Myślę, że gdybyśmy...

- Zamknij się! - wrzasnął i wycelowwał broń w Charity. - Ja tu jestem od myślenia. Ten tchórzliwy gówniarz miał rację - rzekł Block do siebie, mając na myśli Boba. - Rozszyfrował DeWintera już kilka dni temu. A ty?

- Nie wiedziałam! Nadal nic nie rozumiem. - Wydała zdławiony okrzyk, kiedy Block przyparł ją do ściany. Po raz pierwszy w życiu zobaczyła w oczach człowieka żądę mordu. - Pomyśl, Rogerze. Jeśli mnie zabijesz, nie będziesz miał żadnego atutu w ręku. Jestem ci potrzebna.

- Tak. - Rozluźnił uchwyt. - Dotychczas byłaś użyteczna. Musisz nadal być użyteczna. Ile jest wejść do budynku?

- Ja... właściwie nie wiem. - Wstrzymała oddech, kiedy mocno szarpnęła ją za włosy.

- Przecież znasz nawet liczbę gwoździ.

- Jest pięć wejść, nie licząc okien. W holu, w salonie, zewnętrzne schody prowadzące do mojego mieszkania i do apartamentu rodzinnego we wschodnim skrzydle, no i kuchenne wyjście.

- Tak lepiej. Zajmiemy kuchnię. Tam będę miał wodę i jedzenie na wypadek, gdyby potrwało to nieco dłużej.

- Nie puszczając włosów Charity, przyłożył lufę pistoletu do jej karku.

Roman chodził niezmordowanie wzdłuż rzędu samochodów policyjnych, nie odrywając wzroku od budynku. Powtarzał sobie, że Charity jest bystrą dziewczyną Bystrą i rozsądną. Nie wpadnie w panikę. Nie zrobi głupstwa.

Boże, jakaż ona musi być przerażona!

- Gdzie ten cholerny telefon?

- Prawie gotowy. - Royce, który przyglądał się pracy łącznościowca, zakładającego tymczasową linię, zsunął kapelusz z czoła i wyprostował się. - To mój siostrzeniec - wyjaśnił Romanowi z lekkim uśmiechem - Chłopak zna się na swojej robocie.

- Ma pan liczną rodzinę.

- Sam się gubię. Słyszałem pogłoski, że zamierzacie się pobrać z Charity. To element kamuflażu?

- Nie. - Roman wrócił pamięcią do pikniku na plaży. - Nie.

- W takim razie przyjmij moją radę. Mylisz się - powiedział pospiesznie, zanim Roman zdążył się odezwać.

- Powinieneś się uspokoić, zanim podniesiesz słuchawkę telefonu. Schwytane w pułapkę zwierzę reaguje na dwa sposoby. Albo się poddaje, albo rzuca się na wszystko, co znajduje się w jego zasięgu. - Royce wskazał ruchem głowy budynek. - Block nie wygląda na takiego, który poddaje się bez walki. A Charity z całą pewnością znajduje w jego zasięgu.

Linia gotowa, synu?

- Tak, wujku. Można dzwonić.

- Nie znam numeru. Nie znam przecież tego cholernego numeru.

- Ja znam.

Roman odwrócił się i stanął twarzą w twarz z Mae.

- Royce, miałeś oczyścić teren.

- Chyba łatwiej usunąć czołg niż Maeflower.

- Nie ruszę się stąd, dopóki nie zobaczę Charity. - Mae zacisnęła drżące wargi. - Będzie mnie potrzebowała, kiedy stamtąd wyjdzie. Szkoda czasu na dyskusje - dodała.

- Chcesz ten numer?

- Tak.

Podyktowała mu. Roman odrzucił na bok papierosa i wystukał numer.

Charity drgnęła, kiedy rozległ się dzwonek. Siedzący po przeciwnej stronie stołu Block wpatrywał się w aparat. Kazał jej zgromadzić wszystko, co nadawało się do zabarykadowania dwóch par drzwi. Dodatkowe krzesła, dziesięciokilogramowe pojemniki mąki i cukru, okrągły klocek rzeźniczy, żelazne rondle - to wszystko zostało ułożone w stosy blokujące obydwa wejścia.

- Zostań tu - polecił Block i przeszedł na drugi koniec kuchni, żeby podnieść słuchawkę. - Tak?



- Mówi DeWinter. Pomyślałem, że może dojrzałeś już do rozmowy o układzie.

- O jakim układzie?

- O tym właśnie powinniśmy pogadać. Najpierw chcę się upewnić, czy nadal masz Charity.

- A widziałeś, żeby wychodziła? Doskonale wiesz, że jest ze mną.

- Muszę mieć pewność, że żyje. Daj mi ją do telefonu.

- Idź do diabła.

Romanowi cisnęły się na usta pogrożki, przekleństwa, wyzwiska i oskarżenia. Kiedy jednak się odezwał, w jego głosie nie było śladu emocji.

- Procedury policyjne wymagają, żebym zweryfikował fakt zatrzymania przez ciebie zakładniczki. Block. Inaczej możesz zapomnieć o układzie.

- Chcesz z nią mówić? - Block machnął ręką z pistoletem - Chodź tu - rozkazał. - Pospiesz się. To twój chłopak - poinformował Charity, kiedy stanęła obok niego. - Chce wiedzieć, jak sobie radzisz. Powiedz mu, że wszystko w porządku. - Przesunął lufę pistoletu wzdłuż jej policzka i zatrzymał na skroni. - Rozumiesz?

Kiwnęła głową i pochyliła się nad telefonem.

- Roman?

- Czy nie zrobił ci krzywdy?

- Nie. - Zamknęła oczy i starała się powstrzymać łkanie. - Nie, nic mi nie jest. On pozwoli mi nawet przygotować coś do jedzenia.

- Słyszałeś, DeWinter? Nic jej nie jest. - Block z rozmysłem wykręcił rękę Charity, żeby zmusić ją do krzyku. - Ale to się może w każdej chwili zmienić.

Roman bezsilnie zaciskał w ręku słuchawkę i wsłuchiwał się w łkania Charity. Z największym wysiłkiem zachował spokój.

- Nie musisz jej krzywdzić. Przecież powiedziałem ci, że możemy podyskutować o warunkach.

- Porozmawiamy o warunkach, czemu nie. O moich warunkach. - Block puścił ramię Charity, która zatoczyła się na Ścianę. - Dostarczysz mi samochód. Żądam swobodnego przejazdu na lotnisko. DeWinter. Charity poprowadzi. Na pasie startowym ma czekać gotów do drogi, zatankowany samolot. Dziewczyna poleci ze mną, więc żadnych sztuczek. Kiedy znajdzie się tam, gdzie chcę, puszcze ją wolno.

- Jak duży ma być ten samolot?

- Nie próbuj przeciągać rozmowy.

- Czekaj! To naprawdę ważne. Na wyspie jest małe lotnisko. Zresztą sam wiesz. Jeżeli planujesz dłuższy lot...

- Po prostu podstaw mi samolot.

- Dobrze. - Roman nie słyszał już łkania Charity, ale cisza wydawała mu się równie groźna jak poprzedni szloch. - Muszę załatwić to przez Waszyngton. Takie są procedury.

- Do diabła z twoimi procedurami!

- Słuchaj, nie mam takiej władzy, żeby od ręki spełnić wszystkie twoje żądania. Muszę wystąpić do swoich zwierzchników o zgodę. Potem trzeba jeszcze oczyścić lotnisko i znaleźć pilota. Daj mi trochę czasu.

- Nie przeciągaj struny, DeWinter. Masz godzinę.

- Muszę skontaktować się z Waszyngtonem. Znasz przecież naszą biurokrację. To może zabrać trzy, może nawet cztery godziny.

- Do diabła z tym wszystkim! Daję ci dwie godziny. Potem zacznę przysyłać ci ją w kawałkach.

Charity zamknęła oczy, oparła głowę na złożonych ramionach i rozplakała się.

## ROZDZIAŁ 12

Mamy dwie godziny - powiedział Roman, studiując uważnie dostarczony mu przez Royce'a plan budynku.

- Block nie jest tak sprytny, jak sądziłem, albo wpadł w panikę i nie potrafi trzeźwo myśleć.

- To może działać na naszą korzyść - stwierdził Royce - ale równie dobrze na naszą niekorzyść.

Dwie godziny. Roman wpatrywał się w zamknięty na głucho zajazd. Nie mógł znieść myśli, że Charity będzie tak długo zdana na łaskę bandyty.

- Zażądał samochodu, wolnej drogi na lotnisko i samolotu - zwrócił się do Conby'ego.

- Chcę, żeby był święcie przekonany, iż jego warunki zostaną spełnione.

- Znam zasady postępowania w wypadku wzięcia zakładnika, DeWinter.

- Który z pańskich ludzi jest najlepszym strzelcem?

- zwrócił się Roman do Royce'a.

- Ja - odparł szeryf. - Gdzie mam stanąć?

- Są w kuchni.

- On to panu powiedział?

- Nie, Charity. Powiedziała, że Block pozwoli jej przygotować coś do jedzenia. Raczej mało prawdopodobne.

żeby w obecnej sytuacji myślała o posiłku, chciała więc dać mi w ten sposób do zrozumienia, gdzie jest przetrzymywana.

Royce spojrział w stronę Mae, nerwowo spacerującej po alejce.

- Dzielna dziewczyna. Nie straciła głowy.

- Na razie - odparł Roman, któremu ciągle jeszcze brzmiał w uszach jej szloch. - Musimy przesunąć dwóch ludzi na tyły budynku. Niech się trzymają w pewnej odległości, muszą pozostać niezauważeni. Zobaczmy, jak blisko zdołamy podejść. - Ponownie odwrócił się do Conby'ego. - Daj nam jeszcze pięć minut i zadzwoń do niego. Powiedz mu, kim jesteś. Umiesz przecież przemawiać napuszonym głosem, jak ważniak. Zatrzymaj go przy telefonie tyle, ile potrafisz.

- Masz dwie godziny, DeWinter. Możemy wezwać oddziały antyterrorystyczne z Seattle.

- My mamy dwie godziny, Charity może nie wytrzymać tak długo.

- Nie wezmę na siebie odpowiedzialności...

- Owszem, weźmiesz - wpadł mu w słowo Roman.

- Agencie DeWinter, gdyby to nie była kryzysowa sytuacja, udzieliłbym ci nagany za niesubordynację.

- Doskonale. Wpisz mi ją do akt. - Spojrzał na broń trzymaną przez Royce'a. To był pistolet z celownikiem teleskopowym. - Idziemy.

Charity doszła do wniosku, że nic jej nie przyjdzie z zalewania się łzami. Podobnie jak jej prześladowca, uznała, że trzeba ruszyć głową. Podniosła się z podłogi, na której leżała skulona. Block nadal siedział przy stole. W jednej ręce trzymał pistolet, a palcami drugiej monotonnie bębnił w wyszorowany do białości, drewniany blat. Wiszące u jego nadgarstka kajdanki podzwaniały przy każdym ruchu. Charity zrozumiała, że jest przerażony. Może nawet tak samo jak ona. Bez wątpienia mogła to wykorzystać.

- Roger... masz ochotę na kawę?

- Tak, to niezły... to dobry pomysł. - Mocniej zacisnął palce na broni. - Nie bądź za cwana. Nie spuszczam cię z oka.

- Dadzą ci samolot? - Zdjęła ze ściany zapalarkę. W tym momencie uświadomiła sobie, że w kuchni jest pełno broni - noże, tasaki, tłuczki. Zamknęła oczy i zadała sobie w duchu pytanie, czy miałaby odwagę ich użyć.

- Dopóki mam ciebie, dadzą mi wszystko, czego zażądam.

- Dlaczego chcą cię aresztować? Tylko spokojnie, powtarzała sobie.

- Nic nie rozumiem. - Wlała kawę do dwóch kubków.

- Mówili coś o fałszowaniu pieniędzy.

Block pomyślał, że to właściwie bez znaczenia, ile będzie wiedziała. Włożył w to przedsięwzięcie dużo pracy i chciał się pochwalić.

- Od przeszło dwóch lat szmugluję przez granicę fałszywe dwudziestki i dziesiątki kanadyjskie. Drukuję je jak etykiety. Znasz mnie, jestem ostrożny. - Wypił łyk kawy.

- Tu parę tysięcy, tam parę tysięcy, pod płaszczkiem legalnej firmy turystycznej Vision. Zresztą organizowaliśmy naprawdę ciekawe wycieczki, klienci byli zadowoleni.

- Płaciłeś mi fałszywymi banknotami?

- Tobie i w paru innych miejscach. Ale tobie najdłużej i najbardziej systematycznie. Ten zajazd to wyjątkowe miejsce, spokojne, położone na uboczu i w dodatku w prywatnych rękach. Pieniądze wpłacasz do niewielkiego, lokalnego banku. Pasuje jak ulał.

- Tak. - Spojrzała na swój kubek i zrobiło jej się niedobrze. - Rozumiem. - Roman nie przyjechał tutaj po to, żeby obserwować wieloryby, tylko żeby rozwiązać sprawę. Tym właśnie dla niego była. Sprawą.

- Zamierzaliśmy ciągnąć to jeszcze przez kilka miesięcy - kontynuował wyjaśnienia Block - ale ostatnio Bob zrobił się nerwowy.

- Bob? - Spoczywająca na kolanach ręka Charity zacisnęła się w pięść. - Wiedział?

- Zanim go spotkałem, był drobnym oszustem. Robił mizerne przekręty i politowania godne defraudacje. Ulokowałem go tutaj i zrobiłem z niego bogatego człowieka. Zresztą ty także sporo mi zawdzięczasz - dodał z uśmiechem. - Twoje finanse były w opłakanym stanie, kiedy odkryłem ten zajazd.

- I przez cały ten czas... - wyszeptwała.

- Postanowiłem kontynuować naszą działalność jeszcze przez pół roku. ale Bob dostał prawdziwej obsesji na punkcie twojego nowego pomocnika. Okazało się, że nie bez przyczyny. - Block odstawił kubek. - Zawarł układ z federalnymi. Powiniennem się zorientować, kiedy po tym wypadku z samochodem zaczął mnie unikać.

- Ten wypadek... próbowałaś mnie zabić?

- Nie. - Charity aż się skuliła, kiedy pogłaskał jej rękę. - Prawdę mówiąc, zawsze cię lubiłem. Chciałem tylko usunąć cię z drogi na pewien czas, żeby się przekonać, co robi DeWinter. Dobry jest - dodał Block z mimowolnym podziwem. - Naprawdę dobry. Zdołał mnie przekonać, że mu na tobie zależy. Ten romans to było świetne posunięcie. Zamydlił mi oczy.

- Tak. - Załamana Charity wbiła wzrok w rysunek słojów drewna na blacie. - To było sprytne posunięcie.

- Przyłapał mnie. Wiedziałem, że ty mnie nie zwodzisz. Nie jesteś do tego zdolna. Ale DeWinter... Przypuszczalnie aresztowali już także Duponta.

- Kogo?

- Nie ograniczaliśmy się do szmuglowania pieniędzy. Ludzi też przierzucaliśmy przez granicę. Takich, którzy musieli w pośpiechu opuścić swój kraj i byli w stanie słono zapłacić za nasze usługi. Wygląda na to, że stałem się teraz własnym klientem. - Wybuchnął śmiechem i opróżnił kubek. - A może byśmy coś zjedli? Najbardziej będzie mi brakowało tutejszej kuchni.

Charity bez słowa wstała i podeszła do lodówki. To wszystko było jednym wielkim kłamstwem. Wszystko, co Roman, mówił, co robił... Zrobił z niej idiotkę, tak samo jak Roger Block. Wykorzystali ją obaj, ją i jej zajazd. Nigdy im tego nie wybaczy i nie zapomni.

- Może został jeszcze kawałek wczorajszego tortu bezowego z kremem cytrynowym? - Odprężony i pełen zachwytu nad samym sobą Block postukiwał lufą pistoletu o stół. - Tym razem Mae przeszła samą siebie.

- Owszem, jeszcze trochę zostało. - Charity bardzo wolno wyjmowała ciasto z lodówki.

Block zaciągnął zasłony w oknie, ale została pomiędzy nimi szeroka szpara. Roman widział, jak Charity sięga do kredensu po talerz. Ze swojego miejsca nie mógł dostrzec Blocka.

Najwyraźniej Charity wyczuła jego obecność, bo ich spojrzenia się spotkały. W tym momencie rozległ się dzwonek telefonu. Charity drgnęła.

- Prawie punktualnie - oznajmił z satysfakcją Block i energicznie podszedł do aparatu. - Tak? Kto mówi, do licha? - Słuchał przez chwilę i roześmiał się z zadowoleniem. - Przyjemnie mieć do czynienia z takimi ważniakami. Gdzie mój samolot, inspektorze Conby?

Charity odważyła się poszerzyć szparę w zasłonach.

- Tutaj - rozkazał Block.

- Co? - Charity opuściła rękę i talerz zabrzączał o blat.

- Powiedziałem: tutaj. - Machnął pistoletem. - Chcę, by wiedzieli, że ja dotrzymuję umowy. - Złapał ją za rękę o wiele mniej brutalnie niż poprzednio. - Powiedz mu, że dobrze cię traktuję.

- Nic złego mi nie zrobił - powiedziała głosem bez wyrazu. Starła się nie patrzeć w stronę okna. Wiedziała, że Roman zrobi wszystko, żeby ją stąd wydostać. To przecież jego praca.

- Samolot będzie za godzinę - poinformował ją Block, odkładając słuchawkę. - Mamy czas na ciasto i jeszcze jeden kubek kawy.

- Dobrze. - Charity wróciła do kuchennego blatu i znów zerknęła w stronę okna. Ogarnęła ją panika, bo nie dostrzegła tam nikogo. Roman odszedł. Ręce tak jej się trzęsły, że nie mogła ukroić ciasta. - Roger, zamierzasz mnie wypuścić?

Zawahał się tylko na moment, ale to wystarczyło, by zrozumiała, że zaraz usłyszy kolejne kłamstwo.

- Oczywiście. Jak tylko znajdę się w bezpiecznym miejscu.

A więc to tak. Postawiła przed Blockiem talerz z tortem i przyjrzała się jego twarzy. Zauważyła na niej wyraz samozadowolenia i natychmiast ogarnęła ją fala nienawiści.

- Przyniosę ci kawę. - Ruszyła w stronę kuchenki. Jeden krok, potem następny. Szumiało jej w uszach. Teraz to już nie strach, pomyślała i zapaliła gaz pod garnkiem. Teraz

to wściekłość, rozpacz i przemożny instynkt przetrwania. Automatycznym ruchem wyłączyła gaz. Potem przez fartuch podniosła garnek za ucho.

Block nadal trzymał w prawej ręce pistolet, lewą niósł kawałek tortu do ust. Miał ją za idiotkę. Za kogoś, kogo można wykorzystać i oszukać, kim można manipulować. Głęboko nabrała powietrza.

- Roger?

Podniósł wzrok. Charity spojrzała mu prosto w oczy.

- Zapomniałeś o kawie - powiedziała spokojnie i chlusnęła mu wrzątkiem w twarz.

Nigdy jeszcze nie słyszała takiego wrzasku. Block zerwał się z krzesła i po omacku szukał broni, która wypadła mu z ręki, Wszystko stało się w ułamku sekundy. Kiedy później Charity próbowała przypomnieć sobie te wydarzenia, nie miała pewności, co nastąpiło najpierw.

To ona pierwsza złapała pistolet. Block, na wpół ślepy, zdołał uderzyć ją w twarz. Charity zatoczyła się do tyłu i usłyszała brzęk tłuczonego szkła.

Roman wskoczył przez okno. Gwałtowny podmuch powietrza rzucił ją na ziemię. Jacyś mężczyźni roznieśli barykadę przy drzwiach i wpadli do kuchni. Ktoś podniósł ją z podłogi i wyprowadził na zewnątrz.

Roman przyłożył pistolet do skroni Blocka.

- Romanie. - Royce położył mu rękę na ramieniu. - Już po wszystkim.

Trwoga nadal ścisnęła go za gardło. Palec sam zsunął się na spust. Powoli, jakby niechętnie, odsunął się i schował broń do kabury.

- Tak. Już po wszystkim. Zabierz go stąd, do diabła. - Wstał i poszedł szukać Charity.

Znalazł ją w holu, w ramionach Mae.

- Nic mi nie jest - zapewniała, - Naprawdę. Muszę teraz zamienić kilka słów z Romanem.

- Dobrze, powiedz mu wszystko, co ci leży na wątrobie. - Mae ucałowała ją w oba policzki. - Przygotuję ci wspaniałą, gorącą kąpiel.

- Zgoda. - Charity ścisnęła rękę Mae. - Myślę, że na górze będziemy mogli rozmawiać swobodniej, bez świadków - powiedziała do Romana. Odwróciła się i wspięła na schody. Nie zaszczyliła go nawet jednym spojrzeniem. Miała nogi jak z waty. Próbowwała walczyć ze słabością, która była jak najbardziej naturalną reakcją po tym, co przeszła. Charity obiecała sobie, że rozklei się dopiero wtedy, gdy zostanie sama.

Zatrzymała się w saloniku. Nie mogła przecież rozmawiać z nim w sypialni.

- Pewnie powinieneś teraz siedzieć i pisać raport - zaczęła. Czy to naprawdę jej głos?  
Wysoki i chłodny, obcy.

Odchrząknęła. - Powiedziano mi, że będę musiała złożyć zeznanie, ale pomyślałam, że najpierw powinniśmy sobie wszystko wyjaśnić.

- Charity... - Roman wyciągnął ramiona, ale ona się szybko cofnęła.

- Nie dotykaj mnie. Ani teraz, ani nigdy. Ręce Romana opadły bezwładnie.

- Przepraszam.

- Dlaczego przepraszasz? Wypełniłeś przecież zadanie. O ile zdążyłam się zorientować, Roger i Bob prowadzili znakomicie funkcjonującą firmę. Twój szefowie powinni być z ciebie zadowoleni.

- To nieważne.

Wyjęła z kieszeni odznakę Romana.

- Owszem - powiedziała, podając mu ją. - Ważne. Roman schował plakietkę do kieszeni. Za wszelką cenę starał się zachować spokój. Obojętnym wzrokiem spojrzał na swe pokrwawione dłonie.

- Nie mogłem ci powiedzieć.

- Nie powiedziałeś.

Zauważył siniec na twarzy Charity.

- Uderzył cię!

- Niełatwo mnie złamać.

- Chciałbym ci wytłumaczyć.

- Naprawdę? - Odwróciła się do niego tyłem. - Chyba już się wszystkiego domyślam.

- Posłuchaj, kochanie...

- Nie, to ty posłuchaj... kochanie! - Nie była w stanie dłużej zachować spokoju. - Wykorzystałeś mnie, od pierwszej chwili oszukiwałeś! To wszystko było jednym wielkim kłamstwem!

- Nie wszystko.

- Nie? No to zastanówmy się, jak odróżnić jedno od drugiego? George, stary szczęściarz George. Pewnie warto było poświęcić kilka tysięcy dolarów, żeby usunąć go z drogi, a tym samym umożliwić ci dostanie się do zajazdu. I Bob... ale przecież ty wiedziałeś o Bobie, prawda?

- Nie mieliśmy pewności, przynajmniej na początku.

- Czy byłeś całkiem pewien mojej niewinności? A może podejrzewałeś, że ja też maczałam w tym palce? - Roman nie odpowiedział, więc podjęła: - Rozumiem. Przez cały



czas byłam jedną z podejrzanych. A ty znalazłeś się w samym sercu wydarzeń, bardzo to dogodne. Musiałeś się do mnie zbliżyć, co zresztą sama ci ułatwiłam. - Ukryła twarz w dłoniach. - Boże, ja po prostu się na ciebie rzuciłam!

- To po prostu się stało. Zakochałem się w tobie. Kocham cię.

- Nie używaj tych słów. - Charity opuściła ręce. Była bardzo blada. - Nawet nie wiesz, co one znaczą.

- Nie wiedziałem, dopóki nie spotkałem ciebie.

- Nie ma miłości bez zaufania, Romanie. Ja ci ufałam. Oddałam ci nie tylko ciało. Oddałam ci wszystko.

- Powiedziałem ci tyle, ile mogłem! Do licha, nie miałem prawa zdradzić ci reszty. Ale wszystko, co ci mówiłem o sobie, o swoich uczuciach, to wszystko jest i było prawdą!

- Mam panu uwierzyć na słowo, agencie DeWinter? Roman zaklął i jednym skokiem przemierzył pokój.

*Złapał ją za ramiona.*

- Nie znałem cię, przyjmując tę sprawę. Kiedy wszystko się zmieniło, najistotniejsze stało się dla mnie udowodnienie twojej niewinności i zapewnienie ci bezpieczeństwa.

- Gdybyś mi powiedział, potrafiłabym sama dowieść swojej niewinności. - Charity wyrwała się z jego rąk. - To mój zajazd i moi ludzie. To jedyna rodzina, jaka mi została. Czy myślisz, że ryzykowałabym dla marnych pieniędzy?

- Nie. Byłem o tym przekonany już po pierwszych dwudziestu czterech godzinach tutaj. Już wtedy ufałem ci bez zastrzeżeń, ale musiałem podporządkować się rozkazom, Charity. Gdybym powiedział ci, kim jestem i co tutaj robię, mimowolnie mogłabyś się zdradzić.

- Masz mnie za kompletną idiotkę?

- Nie. Za osobę prostolinijną. - Z największym wysiłkiem odzyskiwał panowanie nad sobą. - Wiele przeszłaś. Pozwól mi zawieść cię do szpitala.

- Wiele przeszłam - powtórzyła Charity i o mało nie wybuchnęła śmiechem. - Czy wiesz, jak się czuje człowiek, który dowiedział się właśnie, że od dwóch lat był wykorzystywany przez ludzi, których, jak mu się wydawało, dobrze znał? Zawsze uważałam, że potrafię właściwie ocenić człowieka. - Odwróciła się i zacisnęła palce na parapecie. - Ale to jeszcze nic w porównaniu z tym, co czuję, gdy sobie uprzytomnię, że uwierzyłam w twoją miłość.

- Jeśli to było kłamstwo, to dlaczego jestem tu teraz i przysięgam, że naprawdę cię kocham?

- Nie wiem. To zresztą nieważne. Jestem kompletnie wykończona, Romanie. Przez chwilę byłam przekonana, że Block mnie zabije.

- Charity... - Przygarnął ją do siebie, a kiedy go nie odepchnęła, wtulił twarz w jej włosy.

- Myślałam, że mnie zabije - powtórzyła głosem bez wyrazu. Jej ręce zwisały bezwładnie po bokach. - Nie chciałam umierać. Nic nie wydawało mi się tak ważne jak pozostanie przy życiu. Kiedy moja matka zakochała się i została zdradzona, poddała się. Nigdy nie byłam do niej podobna. - Uwolniła się z jego ramion i cofnęła o krok. Uniosła dumnie głowę. - Może jestem łatwowna, ale nigdy nie byłam słaba. Kiedy ten koszmar się skończy, zacznę wszystko od nowa. Będę nadal prowadzić zajazd. Zrobię co w mojej mocy, żeby wyrzucić z pamięci ciebie i ostatnie tygodnie mojego życia.

- Nie zrobisz tego, bo cię kocham. Przynależaś mi coś, Charity. Obiecałaś, że cokolwiek by się działo, nie przestaniesz mnie kochać.

- Złożyłam tę obietnicę innemu mężczyźnie. A tego, który tu stoi, nie kocham. Zostaw mnie samą.

Roman nawet nie drgnął, więc weszła do sypialni i zamknęła drzwi na klucz.

Mae starannie zmiatała szkło z kuchennej podłogi. Po raz pierwszy od ponad dwudziestu lat zajazd został zamknięty. Przypuszczała, że niedługo znów otworzy podwoje, na razie jednak była zadowolona, że jej dziewczynka leży bezpiecznie w łóżku, a wypijająca hektolitry kawy policja zbiera się do odjazdu.

Kiedy Roman wszedł do kuchni, wsparła się na miotle. Mae przeszło godzinę kołysała w ramionach Charity, która zalewała się przez niego łzami. Zamierzała więc być zimna i odpychająca, ale wystarczyło jedno spojrzenie, by zmieniła zdanie.

- Jesteś wykończony.

- Ja... - Był kompletnie zagubiony. Rozejrzał się po kuchni. - Chciałem tylko zapytać przed wyjazdem, jak ona się czuje.

- Jest nieszczęśliwa. - Mae pokiwała powoli głową, najwyraźniej zadowolona z udręki, jaką dostrzegła w spojrzeniu Romana. - I uparta. Zraniłeś ją.

- Przekażesz jej mój numer? - Położył na stole wizytówkę. - Może mnie złapać pod tym telefonem, jeśli... Może mnie zawsze pod tym numerem złapać.

- Siadaj. Przemyję ci skaleczenia.

- Nie, to drobiazg.

- Powiedziałaś: siadaj! - Mae podeszła do kredensu po płyn odkażający. - Ona przeżyła okropny wstrząs.

- Wiem. - Stał mu przed oczami obraz Blocka, przytykającego nóż do szyi Charity.  
- Szybko dochodzi do siebie. Ona cię kocha. Roman skrzywił się, kiedy dezynfekowała jego skaleczenia, ale nie z bólu.

- Kochała.

- Kocha - powtórzyła dobitnie Mae. - Choć chwilowo bardzo nie chce cię kochać. Od dawna jesteś agentem?

- Od zbyt dawna.

- Dopilnujesz, żeby ten ośliżył robał Roger Block dostał za swoje?

- Tak - zapewnił ją krótko Roman, a dłonie same zacisnęły mu się w pięści.

- Kochasz Charity?

- Tak.

- Wierzę, więc dam ci radę. Charity została zraniona, i to głęboko. Należy do ludzi, którzy muszą się sami ze wszystkim uporać. Potrzebuje na to trochę czasu. - Wzięła leżącą na stole kartę i schowała ją do kieszeni fartucha. - Na razie jej tego nie oddam.

Charity biegła za Ludwigiem. Była w coraz lepszej formie. Koszmarne sny zdarzały się coraz rzadziej. Obiecała sobie, że odbuduje swoje życie, i robiła to z powodzeniem Charity wspięła się na trawiaste pobocze, gdzie z zapalem myszkował Ludwig. Dzisiaj w samo południe, w zalanym słońcem ogrodzie, przy cichych dźwiękach muzyki, miała złożyć przysięgę małżeńską i związać się z Romanem na dobre i złe.

Mrzonki, pomyślała i ściągnęła psa na drogę. To były zwyczajne mrzonki. I wtedy, i teraz. A jednak... Z każdym dniem coraz lepiej pamiętała spędzone z nim chwile. Jego niechęć i gniew. Czułość i troskę. Spojrzała na bransoletkę połyskującą na przegubie jej ręki. Zamierzała zapakować ją do pudełka i schować w najciemniejszym zakamarku najrzadziej otwieranej szuflady. Nie chodziło tylko o złotą bransoletkę, lecz o wszystko, co symbolizowała. Roman powtarzał, że ją kocha. Przed wyjazdem błagał wręcz, by w to uwierzyła.

Przyspieszyła kroku. Zmieniła się w słabą, sentymentalną idiotkę. To przez ten dzień... przez ten cudowny, wiosenny poranek, który miał być dniem jej ślubu. Powinna wrócić do zajazdu i zająć się pracą. Ten dzień upłynie podobnie jak wszystkie inne.

Kiedy spostrzegła Romana, w pierwszej chwili podejrzewała, że to wytwór jej wyobraźni. Stał na poboczu drogi i patrzył na wschód słońca nad morzem. Charity potknęła się. Z mocno bijącym sercem, na miękkich nogach podeszła do niego. Szła bardzo wolno, choć rozradowany Ludwig ciągnął ją na smyczy. Modliła się, żeby jej głos nie zdrzął.

- Czego chcesz? - spytała obcesowo.

Roman pochylił się, żeby pogłaskać piszcącego z radości psa.

- Przejdziemy do tego. Jak się czujesz?
- Świetnie.
- Męczą cię senne koszmary. Zauważył cienie pod oczami Charity.
- Mae za dużo gada.
- Przynajmniej ona ze mną rozmawia.
- Powiedzieliśmy już sobie wszystko. Wziął ją za rękę i ruszyli obok siebie.
- Nie. Ostatnim razem to ty mówiłaś, ja prawie się niej odzywałem. Teraz moja kolej.
- Pochylił się i odpiął smycz. Oswobodzony Ludwigo pomknął do domu jak? strzała. - Mae na niego czeka - wyjaśnił, zanim Charity przywołała psa do siebie.
  - Rozumiem. - Owinęła smycz wokół dłoni. Przez chwilę szli w milczeniu. - Zawiązaliście przeciwko mnie spisek, tak?
  - Zależy jej na tobie. Mnie też.
  - Mam dużo roboty.
- Przyciągnął Charity do siebie i przełamując jej opór, przycisnął usta do jej warg. Ten pocałunek był jak łyk wody po kilku dniach na pustyni, jak ciepły ogień po kilku długich, zimnych nocach. Wbrew sobie Charity starała się odsunąć, ale Roman trzymał ją mocno.
  - Kiedy się jest tajnym agentem, trzeba oszukiwać i wykorzystywać nadarzające się okazje. Przyjechałem tutaj z konkretnym zadaniem. Od dawna już nie pozwalałem sobie na snucie dalekosiężnych planów.
    - Rozmawialiśmy już o tym, Romanie.
    - Nie. Czulaś się zraniona. Zawiodłem twoje zaufanie. Nie byłaś w stanie mnie wtedy wysłuchać. Mam nadzieję, że teraz będziesz już mogła, bo dłużej bez ciebie nie mogę żyć.
    - Poprzednio potraktowałam cię zbyt surowo. - Charity musiała zmobilizować wszystkie siły, żeby zdobyć się na uśmiech. - Byłam rozgoryczona i znacznie bardziej wstrząśnięta tą historią z Rogerem, niż mi się wydawało. Kiedy złożyłam zeznanie, inspektor Conby dokładnie mi wszystko wyjaśnił. Powiedział, jak została przeprowadzona cała operacja, jaką ja ponoszę odpowiedzialność i co powinnam zrobić.
      - Jaką znowu odpowiedzialność?
      - Finansową. Powstały przecież niedobory, ale na szczęście będziemy musieli spłacić wyłącznie odsetki. Przedsiębiorca ponosi odpowiedzialność za straty firmy.
      - Charity przechyliła głowę na bok. - Nie wiedziałeś o porozumieniu, jakie z nim zawarłam?
      - Nie.
      - Przecież dla niego pracujesz.

- Już nic. Złożyłem rezygnację zaraz po powrocie do Waszyngtonu.

- Niepotrzebnie, Romanie.

- Doszedłem do wniosku, że stolarka bardziej mi odpowiada. Masz może dla mnie jakieś propozycje?

Charity patrzyła w wodę, bezwiednie przesuając w palcach smycz.

- Nie poświęcałam ostatnio zbyt wiele czasu na planowanie remontów.

- Nie wezmę drogo. Wystarczy, że za mnie wyjdiesz.

- Przestań.

- Charity, spójrz na mnie. Kocham cię. Uwierz w to wreszcie.

- Boję się - szepnęła.

Po raz pierwszy zaświtała mu nadzieja.

- Uwierz. Odmieniłaś moje życie nie do poznania. Nie mogę już wrócić do przeszłości. A nie ma dla mnie przyszłości bez ciebie. Jak długo mam trwać w zawieszaniu? Charity, jak długo?

Skrzyżowała ręce na piersi i odeszła kilka kroków. Rosnące nad wodą wysokie trawy nadal jeszcze pokryte były rosą. Czuła ulotny zapach traw i dzikich kwiatów. Domagała się od niego szczerości, nie mogła więc odmówić mu tego samego.

- Straszliwie za tobą tęskniłam. - Pokręciła szybko głową na znak, że nie chce, by jej dotykał. - Próbowałam nie zastanawiać się, czy wrócisz. Wmawiałam sobie, że wcale nie pragnę twojego powrotu. Kiedy zobaczyłam cię dziś na drodze, w pierwszej chwili chciałam podbiec do ciebie. O nic nie pytać, niczego nie wyjaśniać. Jednak to nie takie proste.

- Nie.

- Kocham cię. Romanie. Nie mogę przestać. Próbowałam. - Odwróciła się i spojrzała na niego. - Może niezbyt usilnie, ale jednak próbowałam. Chyba pomimo gniewu i cierpienia, jakiego mi przysporzyłeś, czułam, że nie kłamałeś, mówiąc o swej miłości do mnie. Nie chciałam ci wybaczyć, ale... Właściwie to była tylko urażona duma. - W tym momencie przyszło jej do głowy, że może jednak to wszystko nie jest takie skomplikowane. - Jeśli muszę dokonać wyboru, chyba jednak zdecyduję się na miłość. - Uśmiechnęła się i szeroko rozłożyła ramiona. - Jesteś zatrudniony.

Roześmiała się głośno, kiedy Roman porwał ją na ręce i zakręcił nią w powietrzu.

- Na pewno nam się uda - zapewniał, okrywając jej twarz pocałunkami. - Zaczynamy od dzisiaj.

- Mieliśmy się dzisiaj pobrać.

- Mamy się dzisiaj pobrać - poprawił.

- Ale my...

- Mam zezwolenie.

Zamknął jej usta pocałunkiem i znów zakręcił się z nią dokoła.

- Pozwolenie na ślub?

- Jest w mojej kieszeni wraz z dwoma biletami do Wenecji.

- Do... - Ręce Charity zsunęły się bezwładnie z jego ramion. - Do Wenecji? Ale jak... ?

- Mae kupiła ci wczoraj sukienkę. Nie pozwoliła mi jej zobaczyć.

- Cóż, jesteś pewny siebie.

- Nie. - Znowu ją pocałował, po czym powiedział: - Byłem pewny ciebie i naszej miłości.